

NUMER NA NOWY ROK

Renata Dancewicz
Nie wstydzę się PRL

Rada Konsultacyjna
przy gen. Jaruzelskim
drogą do Okrągłego Stołu

Gen. Bogusław Pacek
Armia pod butem polityków

Dr Matthias Kneip
Bawarczyk – przyjaciel Różewicza

Marnowanie jedzenia
– ciemna strona świąt



Na obraz i podobieństwo nasze

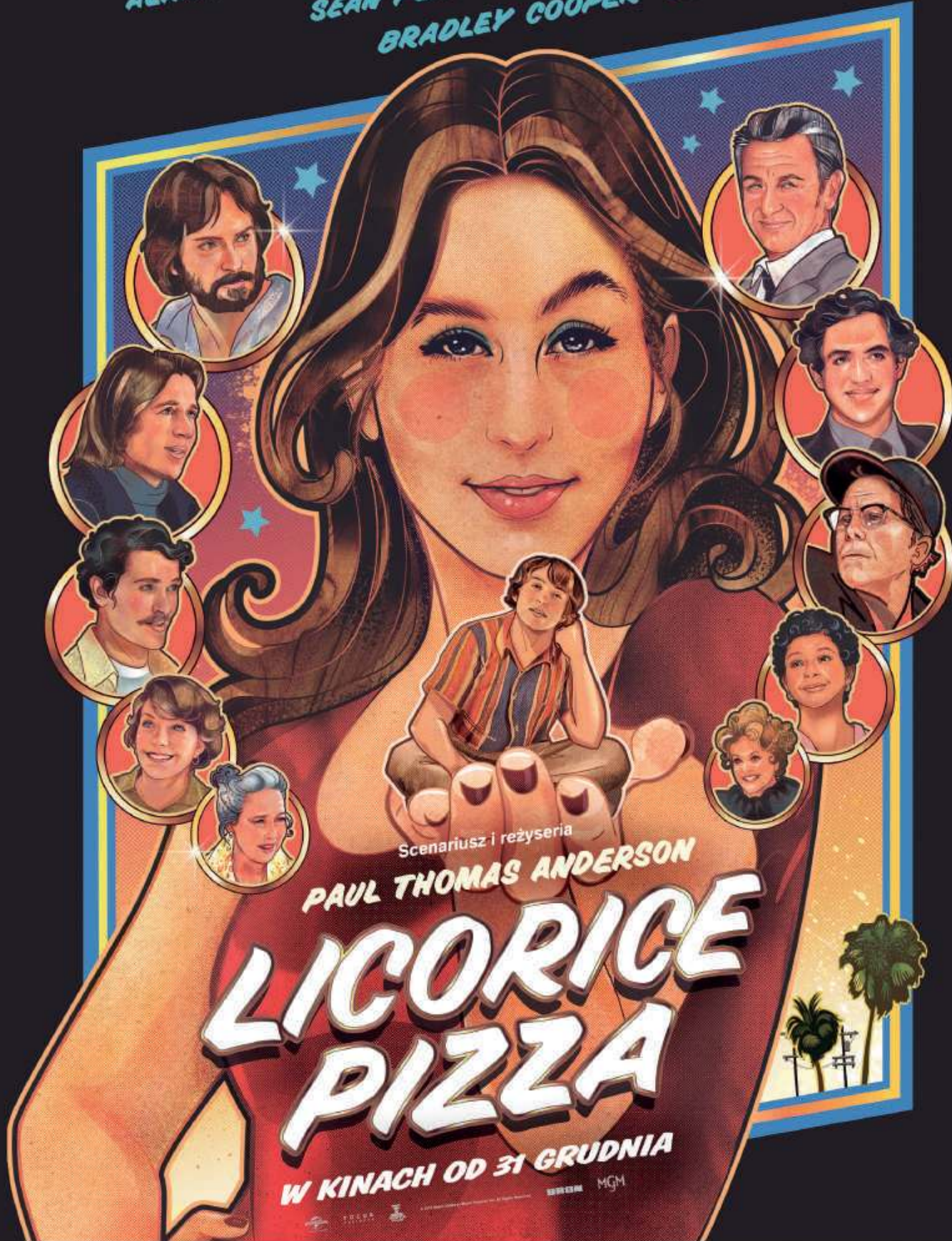
CELEBRYCI



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



ALANA HAIM COOPER HOFFMAN
SEAN PENN TOM WAITS
BRADLEY COOPER BENNY SAFDIE



Scenariusz i reżyseria

PAUL THOMAS ANDERSON

LICORICE PIZZA

W KINACH OD 31 GRUDNIA



DEMOTYWATORY.PL





Pamiętajmy o samotnych

Na Nowy Rok przybywa nadziei. Wyobrażamy sobie, że w kraju będzie mądrzej i uczciwiej. A my pozbedziemy się nałogów i ostro popracujemy nad zdrowiem i kondycją.

Koniec roku to czas podsumowań. Tych prywatnych, którymi niechętnie się dzielimy, i tych, które na wszelkie sposoby opisują wszystkie dziedziny naszego życia. Globalnie i szczegółowo. Analitycy wchodzą w każdą szczelinę. Świat nigdy nie był tak gruntownie przebadany i opisany. Wszystko, o czym tylko pomyślimy, możemy zobaczyć w kolorowych tabelkach, słupkach i wykresach.

A jednak, wiedząc aż tyle, w gruncie rzeczy wiemy mało. W Polsce jest z tym jeszcze gorzej, bo rola ekspertów została sprowadzona do dekoracji. Chyba że są to eksperci od propagandy, *public relations* czy wizerunku. Ci są słuchani, bo mogą pomóc wygrać wybory, a później tak mieszać ludziom w głowach, że uwierzą w każdy kit. Instytucje demokratyczne wyraźnie ten pojedynek przegrywają. Nie nadążają za pomysłowością cynicznych socjotechników. To jeden z paradoksów współczesnego świata. Z jednej strony, mamy coraz lepszy dostęp do przebogatych zasobów wiedzy, z drugiej – pakujemy się w katastrofy na masową skalę. Pandemia jest tu dobrym przykładem. I nauką. Widzimy, jak kto sobie radzi z tym śmiertelnym wyzwaniem. Tym, co nas najbardziej różni od państw Unii, jest podejście władzy do walki z covidem. Eksperci mówią rządowi swoje. Zaszczepiona większość społeczeństwa domaga się ochrony przed antyszczepionkowcami. Ale rządzący wiedzą, że skoro mogą liczyć na poparcie



Drodzy Czytelnicy i Przeglądowa Rodzino,
na Nowy 2022 Rok życzymy
Wam dobrego zdrowia, unikania wirusów
i żeby znowu białe było białe, a czarne – czarne.
Wspierajmy się. Nie jesteście sami.
Zespół PRZEGLĄDU

wyborcze tej grupy, muszą kluczyć. Uprawiają więc grę pozorów i liczą, że jakoś to będzie. To jakoś to według oficjalnych danych ponad 90 tys. zgonów na covid. A wiadomo, że faktycznie dużo więcej.

Czy jest na to kunktatorstwo władzy jakaś recepta? Jest, bo skoro władza ulega naciskom mniejszości, to tym bardziej przestraszy ją bunt większości. Możemy masowo umierać albo wyegzekwować od rządu przestrzeganie naszych praw.

By nie kończyć tak minorowo, chcę zaapelować, aby szczególnie w tych dniach pamiętać o ludziach chorych i samotnych. Każdą pomoc przyjmaj z wdzięcznością. A często wystarczy życzyliwa rozmowa telefoniczna.

Jeśli zaś myślicie podobnie jak nasi autorzy, powiedzcie o naszym tygodniku znajomym, a młodszym generacjom wykupcie e-prenumeratę. To tak niewiele kosztuje. Życzę dobrego roku. Z nami.

CYTATY ROKU 2021

ADAM MICHNIK, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”

Myślę, że Kołodko miał więcej racji niż Balcerowicz.
„Zdanie”

DANIEL PASSENT, komentator

W Polsce niczego nie robi się na sto procent, to i dyktaturę mamy kulawą. Naszą polską dyktaturkę.
„Polityka”

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ, politolog, UW

Młode pokolenie uwiódł Jobs, a sponiewierał Bezos – rentierzy sieci.
„Trybuna”

JONATHAN FREEDLAND, publicysta „Guardiana”

Czy pewnego dnia pomyślimy o Facebooku to samo, co dziś myślimy o papierosach?
„Forum”

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Armia pod butem polityków**
– rozmowa z gen. Bogusławem Packiem
- 12 Sceptycy jednak się szczepią**
Zaskakująca zmiana postaw
- 13 Zniknęło poczucie obciachu**
– rozmowa z Renatą Dancewicz
- 16 Biedny inteligent patrzy na Dodę**
Celebryci jak społeczeństwo
- 22 Świąteczny zero waste**
Drugi obieg żywności

HISTORIA

- 26 Laboratorium kompromisu**
Rada Konsultacyjna
drogą do Okrągłego Stołu
- 29 Nie chcemy polskiej biedoty**
Emigracja do Stanów Zjednoczonych

ZAGRANICA

- 32 W kilka cel dookoła świata**
Polacy w zagranicznych więzieniach
- 34 Bawarczyk – przyjaciel Różewicza**
– rozmowa z dr. Matthiasem Kneipem
- 38 Kanada z sercem dla imigrantów**
Korespondencja z Kanady
- 42 Afryka dla Afrykanów**
Prawdziwa cena złota

KULTURA

- 46 Jest bardzo ciekawie**
– rozmowa z Martą Gardolińską
- 49 Culturalia**
- 66 Beksiński. Obrazy**

OBSERWACJE

- 50 Zrzucajmy ręczniki!**
Sauna na Wiśle
- 58 Kalendarze 2022**

EKOLOGIA

- 54 Australia w ogniu**
– rozmowa z Szymonem Drobnikiem

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Pamiętajmy o samotnych
- 21 Roman Kurkiewicz**
Ku nowej utopii
- 37 Tomasz Jastrun**
Po latach
- 53 Wojciech Kuczok**
Dymgła
- 57 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Z rąk do rąk

22

KRAJ



ŚWIĄTECZNY ZERO WASTE

Drugi obieg żywności



46

KULTURA

JEST BARDZO CIEKAWIE

– rozmowa
z Martą Gardolińską



58

OBSERWACJE

KALENDARZE 2022

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, KAROL MAKURAT/REPORTER,
PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS, ARTUR ZAWADZKI/REPORTER, TRICOLORS/EAST
NEWS(2), PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS,
JAREK PRASZKIEWICZ/FORUM, JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 9bf343f2cb



f Dlaczego Kaczyński nas ogrywa?

Jarosław Kaczyński, choć poobijany, nadal pociąga za sznurki polskiej polityki. Dlaczego tak uważam? Bo w dalszym ciągu to on wyznacza tematy, którymi żyją opozycyjni politycy i związane z nimi media. Przeciwnicy PiS nie są w stanie sprawić, by formacja rządząca musiała się z czegoś tłumaczyć – gdy wychodzi na jaw jakaś jej nieudolność czy draństwo, prezes zawsze zdoła wyciągnąć z kapelusza nowy temat, i to taki, że sympatia dużej części opinii publicznej będzie po jego stronie. To już truizm, ale Kaczyński jest silny słabością opozycji, której liderzy to w większości ludzie leniwi intelektualnie i która w 2022 r. nadal będzie się ograniczać do bycia anti-PiS w przekonaniu, że to w końcu wystarczy, by naród poprosił ją o powrót do władzy.

Grzegorz Panufnik

f Gambit Jaruzelskiego

Szlachcic, sybirak, najmłodszy w korpusie generalskim, doprowadził ten zmęczony kraj w miarę suchą nogą do demokratycznych przemian. A Solidarność, ta Solidarność, ukrywa swoje poparcie dla generała w ocenie stopnia zagrożenia naszej suwerennej państwowości po groźbach sojusznika w liście z 5 czerwca 1981 r.

Ryszard Jędrzejewski

Gdyby nie gen. Jaruzelski i stan wojenny, to nie wiadomo, czy wojska Układu Warszawskiego nie weszłyby do Polski i nie polałyby się krew.

Grzegorz Kowalczyk

Andrzej Duda nazwał Jaruzelskiego tchórzem i zdrajcą. Mówi to człowiek, który boi się uchodźców i wysyła przeciw nim

wojsko. Mówią to pogrobowcy sanacji, której przywódcy w obliczu wojny uciekali za granicę. Itd., itp. Cokolwiek sądzić o Jaruzelskim, wziął na siebie dużą odpowiedzialność, wprowadzając stan wojenny. Mało dziś jest takich przywódców. Albo wina Tuska, albo kogoś innego, byle nie nasza.

Michał Czarnowski

f Bezpardonowa pochwała eutanazji

Zgadzam się z red. Romanem Kurkiewiczem w kwestii prawa do eutanazji. Kilka lat temu musiałam usnąć mojego 24-letniego kota. Pani doktor przyjechała do domu, potwierdziła, że są to jego ostatnie dni i bardzo cierpi. Dostał zastrzyk usypiający, a następnie zatrzymujący pracę serca. Leżał u mnie na kolanach, obok był przytulony jego młodszy przyjaciel. Myślałam, jak będzie wyglądał koniec mojego życia: szpitalny korytarz, hospicjum? I zazdrościłam kotu.

Joanna Wdzięczna

f Epitafium dla Polskiego Radia

Kiedyś słuchałem głównie Polskiego Radia, dziś robię to rzadko, najczęściej słucham Dwójki, której jeszcze nie spalili. Ba, jeden z moich sąsiadów emerytów od rana do późnego wieczora kręci się po podwórku, majsterkuje i słucha radia. Zawsze to była Jędynka, od ponad roku słyszę tam jedną z komercyjnych szmir. To pokazuje, co te łachudry zrobiły z Polskim Radiem.

Konrad Malec

Moja historia słuchacza: Laskowski, który zamęczył Trójkę, „myśliciele”, co zaorali Polskie Radio Bis, „cepleniada” w Dwójce. Od paru lat jestem szczęśliwym użytkownikiem odbiornika internetowego. Tylko muzyka. Nieistotne, który prezes bardziej się wymądrzył.

Andrzej K. Radzikowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Grudzień przy ognisku w Japońskim Centrum Małp w mieście Inuyama.



PYTANIE TYGODNIA

Jakiego Polaka wychowuje TVP Info?

RYSZARD BAŃKOWICZ,
przewodniczący Rady Etyki Mediów

TVP wychowuje Polaka niezainteresowanego władzą swojego kraju, tym, jak ona nim rządzi – zdegradowanego polityką do stopnia, w którym przestaje się nią interesować. Polaka biernego, przekonanego, że żadne jego działania nie są w stanie zmienić zastanej rzeczywistości. Człowieka pełnego rezygnacji, a także niechęci do wszystkiego, co inne, obce, cudzoziemskie, europejskie. Niechętnego idei otwartego społeczeństwa i przybyšom z innych krajów, niezainteresowanego uczeniem się języków obcych. Obecnej władzy nie zależy bowiem na tym, by poszerzać horyzonty obywateli.

ANDRZEJ MAŚLANKIEWICZ,
*sekretarz generalny
Stowarzyszenia Dziennikarzy RP*

TVP Info to tuba propagandowa rządu i partii rządzącej, prowadząca indoktrynację widzów w najgorszym wydaniu. Jeżeli założymy, że

jej programy oglądają ludzie młodzi, w co nie bardzo chce mi się wierzyć, to wychowuje ich ona w totalnym zakłamaniu. Przypomina to czasy PRL. Polak czerpiący z tego kanału fałszywy obraz współczesnych wydarzeń oraz historii nie będzie w stanie w prawidłowy sposób oceniać rzeczywistości.

DR HELENA CHMIELEWSKA-SZLAJFER,
*sociolożka,
Akademia Leona Koźmińskiego*

Sądząc po statystykach, TVP Info nikogo nie wychowuje. Nie dość, że stacja ta ma śladową oglądalność (dobowy udział w rynku na poziomie 4,4%), to niemal 60% jej widzów stanowią osoby powyżej 65. roku życia. Tych poniżej 18. roku życia jest ok. 15%. Przy tak małej skali nie ma więc o czym mówić, jeżeli chodzi o możliwości kształtowania światopoglądu młodzieży. Niemniej jednak jest często pomijana grupa, na którą ten kanał ma potencjalnie większy wpływ. Telewizja publiczna jako

jedyny duży nadawca ma całą sekcję programów nadawanych z tłumaczeniem na język migowy. Prywatne stacje zapomniały, że jeśli chcą docierać do osób niesłyszących, muszą dostosowywać informacje do ich możliwości odbioru. W erze telewizji cyfrowej nie jest to technicznie trudne.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
BARTŁOMIEJ GNIADEK

Chama, który jest dumny z tego, że jest chamem.

OLAF NOWACZYK

TVP Info stosuje się do wskazówek Rousseau z „Emil, czyli o wychowaniu” – nie tylko wychowuje głupców, ale przede wszystkim uważa swoich widzów za głupców i tak ich traktuje.

TOMASZ VERG

Telewizja Polska w PRL nie wychowywała obywatela posłusznego władzy i TVP Info też się nie uda.

Not. Michał Sobczyk

Armia pod butem polityków

Jakiego wojska potrzebujemy, a jakie mamy?

Rozmawia Marcin Ogdowski

Czy Emil C., dezter, który uciekł na Białoruś i poprosił tam o azyl polityczny, to szpieg reżimu Aleksandra Łukaszenki?

– Ktoś, kto rozpowszechnia takie przypuszczenia, naoglądał się za dużo filmów sensacyjnych. Widział pan materiały białoruskiej telewizji z udziałem tego chłopaka?

Widziałem. Opowiadał niestworzone historie. O strzelaniu do migrantów, o zabijaniu wolontariuszy...

– Gdyby takie sytuacje miały miejsce, wiedzielibyśmy o nich bez Emila C. Organizacje pomocowe wszczęłyby alarm, gdyby ktoś od nich zaginął. Mordowanie migrantów nie uszłoby uwadze służb białoruskich, miejscowej ludności i wreszcie samych uchodźców. W mediach mielibyśmy dziesiątki relacji przerażonych i wściekłych ludzi, którym udało się uciec z potrzasku. Zawsze komuś się udaje.

Kim więc jest szeregowiec C.?

– Gwiazdką z nieba dla służb Łukaszenki. Plecie bzdury, by przypodobać się KGB. Nie mam kompetencji, by go diagnozować medycznie, ale ewidentnie coś z nim jest nie tak. Złożył już wniosek o zwolnienie ze służby, lada moment byłby poza wojskiem. Po co więc zdecydował się na dezercję? Tym samym postąpił jak więzień, który w ostatnim miesiącu odsiadki decyduje się na ucieczkę z zakładu karnego. Jaka z tego korzyść? I jeszcze ta Białoruś... Mógł przecież wyjechać gdziekolwiek na Zachód.

Może właśnie o zakład karny chodzi? C. miał kłopoty z prawem, niewykluczone, że trafiłby za kraty.

– No to sobie poprawił – teraz ciąży na nim zarzut dezercji.

Gen. Skrzypczak chciałby go rozstrzelać, a pan, były szef Żandarmerii Wojskowej?



GEN. DYW. W ST. SPOCZ. PROF. BOGUSŁAW PACEK

– były dowódca Żandarmerii Wojskowej i rektor Akademii Obrony Narodowej (późniejszej Akademii Sztuki Wojennej). Obecnie wykładowca w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego, twórca i dyrektor Instytutu Bezpieczeństwa i Rozwoju Międzynarodowego.

– Emil C. postąpił niegodnie. I to pierwszy przypadek dezercji w WP od kilkudziesięciu lat. Chciałbym dla niego kary długoletniego więzienia.

Ilu takich C. mamy jeszcze w armii?

– Chcę wierzyć, że to odosobniona historia. Wpadka bezpośrednich przełożonych, którzy wystali C. na granicę, choć nie powinni, i lokalnej komórki kontrwywiadu, która najwyraźniej nie miała pojęcia o wcześniejszych występkach szeregowca.

Co jeszcze mówi nam ta historia?

– Po pierwsze, jest przyczynkiem do dyskusji o jakości systemu rekrutacji. Do wojska można dziś trafić z licznymi przypadkościami, tak niskie są kryteria naboru. Po drugie, marna jest działalność służb informacyjnych MON i MSWiA. Emil C. już brylował w białoruskiej telewizji, a nasi przekonywali, że szukają zaginionego. Na tym polu oddajemy inicjatywę drugiej stronie, działamy reaktywnie, ociężale.

Nie tylko na tym. Okulała nam logistyka, która potrzebowała dwóch miesięcy na dostarczenie żołnierzom kontenerów sypialnych. Były doniesienia o kiepskiej aprowizacji. Mamy absurdalne decyzje o skierowaniu w rejon operacji jednostek pancernych. Chyba nie bardzo nam idzie zarządzanie dużą operacją kryzysową.

– Wciąż się uczymy i sporo nauki przed nami.

Trudno wskazać dowodzącego operacją...

– Ja panu nie pomogę, sam nie jestem w stanie wymienić nazwiska czy choćby stopnia takiej osoby. Tymczasem zadania, które postawiono przed wojskiem, policją i Strażą Graniczną, wymagają jednoosobowego kierowania.

Kto powinien tym się zająć?

– Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Mógłby to być żołnierz, skoro to armia dysponuje największymi siłami. Ale równie dobrze ktoś ze Straży Granicznej,

skoro operacja toczy się w obszarze odpowiedzialności tej formacji. Mogłaby to być także osoba cywilna, przedstawiciel rządu, co byłoby najlepszym rozwiązaniem. Ktoś, kto personalnie wzięłby za wszystko odpowiedzialność.

I przyjął na siebie odium niepopularnych, a często haniebnych decyzji?

– Faktem jest, że były w historii Polski momenty, kiedy użyto wojska przeciwko cywilom. Cierpiał na tym wizerunek armii, a politykom zwykle uchodziło to na sucho. Tu też mamy, choć inną, sytuację, w której skierowano armię do działań wobec osób cywilnych. Tymczasem żołnierz na co dzień jest szkolony do innych zadań. Kryzys graniczny powinien zostać rozwiązany siłami SG, policji i Żandarmerii Wojskowej. Ta ostatnia formacja ma odpowiednio przygotowane oddziały specjalne. Każdy ich członek potrafi działać na granicy

więcej niż dziesięciu zwykłych, nie-przeszkolonych żołnierzy.

Zgoda, ale kryzys tak wyescalował, że wspomnianych służb by nie wystarczyło.

– Stąd wniosek – zresztą dotyczy on nie tylko Polski – że proces szkoleniowy w armii należy rozszerzyć o procedury związane z zagrożeniami niekinetycznymi. W ostatnich latach wojsko coraz częściej jest potrzebne do zapewnienia bezpieczeństwa wewnątrz kraju.

Przy użyciu czołgu i transportera opancerzonego?

– Popieram decyzję o wysłaniu ciężkiego sprzętu do odstraszenia wojskowego. Natomiast jeśli po drugiej stronie mamy cywilów, to znaczy, że ktoś w siłach zbrojnych zapomni o naszych doświadczeniach z misji na Bałkanach. Tam tak długo, jak używano ciężkich pojazdów, miejscowa ludność traktowała patrole jako prowokację. Każdy przejazd wojskowej kolumny, zamiast obniżyć ciśnienie, zaostbrał sytuację. Zmiana nastąpiła, gdy kontyngenty przesiadły się do normalnych pojazdów, a żołnierze nie straszili już wystawionymi lufami.

Operacja „Granica” kierowana jest przede wszystkim do odbiorcy wewnętrznego. Ma mu pokazać, że jesteście silni, zwarci, gotowi...

– Zmierzymy się z realiami. Po jednej stronie mamy 15 tys. żołnierzy, po drugiej, w okresie największego nasilenia, 3 tys. rodzin. Pchniętych ku nam przez Łukaszenkę, no ale cywilów. Źle to wygląda...

Źle wygląda też sposób, w jaki delegujemy żołnierzy na granicę.

– Podobnie jak w Iraku, gdzie na początku staliśmy kontyngenty składające się z ludzi zebranych z całej Polski. Fatalnie wpływało to na jakość realizowanych zadań. I mówię nie o sytuacjach typowo bojowych, ale o zwyczajnych, takich jak przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Kiedy zaczęliśmy wysyłać zwarte oddziały z dowódcami, zupełnie inaczej zaczęło to funkcjonować.

Na granicy wciąż popełniamy ten „iracki błąd”.

– Nie tylko ten. Od początku byłem zdania, że migrantów należy zatrzymywać na granicy. Ale jednocześnie zapewnić im pomoc tu, na miejscu – dać schronienie, jedzenie, leki. I podjąć odpowiednie procedury

administracyjne, w wyniku których odestalibyśmy pewnie większość do domów, lecz w cywilizowany sposób. Jeżeli miałbym cokolwiek rekomendować, to dałbym pełne pole do działania organizacjom pomocowym. Nie tylko dla dobra migrantów, ale również dla dobra wizerunku Rzeczypospolitej i nas samych. Ci ludzie tracą życie także po naszej stronie. Każdy człowiek, który umarł i umrze w tych lasach, obciąża nas, nasze sumienia. Jako Polak, obywatel tego państwa i żołnierz tego kraju, nie potrafię się z tym pogodzić.

Ustaliliśmy, że istnieją przesłanki wewnętrzne, by wojsko było większe i wszechstronniejsze. Są też uwarunkowania zewnętrzne, które wymuszają konieczność rozbudowy armii.

– W pierwszej kolejności należy poprawić jakość. Liczby nie są tak

Armie skierowano do działań wobec osób cywilnych. Tymczasem żołnierz na co dzień jest szkolony do innych zadań.

istotne. Od lat weryfikacja naszych zdolności sprowadza się do wybranych elementów. Nie idziemy podczas ćwiczeń na całość, jak Rosjanie, którzy za jednym zamachem wyprowadzają w pole całe dywizje. Tym sposobem wiemy, co w armii dobrze działa, a co nie.

Nie liczą się z kosztami.

– Jestem za większą armią, pod warunkiem że będzie nas na nią stać. Że ta armia będzie odpowiednio wyposażona. Sprzęt kosztuje, mówimy zatem o zrównoważonym, stopniowym, rozłożonym na lata i adekwatnym do możliwości państwa wysiłku. Koniecznym ze względu na nową sytuację geopolityczną, która – wiele na to wskazuje – przyniesie osłabienie naszych możliwości obronnych.

Stwierdził pan kiedyś – co nie spodobało się wielu kolegom generałom – że skuteczną obronność zapewniają Polsce bardziej NATO i Unia Europejska niż własny system obronny. Coś w tej sprawie się zmieniło?

– Na razie nic się nie zmieniło. Na razie przed Rosją chroni nas przede wszystkim NATO. Jak kiedyś, w czasach słusznie minionych, tak i dziś duży wojskowy sojusz sprawia, że jesteśmy nie do ruszenia.

Ale?

– Oceniam, że Chiny stanowią zagrożenie dla przyszłości NATO. USA, niezależnie od deklaracji, będą wkładały do Sojuszu coraz mniej, gdy na dobre uwikłają się w konflikt dalekowschodni. Niewielu z nas ma świadomość, że natowskie zdolności militarne w co najmniej 70% opierają się na potencjale Stanów Zjednoczonych. Jeżeli tych zdolności zabraknie, Europa będzie miała poważny problem.

W Czadzie, gdzie był pan zastępcą dowódcy całej misji, widzieliśmy, czym są zdolności europejskie.

– To była dla powojennej Europy największa operacja wojskowa. A i tak mierzyliśmy się z niedostatkiem helikopterów, łączności i odpowiedniego zaplecza medycznego. Wszystkiego, czego Amerykanom nie brakuje.

W przypadku tej misji zabrakło również konsensusu pośród sojuszników – miesiącami trwały ustalenia, co kto wyśle.

– Konsensus zabija działanie wojska. Bo zjada czas, szczególnie cenny, gdy mamy do czynienia ze zdeteminowanym i szybko działającym przeciwnikiem.

Nie brzmi to najlepiej w kontekście rosyjskich zagrożeń dla Polski.

– Zwłaszcza że przyszła wojna będzie inna od tych konfliktów, które znamy. Kiedyś w Kabulu obserwowałem działania – tocące się w czasie rzeczywistym – których celem było unieszkodliwienie oddziału rebeliantów. Mniejsza o szczegóły, wspominam o tym, bo wówczas po raz pierwszy zetknąłem się z sytuacją, w której siły i środki do działania wybrał algorytm. Wskazał narzędzia znajdujące się w sporej odległości od celu – i zasugerował ich użycie. Nasz przeciwnik, w odróżnieniu od nas, może dziś zaatakować również niespodziewanie, z dowolnego miejsca w obrębie gigantycznego terytorium, jakim dysponuje.

Nie będzie czasu na konsultacje, a przy braku amerykańskiego parasola nasze szanse spadną do zera.

- – Czas pomyśleć o tym, jak w większym stopniu przygotować się do obrony samodzielnie.

Rozwijając Wojska Obrony Terytorialnej?

– Jestem zwolennikiem idei obrony terytorialnej, ale to nie ona sama decyduje o przetrwaniu państwa. Zwróćmy uwagę, że jej powstanie nie spowodowało żadnej reakcji Rosji. Natomiast gdy kupiliśmy rakiety JASSM do samolotów F-16, Rosjanie cofnęli swoje jednostki na Białorusi o tyle kilometrów, ile pozwalało na zachowanie bezpiecznego dystansu.

Zacieśnianie sojuszy to też dobra metoda.

– Oczywiście. To musi być nasze „drugie płuco”. I nie mówię o być może dobrych gospodarczo rozwiązaniach typu Międzysymorze. Sojusze mają poprawić polskie zdolności, a nie je obniżyć, tworzyć kolejne koalicje słabych.

Za to licznych. Kaczyński chciałby 300-tysięcznej armii.

– Jako żołnierz wolę mieć więcej i lepiej niż mniej i gorzej. Ale państwo to system naczyń połączonych. Żeby wojsku dać te 5% PKB, skądś trzeba będzie zabrać. Już raz, w czasach PRL, zarżnięto państwo m.in. za sprawą ogromnych wydatków zbrojeniowych. Stworzyliśmy wówczas



Dezeter Emil C. plecie bzdury, żeby przypodobać się KGB.

powierzamy rolę zwierzchnika. Ustawa wymaga udoskonalenia.

Zostawmy na razie kwestię cywilnej kontroli. Bardziej intryguje mnie fakt, że reagowanie kryzysowe sędowano na WOT.

– A co w sytuacji powodzi, gdy będą potrzebne śmigłowce, których WOT nie ma? Dzisiaj ta formacja ma swoje pięć minut, co rozumiem, ale czy jej dowództwo będzie w stanie operować jako połączony sztab, koordynujący pracę wyspecjalizowanych pododdziałów? Trzeba ten pomysł dopracować.

lecz istotą procesu jest dobór wedle czytelnych, profesjonalnych kryteriów. U nas często decyduje widzimisię polityków. Z początkiem lat 90. poszliśmy w stronę nie tyle rozbudowanej cywilnej kontroli, ile cywilnego dowodzenia armią.

Przypomnę – zaczęło się od hasła „humanizacji”...

– W wyniku czego wylaliśmy dziecko z kąpielą. Stworzyliśmy „pracownika armii” – coraz mniej żołnierza, coraz bardziej cywila. Liczba obwarowań, na które musi zważać dowódca, aby nie naruszyć praw podwładnego, jest bardzo duża. Choćby kwestia godzin pracy, które często nijak się mają do wymogów służby. Nie twierdzę, że żołnierz powinien być niewolnikiem, ale dowódca musi mieć więcej możliwości działania.

Wróćmy do ustawy. Ponarzekaliśmy, ale przecież ma i dobre strony.

– Oczywiście. Na przykład dodatki, które będą przysługiwać po odświeżeniu 25 oraz 28,5 roku. Dziś żołnierz z takim stażem ma pełne prawa emerytalne i zwykle nie jest zainteresowany dalszą służbą. Zdecydowanie pochwalam pomysł rocznej dobrowolnej służby zasadniczej. To sposób na odbudowę rezerw bez konieczności przywracania przymusowego poboru.

Chciałby pan powrotu tradycyjnej „zetki”?

– Nie, bo pamiętam zjawisko „uciekającej dywizji”. W latach 80. rejestrowano 12 tys. ucieczek z koszar. Rocznie wiało tylu żołnierzy, ilu liczyła etatowa dywizja. A tak naprawdę kilka razy więcej, gdyż dowódcy nie wykazywali samowolek, bo nikt nie

Rola ministra w zakresie decyzji kadrowych, finansowych i wielu innych jest zbyt duża.

armię dobrze uzbrojoną i nieźle wyszkoloną, ale co z tego, skoro na końcu państwo zbankrutowało?

W nowej ustawie o obronie ojczyzny zapisano niejasne mechanizmy finansowania sił zbrojnych.

A to niejedyna jej słabość.

– Jako wojskowy nie znam się na kwestiach finansowych, wolę więc skupić się na innych niedoróbkach. Na przykład tych, które dotyczą systemu kierowania i dowodzenia. Za siły zbrojne musi odpowiadać jedna osoba. Możemy dyskutować, czy powinien to być dowódca generalny, szef sztabu generalnego, czy jeszcze ktoś inny. Z ustawy tego się nie dowiadujemy. Druga rzecz to brak wyraźnej rozpisanej roli premiera. Szef rządu jest w polskich uwarunkowaniach ustrojowych najważniejszym decydem. Nie prezydent, któremu

Ustawa przewiduje likwidację wojskowych komend uzupełnień.

W to miejsce ma powstać centrum rekrutacyjne podległe MON.

– A co z zarządzaniem rezerwami mobilizacyjnymi, z tworzeniem na ich podstawie nowych jednostek? Zadania typowo wojskowe ma przejąć minister cywil?

Mam wrażenie, że ustawa wpisuje się w trwający od lat trend zwiększania uprawnień ministra obrony.

– Zdecydowanie coś tu nie gra. Rola ministra w zakresie decyzji kadrowych, finansowych i wielu innych jest zbyt duża. Weźmy sposób mianowania generałów. W wielu krajach wypracowano reguły, zgodnie z którymi kandydatów wskazuje środowisko wojskowe. Nominacje zatwierdza, dajmy na to, Kongres, buławy wręcza cywil, np. prezydent,

chciał dostać po głowie za zbyt niską dyscyplinę. Armia nie może się kojarzyć z czymś, z czego się ucieka. Ma to być obowiązek, nawet trudny, ale wart wykonania.

Chwalił pan możliwość finansowania studiów w zamian za późniejszą służbę.

– Bo to dobre, sprawdzone w innych krajach rozwiązanie. Generalnie wszystko, co zwiększy pulę rezerwistów, zasługuje na uznanie. Zastanowiłbym się jeszcze nad podniesieniem maksymalnego wieku rezerwistów. Dziś jest to 60. rok życia. Tymczasem statystycznie żyjemy dłużej, po sześćdziesiątce jesteśmy zdrowsi, sprawniejsi, może by więc podnieść poprzeczkę o trzy-pięć lat np. oficerom starszym?

Ustawa jest w konsultacjach, dałoby się jeszcze wprowadzić zmiany.

– Wierzę, że będzie lepsza, ale obawiam się najgorszego wariantu dla naszego systemu obronnego. Wprowadzenia ustawy na dwa, może trzy-cztery lata – i później gwałtownej wolty. Z analiz, które niedawno przeprowadziłem, wynika dramatyczny brak ciągłości działania i strategii, cechujący lata 1989-2020. Dobrym przykładem jest obrona terytorialna, którą wielokrotnie powoływano i redukowano i której koncepcję zmieniano po roku 1989 kilkanaście razy. Albo kwestia budowy sił na ścianie wschodniej – no przecież mieliśmy tam już dwie dywizje, 1. i 15. Nowy minister, nowe koncepcje, a potem wychodzą takie kwiatki jak budynek dowództwa wojsk lądowych we Wrocławiu, do którego dowództwo nigdy się nie wprowadziło, bo najpierw zostało w Warszawie, a potem je rozwiązano.

Ministrom doradzali mundurowi, więc problem nie dotyczy tylko cywilów. W armii od lat mamy koterie, grupy towarzyskie, podziały ideologiczne.

– Zaraz po 1918 r. wojsko składało się z oficerów i żołnierzy z trzech zaborczych armii, którzy skakali sobie do gardeł bardziej niż teraz. A mimo wszystko ostatecznie potrafili się dogadać.

Warunkiem koniecznym jest zgoda pośród polityków. Nie mówię o „polityce miłości”, bo to mrzonka, chodzi mi o kompromis w strategicznych obszarach. Na przykład co do przemysłu zbrojeniowego, który u nas stoi nad przepaścią.

– Kraj, który nie ma własnego przemysłu obronnego bądź z jakichś powodów z niego nie korzysta, kupuje wszystko na wolnym rynku. Wszyscy kupują, ale chodzi o proporcje i produkty newralgiczne. Nie

W wielu krajach kandydatów na generałów wskazuje środowisko wojskowe. U nas często decyduje widzimisię polityków.

powinno się dopuścić np. do sytuacji, w której państwo zmuszone jest do nabywania na zewnątrz amunicji. **My nawet prochu nie jesteśmy w stanie wyprodukować samodzielnie od początku do końca...**

– Bośmy zarżnęli zbrojeniówkę, która dziś potrzebuje nie tylko pieniędzy, ale i technologii. To pierwsza kwestia. Druga dotyczy traktowania po macoszemu prywatnego przemysłu, który przecież dysponuje wieloma ciekawymi projektami.

Patrząc na ostatnie zakupy, odnoszę wrażenie, że mamy gdzieś i rodzimych „prywaciarzy”, i transfer technologii.

– Brałem kiedyś udział w spotkaniu u szefa Sztabu Generalnego. Z jednej

strony wojskowi, z drugiej przedstawiciele przemysłu obronnego, z prezesem ówczesnego Bumaru na czele. I doskonale pamiętam puentę gospodarza, który stwierdził, że polski żołnierz ma takie samo prawo do używania niezawodnego sprzętu jak wojskowy z armii francuskiej, brytyjskiej czy amerykańskiej. „Póki nie dacie tej samej jakości, póty nie liczcie na to, że będziemy u was kupowali”, ustyszeli szefowie fabryk. Do czego zmierzam (poza postulatem dofinansowania

i transferu)? Otóż przemysł zbrojeniowy musi działać, opierając się na realnych potrzebach wojska, a nie obok nich. Po co armii fabryka autobusów? **Bo bez zamówień z wojska tej fabryki już by nie było. A skoro jesteśmy przy brutalnych prawach rynku – pomysł na większą armię może boleśnie się z nimi zderzyć. Wojsku już dziś brakuje ochotników.**

– Chłopak, który przyjdzie na rok do dobrowolnej służby, ma dostać 4,4 tys. zł brutto. To 3 tys. na rękę, więcej, niż dostaje nauczyciel na początku pracy. Chętnych więc nie zabraknie. Obawiam się innego scenariusza – drenażu rynku. Mamy złą sytuację demograficzną, która w perspektywie 30 lat stworzy większe zagrożenia niż kryzys militarny. Będziemy jak Rosja masowo się wyludniać.

Na razie ratują nas Ukraińcy i Białorusini – bez których, gdyby nie ograniczenia wynikłe z pandemią, już dziś brakowałoby 2 mln ludzi do pracy. Ściągnijmy z rynku na rzecz wojska kolejne 100-150 tys. osób i gdzieś nastąpią braki. Kim je uzupełnimy, gdy migracja ukraińsko-białoruska już się wysyci? Mam nadzieję, że ktoś o tym myśli.

Ostatecznie możemy stworzyć polską legię cudzoziemską.

– Nie sądzę, by ten pomysł mógł się przyjąć nad Wisłą.

Marcin Ogódowski
m.ogodowski@tygodnikprzeglad.pl

Zacznij dobrze nowy rok

Kup e-wydanie PRZEGŁĄDU

Prenumerata roczna już za 99,90 zł

+ w prezencie e-book „Kłamstwa o historii”

ŚPIESZ SIĘ
Oferta ograniczona czasowo
sklep.tygodnikprzeglad.pl

Sceptycy jednak się szczepią

Co trzecia osoba deklarująca rok temu, że nie zaszczepi się przeciwko COVID-19, przyjęła już przynajmniej jedną dawkę

Kornel Wawrzyniak

Trzy instytucje naukowe zbadały stosunek Polaków do szczepień przeciw COVID-19. Badacze twierdzą, że zmienił się on w ciągu roku nawet o 180 stopni. Czy nad Wisłą rzeczywiście przekonano się do szczepień?

Współpraca Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, Uniwersytetu Warszawskiego i agencji badawczej ARC Rynek i Opinia oraz WUM opublikowała opracowaniem „Public vaccination reluctance: What makes us change our minds?” (Niechęć społeczeństwa do szczepień: Co sprawia, że zmieniamy zdanie?), którego tzw. preprint właśnie został opublikowany. Autorami są: dr hab. prof. UW Paweł Waszkiewicz, dr Piotr Lewulis, dr Michał Górski (obaj również z UW), dr Adam Czarnecki z ARC Rynek i Opinia oraz dr hab. n. med. Wojciech Feleszko z WUM.

Okazuje się, że co trzecia osoba deklarująca w 2020 r., że nie zaszczepi się przeciw COVID-19, przyjęła już co najmniej jedną dawkę lub planuje to zrobić. Grudzień 2021 r. to data podwójnie ważna dla całego globu. Po pierwsze, mijają dwa lata od zidentyfikowania

Po doniesieniach medialnych z ostatnich miesięcy, dotyczących postaw antyszczepionkowych w Polsce, twierdzenie o zmianie podejścia do szczepień zaskakuje. Zaledwie trzy miesiące wcześniej, 2 września 2021 r., ARC Rynek i Opinia oraz WUM opublikowały wyniki badań dotyczących zamiaru zaszczepienia się przez Polaków, które informowały, że 32% osób w wieku 18-65 lat nie zamierza się szczepić przeciw COVID-19.



Co więcej, 27% respondentów deklarowało wtedy, że nic nie przekona ich do zmiany zdania. Natomiast z najnowszego raportu amerykańskiego Ośrodka Przeciwstawiania się Nienawiści w Przestrzeni Cyfrowej wynika, że głoszenie poglądów

wyborczy, więc nawet wśród polityków pojawia się chęć przypodobania się przeciwnikom szczepień. Zauważmy, że wszelkie obostrzenia nakładane przez Ministerstwo Zdrowia projektowane były tak, aby osoby niezaszczepione nie ponosiły konsekwencji swojego uporu, takich jak niemożność wejścia do sklepu czy korzystania z komunikacji miejskiej bez ważnego certyfikatu covidowego, jak to się dzieje m.in. we Francji.

Dlatego dużym zaskoczeniem jest przywoływany w badaniu fakt, że ponad połowa osób deklarujących w 2020 r. sceptycyzm wobec szczepionek przeciw covidowi, dziś jest przynajmniej po jednym ukłuciu, a 16% planuje szczepienie. Badacze wskazują, że część społeczeństwa musiała do szczepień się przekonać, a motywacje za tym stojące są różne. Na pierwszym miejscu – obawa o własne zdrowie. „Nasze wyniki pokazują, że stosunek do szczepień jest postawą zmienną

w czasie. Szereg czynników wpłynęło na zmianę stosunku Polaków do szczepień, z których najważniejszymi wydają się: obawy o własne zdrowie i bezpieczeństwo, nasilające się w miarę pojawiania się kolejnych wariantów koronawirusa, chęć podróżowania i dążenie do zniesienia ograniczeń (a więc motywacje nakierowane na własną korzyść) oraz dążenie do zachowania odporności stadnej i wspólnego bezpieczeństwa (jako silna motywacja u osób dotychczas niezdecydowanych)”, wyliczają autorzy pracy.

Informację o wspólnym badaniu WUM, UW i ARC Rynek i Opinia podsumowuje dr Wojciech Feleszko z WUM: „Na szczęście widzimy korzystny trend w kierunku coraz większej akceptacji i zrozumienia konieczności zaszczepienia się”.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Na szczepienie najczęściej zdecydowano się z obawy o własne zdrowie i chęci podróżowania.

pierwszego przypadku zakażenia wirusem i wybuchu pandemii, która zmieniła nasze życie. Po drugie, za chwilę minie rok od pojawienia się szczepionek. – Ich rozwój i produkcja w bezprecedensowym tempie umożliwiły szybką immunizację miliardom ludzi na całym świecie, a szczepienia pozostają najskuteczniejszą metodą walki z wirusem – podkreślają badacze.

antyszczepionkowych w sieci bardzo się opłaca, a niektórym firmom działającym w USA przyniosło nawet 36 mln dol. rocznego dochodu. Zasięgi przeciwników szczepień także liczone są w milionach – w mediach społecznościowych obserwuje ich prawie 40 mln osób. A samo zjawisko jest globalnym trendem.

Dodajmy do tego, że antyszczepionkowcy stanowią spory kapitał

Rozmawia Robert Walenciak

Fajnie być Polką?

– Zawsze lubiłam Polaków, wydawało mi się, że jesteśmy na tyle indywidualistami i anarchistami, że taki Hitler nie byłby u nas możliwy. Że ta nasza mieszkanka natychmiast by go odrzuciła. A teraz patrzę na to, co się dzieje na granicy... I sama się pytam: nikogo nie razi polewanie zmarzniętych ludzi wodą? Wypychanie ich na bagna?

Ho, ho, zaraz skocz na panią pół Polski.

– Skoro są granice, to wiadomo, że po coś one są. Ale... Przecież tych parę osób, które przeszły, naprawdę nie robi wielkiej różnicy. Tym bardziej że oni nie chcą u nas zostać. Chcą przemknąć przez Polskę. Nie musimy więc robić sobie na świecie czarnego PR. Robić za faszystów, za okrutników, którzy nie przestrzegają żadnych konwencji.

Ale Polacy oceniają to dobrze!

– Na początku opozycja starała się przypominać, że ochrona granic



RENATA DANCEWICZ

Zniknęło poczucie obciachu

Można mieć zasady i świat może być lepszy

nie oznacza działań bezprawnych, nieprzystających do obrazu państwa z tej lepszej części Europy. Ale jak się okazało, że sondaże są, jakie są, to szybko zamilkła. Weźmy przypadek Basi Kurdej-Szatan. Napisała coś emocjonalnie, zareagowała na to, że umierają dzieci, że im nie pomagamy, że wyganiamy je z powrotem do lasu. I co z nią się stało? Straciła pracę, wylała się na nią niesamowity hejt. Ten hejt to nie były oburzone jednostki ani jakieś wzmożenie patriotyczne. To była zorganizowana akcja.

Która potrafi przemleć człowieka.

– Dla mnie to było okropne. Zachwiało się moje przekonanie, że

lubię być Polką, lubię mieszkać w Polsce i nie chciałam nigdzie indziej. Nawet sobie pomyślałam, że jak PiS wygra kolejne wybory, to chyba wyjadę. Z drugiej strony takie myślenie jest słabe – dlaczego ludzie normalni mają oddać im kraj?

Polska dla prawdziwych Polaków?

– Już w podstawówce dzieci powinny mieć robiony test DNA – skąd pochodzą i kto jakie ma geny. To byłaby najlepsza szczepionka – że z tą polskością, rasą, pochodzeniem to jest tak sobie.

Bo wszyscy jesteśmy wymieszani.

– Testu DNA nie robiłam. Ale wiem o swoich korzeniach tatarskich,

ukraińskich, bo moja rodzina jest z Kresów. To mnie cieszy i mam nadzieję, że mam jeszcze parę innych fajnych domieszek. Wystarczy spojrzeć na Myszkina – jaka to wybitna jednostka!

To pani pies, wielorasowiec.

Biega wokół nas...

– Dlatego nie rozumiem, czemu jednorodność ma być najważniejsza.

Mamy takie czasy, że władza chce, byśmy byli jednakowi, tacy, jak sobie życzy. Teraz są wezwania: kochaj mundur! Wystąpiła pani coś żołnierzom?

– Nie wystąpiłam. To nie jest moja bajka. Rozumiem, że służby

► mundurowe są w państwie potrzebne. Ale policja jest w moich oczach skompromitowana po tym, co się działo ponad rok temu na Strajku Kobiet. Bili kobiety, młodzież ze strajków klimatycznych, nasycali zbiórów z pałkami teleskopowymi. Przecież to wstyd... Z drugiej strony wiem, że to przede wszystkim wina ich dowódców, tych, którzy wydają rozkazy.

Ale warto chyba mieć świadomość, co takie struktury mogą zrobić z człowiekiem.

– Parę lat temu byłam w Sejmie na debacie, którą zorganizowały Wanda Nowicka i Magda Środa, wystąpienie miał Stanisław Obirek, a Tadeusz Bartoś wygłosił wykład na temat formowania ludzi w seminariach. Że polscy księża są jak w wojsku albo jeszcze gorzej. Że wszelka niesubordynacja, czyli myślenie, jakieś wątpliwości i refleksje nie po linii zwierzchników, jest wypalana żywym ogniem. Czemu więc się dziwimy? Nie wiem, czy wszystko można zwać na historię.

Dominuje u nas mentalność chłopaka pańszczyźnianego.

– Moja rodzina jest też z chłopów. **Jak 90% polskich rodzin.**

– Dobrze, że teraz chłopomania nastąpiła. Że Adam Leszczyński napisał

Nie wstydzę się PRL. Moja rodzina jest z awansu społecznego. I nie ma powodu tego się wypierać.

„Ludową historię Polski”, a Kacper Pobłocki – wybitną książkę „Chamstwo”. Dlaczego mam się wstydzić, że ktoś coś robił w XVII czy XIX w.? Albo mam się wstydzić Polski Ludowej? Nie wstydzę się. Moja rodzina jest z awansu społecznego. I nie ma powodu tego się wypierać i domalowywać wąsy na portrecie dziadka, że to był jakiś wielki Sarmata.

Dobrze się czyta Pobłockiego, bo uczłowieczył 90% Polaków. Zawsze była to bezimienna masa, chłop pańszczyźniany, tłuszcza.



W jednym z wywiadów mówiła pani o swoim marzeniu, że to siedzieć wygodnie i czytać książki.

– Jestem czytaczką. Jak się czyta, to się łąduje w różnych światach i przyjmuje różne punkty widzenia. Patrzy na świat różnymi oczami. Człowiek się poszerza.

Potrafi więc pani wczuć się w tych Polaków, którzy teraz są na górze i narzucają jedność i jedyny słuszny punkt myślenia?

– Ta druga część społeczeństwa bierze odwet za to, że w poprzednich 30 latach nie udało się zrobić kariery, ułożyć sobie życia, zarobić pieniędzy... Dostać jakiegoś potwierdzenia, że jest się fajnym, kochanym.

Nie udało się, gdyż...

– Za dużo osób było wykluczonych. I nie myślę tylko o ofiarach likwidacji PGR-ów. To wykluczenie

było znacznie szersze. Żeby być aprobowanym, trzeba było być przedsiębiorczym, młodym, szczupłym. A kto się na to nie załapał – won! Jeżeli robi się tak podstawowe błędy, tak straszną pogardą darzy innych, to potem nie ma co się dziwić... Ci ludzie tak właśnie się czuli i pielegnowali urazy. A teraz się wylało! Mam nadzieję, że to jest taki wrzód, który właśnie pękł. Przed nami proces gojenia i zostanie nam ładna blizna.

Ale przecież tak jest w demokracji, że raz jedni są u władzy, a raz drudzy. Teraz przyszła pora na tych drugich i oni z tego korzystają.

– Zawsze były biznesy z władzą. To się nie zmieniło. Tylko teraz osiągnęło skalę wcześniej nienotowaną. Zniknęło poczucie obciachu. Zawsze byli antysemitami i różni „dziwni” ludzie – ale to był obciach.

Oni pani odpowiedzą, że są patriotami, że są przywiązani do tradycji, a pani

jest po prostu lewaczką. Albo że ulega pani różnym modom, np. feministycznym.

– Moda? Że kobiety mogą kierować rządami, korporacjami? To nie moda, tak powinno być. Nie mamy problemu z żeńskimi końcówkami zawodów słabo opłacanych: pielęgniarka, sprzątaczką, bibliotekarką... Swoją drogą, to paradoks, że pielęgniarka plasuje się na szczycie zaufania społecznego i na dole zarobków.

Widzi tu pani podział na świat mężczyzn i świat kobiet.

– Sufrażystki, emancypantki były bite, wyśmiewane. Jeszcze na początku XX w. profesorowie z UJ twierdzili, że kobieta nie może studiować. Bo krew przepływa z macicy do mózgu i wtedy funkcje rozrodcze są upośledzone.

Ale mamy wiek XXI...

– Feminizm jest w Polsce atakowany, ośmieszany. Teraz, za sprawą protestów, Strajku Kobiet, trochę to się zmieniło, zwłaszcza w świadomości młodszych pokoleń. I to nie tylko w Warszawie. W mojej

ukochanej Ornece na Warmii też były protesty! Teraz czytam sondaże, że większość nawet zwolenników PiS popiera legalną aborcję do 12. tygodnia. Co to oznacza? Że na początku pewne sprawy wydają nam się niemożliwe, a okazuje się, że można zmienić zasady – i świat może być lepszy.

Determinacja organizatorek Strajku Kobiet przynosi więc efekty, przynajmniej sondażowe.

– Doceńmy to! Wiadomo, że dziewczyny, które zarabiają 3 tys. zł, są samotnymi matkami, z małymi dziećmi, nie mają czasu ani głowy, żeby iść i protestować. W ogóle nie mają takiej przestrzeni. Feministki należy hołubić, bo wzięty na siebie to całe odium. Wystawiły się na ataki. Trzeba mieć naprawdę ogromną odporność psychiczną i motywację na cztery koła, żeby to prowadzić.

Upierałbym się, że czasami zbyt wiele czasu poświęcają one sprawom mniejszego formatu, których ludzie nie rozumieją – np. walce o używanie żeńskich końcówek: profesorka, polityczka, ministra.

– Słowa są bardzo ważne. To komunikaty, które idą w świat. Na przykład mała dziewczynka ogląda taką reklamę: mama szyje firanki i zastanawia się, czy kwiatek będzie pasował do motylka. A tatuś mówi: „Powie ci, córeczko, gdzie leży Portugalia”. Czego uczą takie reklamy? Jaki świat pokazują?

Najczęściej mężczyznę, który ma ważne stanowisko lub prowadzi firmę, jest zdobywcą. Kobieta w tej roli to wciąż rzadkość.

– Chociaż Polki są jednymi z najbardziej przedsiębiorczych w Europie.

Reklama tego nie widzi.

– Mężczyzna, który jest autorytetem albo ma dużo pieniędzy, czyli władzę, jest atrakcyjniejszy, jest bardziej sexy. Władza, autorytet dodają mu pewności siebie. Ale proszę zwrócić uwagę – kobieta może być prezeską banku, może być autorytetem, jak nie ma przymiotów sexy, nic jej to nie da. Nawet gorzej! Będzie onieśmiałą. Będzie jej trudniej.

Kobietom śrubuje się nie wiadomo jakie standardy. Presja jest okropna. Żyjemy w świecie bardzo powierzchownym i obrazkowym, w dodatku pod straszną presją podglądania, oceniania... Kiedy dojrzałam, jak

prawie każda dziewczynka miałam depresję, miałam różne huśtawki, ale za nic nie chciałam się zamienić na życie z dziewczynkami, które dorastają teraz, w dzisiejszych czasach. Bo mają taki przekaz: możesz zostać wszystkim, możesz być Skłodowską, kosmonautką, możesz być, kim chcesz, ale biada ci, jak nie będziesz sexy. I te wszystkie dziubki, te anoreksje, te depresje... Dzieci sobie z tym nie radzą.

A rodzice jeszcze dokładają, że nauka...

– To straszne, co robimy własnym dzieciom, ile z nich wymaga leczenia, ile bierze psychotropy! To jest wina rodziców oczywiście. Ale rodzice są produktem tego systemu, tych wartości, które on narzuca. Ja tego nie kupuję. Nie dajmy się zwariować!

Żyjemy w świecie bardzo powierzchownym i obrazkowym, i pod straszną presją podglądania, oceniania.

Przecież się dajemy.

– Rodzice są dziś neurotyczni, uważają, że dzieci to ich największy sukces w życiu.

Przesadzają?

– Jest teoria, że najlepsze, co rodzice mogą zrobić dla swoich dzieci, to wybrać miejsce zamieszkania. Nie to, że pchną dziecko do Harvardu. Ważniejsze jest, gdzie twoje dziecko się urodziło i gdzie rośnie – czyli ważne są otoczenie i rówieśnicy. W pewnym momencie rodzice tracą na znaczeniu, autorytetem staje się grupa rówieśnicza. Ona narzuca, jakiej muzyki słuchać, w jaką grać grę... Opuśćmy dzieciom, bo i tak niewiele od nas zależy. Kochajmy je i to wystarczy. Im nie należy przeszkadzać, lepiej wziąć się za swoje życie. To będzie duża ulga – i dla nas, i dla nich.

Pani mówi o odpuszczaniu, a ja czytam, że presja jest z roku na rok coraz większa, że coraz więcej dzieci chodzi do szkół społecznych i prywatnych.

– I to niestety. Edukacja jest niestłuchanie ważna i dlatego powinniśmy zrobić wszystko, żeby była publiczna i bezpłatna – i to na jak najwyższym poziomie. Oczywiście nie możemy zabronić szkół prywatnych, społecznych, wyznaniowych. Ale przede wszystkim pieniądze i najlepszych ludzi powinniśmy kierować do

szkół publicznych. Czas zrozumieć, że segregacja i hodowla geniuszy nie służy społeczeństwu. Klasy powinny być tak dobrane, żeby byli w nich i geniusze, i kujony, i średni uczniowie, i ci, którzy z nauką są na bakier. Są badania, które pokazują, że wtedy wszyscy odnoszą korzyści. Bo to, co dzieje się dziś z edukacją – brak mi słów... Rodzice troszczą się o edukację swoich dzieci, więc zapisują je do prywatnych albo społecznych szkół, płacą, zarzynają się... Za chwilę kto będzie mógł – wypisze swoje dzieci ze szkoły publicznej i zostaną slamsy.

Ucieczka z przestrzeni publicznej dotyczy nie tylko szkół.

– Szpitale! Wszyscy jesteśmy prywatnie poubezpieczani albo chodzimy prywatnie do lekarza i to jest największe zło, jakie może być. Gdyby

ludzie leczyli się tylko publicznie, toby wymogli, żeby ten system był sprawniejszy. Tak pozbywamy się wspólnotowości, dobra publicznego. **Z własnej woli.**

– Dlatego, że nie rozumiemy, że w kraju, w którym jest tak duże rozwarstwienie, jest tyle biednych ludzi żyjących w ubóstwie, a nawet w nędzy (2 mln ludzi żyje za mniej niż 640 zł miesięcznie na głowę), żyje się źle. Wszystkim, nawet zamożnym. Bo oni żyją wtedy w getcie, chronieni, ale w strachu. Nie wiem, dlaczego ci bogaci nie są w stanie tego zrozumieć.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Biedny inteligent patrzy na Dode

Celebryci – czy tego chcemy, czy nie – są odbiciem stanu polskiego społeczeństwa

Rafał Pikuła

Facet wyglądał jak inteligent – ubrany był w jasnoniebieską koszulę i tweedową szarą marynarkę – i w rzeczy samej był inteligentem. A dokładnie profesorem AGH w Krakowie. Jechaliśmy pociągiem z nowej do starej stolicy Polski, rozmawiając o wystawie Sasnała, konkursie chopinowskim i bieżącej polityce. Gdy kurtuazyjna rozmowa dobiegła końca, ów profesor schował się za płachtą zagranicznego periodyku naukowego. Traf

człowiekiem, nawet jeśli nosi znamiona wścibstwa?

**Z czego się śmiejecie?
Z samych siebie się śmiejecie**

„Wprawdzie to właśnie publiczność sprawiła, że celebryci stali się celebrytami, (...) ale ta sama publiczność zawdzięcza celebrytom swoje własne istnienie. Gdyby nie czynność wynoszenia celebrytów na świeczniki, ponad-sąsiedzka, ponad-narodowa, ponad-partyjna, ponad-ideologiczna, ponad-klasowa

Celebrytami mniej lub bardziej interesujemy się wszyscy, choć wielu z nas boi się do tego przyznać.

chciał – a raczej nie traf, lecz stan polskich kolei – że pociąg nagle stanął. Wówczas towarzyszywi podróży wypadło świeżutkie wydanie „Życia na Gorąco”, tygodnika specjalizującego się w barwnym opisywaniu życia gwiazd. Profesor spąsował, do końca drogi nie odezwał się ani słowem. Bał się, że wyszedł na jaw jego wstydlawy sekret? Zainteresowanie życiem celebrytów bynajmniej mnie nie zdziwiło ani nie zniesmaczyło. Celebrytami bowiem mniej lub bardziej interesujemy się wszyscy. Śledzenie celebryckich newsów jest egalitarne i powszechne, choć wielu z nas boi się do wstydlawej fascynacji przyznać. W dobrym tonie jest interesowanie się ambitną literaturą, a nie plotkami. Zgodnie z bon motem, że inteligentni ludzie interesują się ideami, a głupi innymi ludźmi. Czy jednak jest coś bardziej ludzkiego niż zainteresowanie innym

publiczność, pozbawiona alternatywnego skalającego paliwa i ucieleśniona (...) tylko w statystyce sprzedanych płyt, biletów kinowych lub koncertowych albo ilustrowanych tygodników, nie miałyby okazji zaistnieć”, pisał już prawie 15 lat temu Zygmunt Bauman w przedmowie do głośnej książki „Znani z tego, że są znani. Celebryci w kulturze tabloidów”. Autorem wspomnianej książki jest prof. Wiesław Godzic, filmoznawca, medioznawca i socjolog, autor interdyscyplinarnego badania „Celebryci w polskiej przestrzeni medialnej i społecznej”.

W opracowaniu tym, jak ocenia prof. Kazimierz Wolny-Zmorzyński, odbija się jak w lustrze marna kondycja polskiego społeczeństwa, goniącego za sensacją, przywiązującego wagę do tego, co mało wartościowe, biorącego przykład najczęściej



Niegdyśiejsza supergwiazda Dorota Doda Rabczewska brzydko gaśnie.

z osób niewykształconych i płytkich. Zdaniem badacza masy dobrowolnie i bezmyślnie poddają się manipulacji mediów i ich twórców, bo same są niewykształcone i nie umieją odróżnić rzeczy wartościowych od mało istotnych.

To dosyć ostra opinia o relacjach między celebrytami i ich odbiorcami. Sam prof. Godzic widzi pożytek z istnienia celebrytów. Jego zdaniem opowieść o celebrytach jest doskonałym sposobem opowiadania o współczesnej Polsce, o obecnych nad Wisłą systemach zachowań, rolach społecznych i aspiracjach Polaków. Bo jeśli niemal wszystkie



Małgorzata Rozenek-Majdan to jedna z najczęściej cytowanych celebrytek w Polsce.

nastolatki chcą być influencerkami, celebrytkami, chcą być znane i bogate, to skądś ta inspiracja musi pochodzić.

Pomimo tej fascynacji nasz oficjalny stosunek do celebrytów bywa niejednoznaczny. – Freud mówił, że coś kochamy i nienawidzimy jednocześnie – wyjaśnia prof. Godzic, badający zjawisko celebrytów od wielu lat. – Chcemy być jak celebryci, chcemy ubierać się tak jak oni i korzystać jak oni z różnych luksusów, ale zazwyczaj nie stać nas na markowe ciuchy, buty ani gadżety. Z drugiej strony jesteśmy zazdrośni, że oni mają produkty oryginalne,

a my zaledwie licencjonowane podróbki. W związku z tym cieszymy się z porażek celebrytów, mniej im wybaczymy. Gdy np. taką gwiazdę złapią na jeździe po pijaku, to jesteśmy bezwzględni – podkreśla profesor.

O ambiwalencji naszego stosunku do celebrytów pisał też Zygmunt Bauman: „Te serca biją jak nasze. Te sny do złudzenia nasze marzenia (a czasem koszmary) przypominają. Te wzloty i upadki to nasze małe satysfakcje i przykre potknięcia, tyle że na wielki ekran rzucone, by więcej ludzi, i dokładniej, mogło się im przyjrzeć, a przyglądając się, tłumnie im wagi przysporzyć. Żywoty celebrytów biją tym samym, co nasze, rytmem

Gwiazda jest znana z czegoś, artysta tworzy sztukę, a celebryta to osoba znana z tego, że jest znana.

– tyle że głośniejsz. Schodzą się i rozchodzą, kłócą się i godzą, popadają w nałogi i z nałogów się leczą, zbierają oklaski i gwizdy. Hołdując celebrytom, składamy hołd sobie. (...) Uznając poczynania celebrytów za godne uwagi, pozyskujemy uznanie dla swoich. A wszak trudno o krzywdę okrutniejszą i boleśniejszą od odmowy uznania”.

Nasze zainteresowanie celebrytami jest jak śmiech z komedii „Rewizor” Mikołaja Gogola. Parafrazując klasyczny cytat, można retorycznie zapytać: z celebrytów się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie.

Między Gajosem a Godlewską

Powiedzieć, że celebryci są lustrem społeczeństwa (jako twory popkultury odpowiadają masowej wyobraźni i masowym potrzebom), jest łatwiej, niż jasno określić, kim jest – a kim nie jest – celebryta. Kilka lat temu Kuba Wojewódzki w autobiografii wyraźnie kpił z celebrytizmu i zaznaczał, że do grona celebrytów nie należy. Samozwańczy król TVN odżegnuje się od łatki celebryty, wyraźnie dając do zrozumienia, że jest kimś lepszym. Woli sytuować się tuż obok Janusza Gajosa czy

Dawida Ogrodnika – którzy, owszem, są znani, ale nie powiedzielibyśmy o nich, że to celebryci – niż sióstr Godlewskich.

– Celebryta to pojęcie dosyć rozmyte i przez co mniej rozgarniętych używane jako synonim słowa gwiazda czy artysta. Ja stosuję zdrowe rozróżnienie: gwiazdą jest osoba, która jest znana z czegoś: muzyki, filmu, serialu czy sztuki, artysta jest osobą, która sztukę tworzy (może być znany lub nie), a celebryta to osoba, która jest znana z tego, że jest znana. Pokazuje swoje życie, sprzedaje prywatność i ma w sobie coś, co sprawia, że inni są zainteresowani jej życiem – definiuje zjawisko Patryk Cholewicki, niegdyś wydawca plotkarskiego serwisu Pudelek, twórca satyrycznego serwisu Vogule Poland.

O celebrytach w dzisiejszym rozumieniu tego słowa możemy mówić od czasów książki „The Image: A Guide to Pseudo-Events in America” (1962) amerykańskiego historyka Daniela Boorstina. W tej właśnie publikacji po raz pierwszy pojawiła się obowiązująca do dziś definicja *celebrity*, czyli bycia znanym z tego, że jest się znanym. Wcześniej popularność wynikała z jakichś dokonań. Ktoś mógł być znanym aktorem lub uwielbianym piosenkarzem. Wraz z rozwojem masowej rozrywki i masowych mediów pojawiły się też jednak pseudowydarzenia, dzięki którym rodzą się i błyszcą celebryci.

– Takie wydarzenie jest ważne nie dlatego, że ma jakąś wagę, ale dlatego, że jest opisywane przez media. Nie chodzi o wielką premierę opery czy filmu, ale o wydarzenie samo w sobie, które można sfotografować i opisać. Pojawienie się pseudowydarzeń zmieniło w zasadzie całą logikę działania systemu rozrywkowego – wyjaśnia początki zjawiska dr Helena Chmielewska-Szajfer, socjolożka związana z Akademią Leona Koźmińskiego.

Dziś pseudowydarzenia są kuźnią celebryckich afer. Celebryta jest ich produktem i żeby utrzymać się przy medialnym życiu, musi być w nim stale obecny. Z powodu ▶

▶ nowej partnerki lub partnera, z powodu zaręczyn, ślubu lub rozwodu, bo wyjechało się na wczasy, kupiło dom albo samochód. Ta sława jest nietrwała jak statusy na Facebooku. Trzeba ją ciągle podgrzewać.

Pseudow wydarzeniem może być nawet zmiana fryzury, operacja plastyczna czy choroba. Słabości szczególnie są w cenie. Przez nie – a celebryci mówią o nich chętnie w wywiadach – zanika silna do niedawna granica między światem publicznym i prywatnym. Ulegając słabościom, stają się bardzo podobni do wielbiącej ich wspólnoty. Chociaż ze słabościami trzeba uważać. Bo to, co ujdzie cenionemu reżyserowi czy pisarzowi, niekoniecznie będzie wybaczone osobie znanej, ale bez większych dokonań.

– Weźmy taką Kalinę Jędrusik. Poza oczywistym talentem aktorskim i wokalnym była także celebrytką swoich czasów, a o jej romansach huczało pół Polski – podkreśla Patryk Chylewicz. Wyczyny seksualne Jędrusik, tak odważne na tle szarej Polski sprzed dekad, nie przeszkodziły jej stać się legendą. Podobne epatowanie seksualnością Joli Rutowicz – tani erotyzm – pozwoliło jej błysnąć ledwie na moment. Dziś o niedawnej partnerce dzisiejszej gwiazdy TVP Jarosława Jakimowicza mało kto pamięta.

Z badania prof. Godzica wynika, że największy odsetek celebrytów

stanowią obecnie aktorzy i aktorki, ale ta sytuacja zaczyna się zmieniać, bo coraz częściej do grona celebrytów trafiają osoby kompletnie niezwiązane ze światem artystycznym. – Znam kilku naukowców, którzy są celebrytami. To samo dotyczy lekarzy czy księży – wymienia autor „Celebrytów w polskiej przestrzeni medialnej i społecznej” i dodaje: – W tym poszerzaniu grona celebrytów widzę jednak szansę. Jest bowiem taki rodzaj celebrytizmu, który

Zygmunt Bauman: Wprawdzie to publiczność sprawiła, że celebryci stali się celebrytami, ale ta sama publiczność zawdzięcza celebrytom swoje istnienie.

pochwalam. Chodzi np. o lekarzy czy naukowców, którzy umieją stworzyć oryginalny wizerunek i wykorzystują potem swoją popularność do promowania właściwych postaw, przystępnym językiem tłumacząc zawiłe procesy medyczne czy naukowe.

Panteon naszych czasów

Chociaż celebrytów przybywa, wbiecie się na jedynek Pudelka wcale nie jest łatwe. W końcu celebrytstwo to ciągła zadyszka, pogoń za pseudow wydarzeniami i ciągła autokreacja, bo tylko tak można „pozostać w obiegu”. Z drugiej strony jak już człowiek na tę ściankę się dostanie, to wiele

nie musi. Gadać może, co mu ślina na język przyniesie.

– Żyjemy w takich czasach, że niestety każdy może uchodzić za specjalistę od wszystkiego. Brakuje nam prawdziwych autorytetów, co skutkuje tym, że dla wielu głos Edyty Górniak w sprawie szczepień jest głosem istotnym. Ponadto niektóre tematy są nośne, więc publikacja tego rodzaju treści spotyka się z dużym poklaskiem. Czy większość celebrytek popierających wolny wybór

w kwestii aborcji i chętnie wstawiających piorun na swój instagramowy profil zrobiła coś więcej? Przelata pieniądze na fundacje pomocowe? Inaczej wsparła emancypację kobiet? Nie, zrobiły to nieliczne, ale większość zebrała dużo lajków za pozorne działania – komentuje charakterystyczny dla celebrytów pusty słowotok Patryk Chylewicz.

Demokratyzacja sławy sprawia, że – wbrew temu, czego chciałby Kuba Wojewódzki – obok siebie łądzą Gajos i Godlewskie, Krystian Lupa i Bożena Dykiel. – Dziś wszystko to się miesza i celebrytami mogą być nazywani zarówno aktorzy, którzy spędzili lata, ucząc się i grając w filmach, jak

Oni błysnęli w roku 2021!

Dorota Doda Rabczewska – piosenkarka najlepsze lata ma już za sobą, ale nie daje o sobie zapomnieć. W 2021 r. głośno było o filmie „Dziewczyny z Dubaju”, który współprodukowała, a także o jej... problemach prawnych. Niegdyśiejsza supergwiazda brzydko gaśnie.

Julia Wieniawa – aktorka młodego pokolenia znana m.in. z rodzimego horroru „W lesie dziś nie zaśnie nikt”. Stała bywalczyni Pudelka. Jej najbardziej znaną rolę wciąż pozostaje gra w reklamie Apartu.

Magda Gessler – restauratorka i osobowość telewizyjna, właścicielka i współwłaścicielka kilkunastu restauracji, a przede wszystkim kuchenna rewolucjonistka. Pomagała (z większym bądź mniejszym skutkiem) zmieniać oblicze polskiej gastronomii nawet w pandemii, stając w przyłbicy naprzeciw restauratorom.

Małgorzata Rozenek-Majdan – prezenterka, pani od wszystkiego. Przełomem w jej medialnej działalności było prowadzenie programu „Perfekcyjna pani domu” emitowanego przez TVN i TVN Style, w którym celebrytka pomagała uczestniczkom

uporać się z nieładem w ich mieszkaniach. Tak się zadomowiła w mieszkaniach Polaków, że wyskakuje im z łódki.

Viola Kołakowska – jak to mówią w plotkarskiej prasie, pani „mądra inaczej”. Naczelną koronasceptyczka RP, o której w tym pandemicznym czasie musiało być głośno. Niestety.

Karol Wiśniewski – historia Friza, bo pod tym pseudonimem Karol jest bardziej znany, to istnie od „od zera do milionera”. Ekipa, którą stworzył, była znana jedynie nastolatkom, ale usłyszeli już o niej także dorośli. Głównie podczas zakupów, ponieważ Ekipa wypuściła własne napoje, lody, gadzety oraz ubrania, które stały się z miejsca pragnieniem wielu dzieciaków.

Michał Matczak – Mata to raper i syn swojego ojca. A tym ojcem jest nie byle kto, bo sam prof. Marcin Matczak, prawnik tytan pracy i nowy wzór rodzicielstwa. Mata błysnął w 2021 r. nową płytą, na której można znaleźć piosenki wyrażające niechęć do starszych babć i Jacka Kurskiego. Mata miał poza tym własny zestaw w McDonald's.

Zuzanna Irena Jurczak, znana jako Sanah – oczy jej są jak diamenty i do panów niepytane mienia się. Nie powinno więc dziwić, że pół Polski nuciło i wciąż nuci jej piosenki. Teledysk do piosenki Sanah „Ale jazz!”, którą wykonała z Vito Bambino,

19-latk Oliwia Bieniuk coraz śmielej zdobywa tamy Pudelka i Plotka.

i osoba, która zajmuje się pokazywaniem wspaniałego domu, w którym mieszka, oraz modnych dresów. W celebryckim panteonie sław znajdzie się człowiek, dla którego sława jest niejako efektem ubocznym pracy, oraz ktoś, kto miał dobry pomysł na to, jak zdobyć uwagę – podkreśla dr Chmielewska-Szlaifer.

Czy tego chcą, czy nie, bardzo często „prawdziwi artyści” są zmuszani do celebryckich praktyk. Bo za pseudowydarzeniami idzie sława, za sławą idą kontrakty, za kontraktami kasa. Bez *honey* nie ma *money*. „Deprywatyżując swoją prywatność – jak pisała Dorota Maśłowska – podając ją do konsumpcji i oceny znajomym i nieznanym, bliskim i obcym”, celebryci, a także prawdziwi gwiazdorz, zarabiają na życie.

Śledząc Instagram aktorów teatralnych, piosenkarzy po szkołach i pisarzy, co na Jamesie Joysie zjedli zęby, widzę, że hurtowo dzielą się z masami skrawkami ze swojego życia, od zdjęć USG po filmiki z mycia zębów, od porzuconych majtek po wciągnięcie flagi; widzę ich codzienność, euforię, smutek, wieczór i poranek. Wiem, co jeden pisarz ze



Śląska je i czym jeździ, ale nie wiem, jak pisze; znam zapatrywania polityczne wirtuoza gitary, ale nie mam pojęcia, jaki duch twórczy go nawiedza. Jasne, za tymi odsłonami są pieniądze, a przecież oprócz złotej płyty czy Nagrody Nike warto mieć co do gara włożyć. Swoją drogą, już Jerzy Pilch – będący chyba pierwszym pisarzem celebrytą w dziejach polskiej

literatury – pytany o wartość Nike odpowiedział całkiem serio, że pieniądze, które idą za laurem, pozwolą mu przeżyć dłuższy czas bez potrzeby pisania.

Postać wirtualna, sława realna

Przyspieszenie technologiczne i transformacja cyfrowa nie omijają świata celebryckiego. Wręcz przeciwnie – celebryci są w awangardzie zmian przynoszonych przez innowacje cyfrowe. Nową kategorią z pogranicza świata celebrytów i ekspertów są influencerzy. Nie są tak wylewni jak ci pierwsi, a w przeciwieństwie do drugich rzadko mogą się pochwalić tytułem naukowym i akademicką wiedzą.

– Te dwa światy się przenikają i różnica pomiędzy celebrytami a influencerami jest dosyć płynna. Influencerzy, jak sama nazwa wskazuje, wpływają na nasze wybory. Ich celem jest przekonanie odbiorców – głównie w mediach cyfrowych – do konkretnego zachowania, często do nabycia jakiegoś produktu. Dzięki temu również mogą się stać celebrytami. Dziś celebrytstwo może być świeceniem blaskiem własnym dzięki pracy albo odbitym, opartym przede wszystkim na atencji mediów – tłumaczy dr Chmielewska-Szlaifer. ▶

był najchętniej oglądanym/słuchanym teledyskiem w 2021 r. na polskim YouTube.

Ania Lewandowska – sportsmenka, bizneswoman i żona Roberta Lewandowskiego. W 2021 r. bardziej niż nowymi bezglutenowymi ciasteczkami zastąpiła konflikt z Mają Staśko. Aktywistka skrytykowała żonę Roberta za instastory z tańcem w stroju osoby otyłej. Lewandowska uznała krytykę za grubą przesadę i zaproponowała rozwiązanie sprawy w sądzie. Tak to bywa, gdy się ma nadmiar kasy i niedomiar empatii.

Oliwia Bieniuk – córka Anny Przybylskiej. 19-latką coraz śmielej zdobywa tamy Pudelka i Plotka. Sławę wytańczyła sobie „Tańcu z gwiazdami”, uzupełniając to odważnymi zdjęciami. Etatowo udziela wywiadów na temat mamy i rodziny.

Andrzej Piasek Piaseczny – piosenkarz wyszedł z szafy i przyznał, że jest gejem. Całkiem normalne wyznanie sprawiło, że Piasek nagrał sobie w telewizji Jacka Kurskiego. Stracił rolę jurora i trenera w programie TVP „Voice of Poland”, ale zyskał ogromną sympatię Polaków.

Barbara Kurdej-Szatan – aktorka szerzej znana z roli blondynki w reklamach Play przemieniła się w buntowniczkę. Ostro

skrytykowała działania Straży Granicznej i stała się pierwszą głośną ofiarą *cancel culture*.

Joanna Opozda – gwiazda rodzimych komedii romantycznych. W 2021 r. zyskała sławę głównie z powodu ciąży. Media plotkarskie rozpisują się o jej stanie błogosławionym i nie powinno to dziwić, bo zachodzenie w ciążę w tym kraju to przejaw sporej odwagi.

Sara Leokadia Sudół, znana jako Young Leosia – jeśli nie wiesz, kim jest Young Leosia, to jesteś boomerem. Tak można w skrócie opisać fenomen młodej raperki. Faktem jest, że jej 20-minutowy minialbum „Hulanki” już w przedsprzedaży pokrył się platyną (ponad 30 tys. sprzedanych egzemplarzy), zapowiadające go single „Szklanki” (22 mln wyświetleń) i „Jungle Girl” (14 mln w miesiąc) śmiało można zaliczyć do największych przebojów roku 2021.

Szymon Sobel – kolejna hiphopowa gwiazdka. Teledysk do jego piosenki „Fiołkowe pole” był drugim najchętniej oglądanym klipem na YouTube. Jest postacią tyleż ciekawą, co enigmatyczną, rzadko udziela wywiadów, ale gdy to robi, mówi z sensem. W programie Kuby Wojewódzkiego wyznał, że jest „dziwnym gościem”.

► Influencerzy nie potrzebują pseudowydarzeń, chyba że chcą się stać celebrytami. Ale podgryzają powoli tort sławy i pieniędzy, przy którym do tej pory siedzieli artyści i celebryci. Coraz częściej to influencerzy – znani z YouTube’a, TikToka czy Instagrama – zdobywają kontrakty reklamowe i stają się ambasadorami marek. W przeciwieństwie do celebrytów najczęściej mają coś do powiedzenia, nierzadko wykazują się ekspercką wiedzą, stanowiąc poważną konkurencję w przestrzeni medialnej dla ekspertów, którzy bywają zbyt hermetyczni dla coraz bardziej rozrywkowych form debat telewizyjnych.

W kolejce po konfitury popularności ustawiają się też celebryci wirtualni. Boty są coraz częściej łakomym kąskiem dla marketingu. Taka Lil Miquela jest piegowatą 19-latką, której kariera muzyczna rozwija się prężnie. Jej piosenki mają miliony wyświetleń, ma własną playlistę na Spotify. Idzie z duchem czasu i zna najnowsze trendy w modzie, jej kreacje bowiem są stylowe i luksusowe. Chętnie zakłada ubrania z metką Prady albo Chanel. Identyfikuje się także z organizacjami pozarządowymi. Lil Miquela zarabia prawie 9 mln funtów brytyjskich rocznie. Problem w tym, że tak naprawdę nie istnieje.

Prof. Wiesław Godzic: Jest rodzaj celebrytizmu, który pochwalam. Chodzi o lekarzy czy naukowców.

Na razie wirtualni celebryci są formą eksperymentu i mogłoby się wydawać, że dużo wody w Wiśle upłynie, nim zaczniemy z wypiekami na twarzy śledzić losy gwiazdy, za którą stoi sztuczna inteligencja. Próby ograniczenia „działalności” wirtualnych celebrytów w krajach Dalekiego Wschodu pokazują jednak, że coś jest na rzeczy. W końcu – jak pokazują liczne badania – wśród najmłodszego pokolenia, zwanego pokoleniem Alfa, granica pomiędzy tym, co realne, a tym, co wirtualne, zaciera się coraz bardziej. Zdaniem Ady Florentyny Pawlak, antropolożki technologii, pokolenie, które dziś dorasta, nie będzie widziało dużej



różnicy między rozmową z człowiekiem a konwersacją ze sztuczną inteligencją.

Dla osób wychowanych na telewizyjnych serialach fizyczne istnienie celebrytów ma ogromne znaczenie. W końcu marzeniem wielu osób wciąż jest spotkanie gwiazdy ulubionego filmu, serialu czy zespołu muzycznego. Ogromną popularnością cieszą się licytacje (np. przy okazji WOŚP) kolacji ze znaną osobą. Dla pokolenia dzisiejszych 30-,

40- i 50-latków wartością jest np. pójście na piwo z Karolakiem. Drink z botem wciąż brzmi dla nich jak potraczne *science fiction*.

Tabloid prawdę ci powie

Kończąc ten wywód, muszę wrócić do historii z pociągu. Otóż profesor AGH, wysiadając w pośpiechu z przedziału na stacji Kraków Główny, zostawił „Życie na Gorąco” na siedzeniu. Wziąłem tygodnik do ręki, bo z racji związków zawodowych nie lubię, jak prasa się marnuje. Przekartkowałem wydanie. Z okładki uśmiechała się Małgorzata Rozenek-Majdan (według badań prof. Godzica

Szymon Sobel rzadko udziela wywiadów, ale gdy to robi, mówi z sensem.

jedna z najczęściej cytowanych i opisywanych celebrytek w Polsce). W numerze głowiono się nad tym, czy Grażyna Wolszczak odzyska utracone pieniądze, i co poza seksem mogło łączyć Urszulę Sipińską i Stanisława Dygata – ukłon w stronę najstarszych czytelników – oraz przedstawiano „fajdę”, jaką miał sprawić ojcu Piotr Gąsowski. Słowem, tematy, problemy, zagadnienia, które dotyczą milionów Polaków.

Maria Janion pisała, że „świat żywych ufundowany jest na świecie umarłych”. Parafrazując słowa wielkiej badaczki romantyzmu, można powiedzieć, że świat celebrytów jest ufundowany na świecie szaraków. Opowieść o celebrytach jest jak najbardziej opowieścią o nas. O naszych planach, marzeniach i snach, o naszych trudach, znojach i móżolach.

Nie wiem, czy warto czytać „Życie na Gorąco”, ale w opinii dr Heleny Chmielewskiej-Szajfer lektura tabloidów, a także portali plotkarskich, takich jak Pudelek, Kozaczek bądź Plotek, pozwala badać nastroje społeczne. – Tabloidy w zupełnie otwarty sposób, od samego początku piszą o rozrywce, sprawach kryminalnych, skandalach i seksie. Nie wstydzą się tego i są pod tym względem na swój sposób uczciwe. Jeżeli chcemy na poważnie śledzić życie publiczne, musimy sięgać również po brukowce i zaglądać do portali plotkarskich. Warto też spojrzeć do sekcji komentarzy. Można tam znaleźć *vox populi*, z lękami, bólczkami i marzeniami – komentuje socjolożka.

Rzecz jasna, nie chodzi o to, żeby porzucić lekturę Prousta na rzecz serwisu Jastrząb Post i wzorem Jacka Kurskiego promować wyłącznie Zenka Martyniuka. Raczej chodzi o dostrzeżenie, że wgląd w świat celebrytów pozwala lepiej zrozumieć wartości ważne dla mas. W końcu od nich – jak pisał Bauman – zależy los celebrytów. Jeśli biedny, spłoszony inteligent patrzy na Małgorzatę Rozenek-Majdan, Magdę Gessler czy Dodę, ostatecznie robi to z pewnym pożytkiem dla siebie.

Rafał Piłkuła



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ku nowej utopii

Jak onegdaj przez lata, felietonizując sobie po- lub nieporadnie, wracam do wypełnienia ankiety Audena o świecie dla siebie i innych wymarzonem. Auden uważał, że jeśli ktoś coś pisze, żeby inni czytali, musi opowiedzieć o swoim świecie idealnym, wyobrażonym, że to prostu uczciwe. Więc proszę, o takim świecie myślę/ marzę teraz. Ten, który jest, winien być wspomnieniem, ostrzeżeniem, przestroga i nauką. Zapraszam zatem do mojej utopii.

PEJZAŻ

Tu jestem dość stały: śródziemnomorskość, z wyrazistymi górami, schodzącymi stromo w morze, chętnie gdzieś niedaleko jednak słodkowodne jezioro i jedna rzeka porywista, a druga łagodna. Wypowatogennie.

KLIMAT

Kalifornijsko-dalmatyński. Nic lepszego bogowie, których nie ma, nie wymyślili, chyba że kto kocha Antarktydę i zwyczajem rosyjskich matrosów z podwodnych atomówek skacze do oceanicznej wody o ujemnej temperaturze.

POCHODZENIE ETNICZNE MIESZKAŃCÓW

Internacjonalistycznie do bólu, z całego świata, ludzie i zwierzęta wszystkich gatunków i gałęzi. Zoopolis. Wszystkich kolorów skóry, wysocy i maludy; raczej nie otyli, bo będzie im źle.

JĘZYK

Żeby się ze sobą dogadać, migowy byłby idealny, języki narodowe do czytania i pisanie, byłoby i spokojniej, i ciszej, i bardziej bezkonfliktowo.

WAGI I MIARY

Tyle tego, a tyle tamtego, stąd, do-tąd, potąd, jakkolwiek, gdziekolwiek, pocokolwiek.

RELIGIA

Jedyny zakaz. Żadnych wiar, żadnych bóstw, świętych, błogosławionych

i namaszczonech, żadnych kaplic, świątyń, ołtarzy, konfesjonatów, dzwonów i kadzideł. Przestrzeń do siedzenia nieruchomo, powszechnie dostępna, być może nawet częściowo zadaszona, ale otwarta.

WIELKOŚĆ STOLICY

Bez wielkiego przekonania, każda miejscowość swoją stolicą, każda wyspa ma oddzielną, przestrzenie podzielone na małe wspólnoty, żadne tam księstwa, takie jakby przeogromne falanstery.

FORMA RZĄDÓW

Oczywiście demokracja kleroteriono-wa, czyli zamiast wyborów – losowanie osób do pełnienia funkcji społecznych, publicznych i rządowopodobnych, ale bez wielkiej przesady z tym rządzeniem. Lepiej więcej sprawnych małych instytucji niż tych napuszonych, niekompetentnych, przypadkowych z nadania, posłusznych, biernych, ale wiernych bucefałów. Wybory robione jak sondaże na grupie reprezentatywnej – żadnej męskiej, uzurpacyjnej nadreprezentacji, raczej proces wyrównywania krzywd i dyskryminacji, przez kolejne 5 tys. lat rządzą kobiety. A chłopaki walczą o swoje prawa, malują transparenty: „Chcemy parytetów albo choć 20%!”, „Mężczyzna też jest człowiekiem”, „Prawa kobiet prawami mężczyzn”, „Potrafimy nie tylko gotować, sprzątać i opiekować się dziećmi” itd.

NATURALNE ŹRÓDŁA ENERGII

Naturalnie, że naturalne, ale i naturalnie naturalne – małe jądrowe elektrownie przyzagrodowe, przydomowe, przenośne i mobilne, poza panelami słonecznymi, wiatraczkami, wiatrolapkami i minihydroelektrowniczkami.

WYTWÓRCZOŚĆ GOSPODARCZA

To, co trzeba, i niczego więcej. Konkurencja jest przekleństwem, nadmiar zbrodnią, nadwyżki produkcji nietolerowalne. Raczej spółdzielczość powszechna i zakłady pracy publiczne, prywata

wstydliva, ukryta, bez przywilejów, podatki jak dla najbogatszych w USA pod koniec lat 60. – ponad 90%. He, he.

ŚRODKI TRANSPORTU

Panroweryzm, wszechbicyklizm (dopuszczane byłyby rowery elektryczne, szczególnie dla osób po 70. roku życia i w wersjach transportowych). Kajak. Deski. Dopłaty dla chodzących pieszo i biegających. Jeśli samochody, to rzadko i na krótko, wypożyczane, koniec z maczystowskim fetyszyzmem potworów, które śmierzdzą, hałasują i kosztują. Jeremy Clarkson próbuje skonstruować silnik napędzany jego łzami.

ARCHITEKTURA

Niskopienna, z kamienia, piasku, z elementami drewna, z odnawialnych tworzyw sztucznych, kolorowo, wygodnie. Słowo apartament wykreślone ze słownika.

STRÓJ OFICJALNY

Wygodny. Dowolny. Tylko *second hand* – już wyprodukowaliśmy wystarczająco dużo wszystkiego, a nawet więcej.

ŹRÓDŁO INFORMACJI PUBLICZNEJ

Publiczne media – wyłącznie. Publiczne, czyli pracujące dla społeczeństwa, nigdy dla władzy. Tylko do czytania i słuchania. Komputery i internet – dawkiwane oszczędnie, max godzina dziennie, chyba że naukowcy, artyści, projektanci, budowniczowie.

POMNIKI PUBLICZNE

Brak, przerobione na atrakcje wspinaczkowe dla dzieci.

ROZRYWKI PUBLICZNE

Śpiewanie, spacer, wycieczki, sporty, tańce, rozmowy, rysowanie, tkanie, rzeźbienie i ceramika. Milczenie, patrzenie, oddychanie. CZYTANIE.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Dominika Tworek

Najwięcej jedzenia, bo aż 60% z 5 ton zmarnowanych przez rok, wyrzucają sami konsumenci, co pokazują najświeższe badania przeprowadzone w ramach polskiego Programu Racjonalizacji i Ograniczenia Marnotrawstwa Żywności. W śmietnikach najczęściej lądują: pieczywo, owoce, warzywa i wędliny. Powodem pozbywania się żywności jest przeważnie jej zepsucie, ale też przegapienie terminu ważności, zła jakość produktów, przygotowanie zbyt dużej ilości jedzenia oraz kupowanie więcej, niż faktycznie potrzeba.

Szczególnie dużo marnujemy w święta, kiedy na naszych stołach pojawiają się dziesiątki rozmaitych tradycyjnych potraw. W dobie kryzysu klimatycznego ulubioną rybę warto nabyć u lokalnego dostawcy – i postarać się, żeby po

zakończeniu uczty wigilijnej dania nie trafiły do kosza.

Oddaj jedzenie do jadłodzielni

W odpowiedzi na problem marnowania żywności niecałą dekadę temu w Niemczech powstał ruch społeczny Foodsharing. Polega na dzieleniu się nadwyżkowym jedzeniem przez oddanie go do punktów wymiany, z których każdy – bez wyjątku – może coś zabrać. Takie jadłodzielnie działają w myśl zasady: przynieś to, co sam mógłbyś zjeść.

We Wrocławiu pierwsza – w postaci małej lodówki i szafki – stanęła pięć lat temu na studenckim kampusie. Inicjatywą szybko zainteresowało się wiele osób spoza środowiska akademickiego. Foodsharing otwierał więc kolejne punkty, tym razem w ogólnodostępnych częściach miasta.

– Jeśli ktoś ma czegoś za dużo, bo nie zjadł całego obiadu, albo testował nowe odkrycia kulinarne, np. tapiokę, i jednak się nie pokochali, może to oddać, a ktoś inny może się poczęstować. Warto pamiętać, że to



Świąteczny zero waste

W polskich domach w każdej sekundzie do kosza trafia 92 kg żywności. To tak, jakbyśmy wyrzucali prawie 200 bochenków chleba

inicjatywa ekologiczna, a nie pomocowa. Choć oczywiście z punktów korzystają też osoby, dla których zebrane jedzenie to być może jedyny posiłek w ciągu dnia. Natomiast nie jest to naszym założeniem – mówi koordynatorka Foodsharing Wrocław Agnieszka Maniewska.

Zamiast określenia wolontariuszka woli ratowniczką żywności. Jej społeczna działalność, podobnie jak innych ochotników, polega na doglądaniu, czy zawartość lodówek jest zgodna z regulaminem (nie można

do nich wkładać np. surowego mięsa, otwartych wcześniej słoików, produktów przeterminowanych czy alkoholu), sprzątanu i odbieraniu żywności od wrocławskich przedsiębiorców, którzy nie mają możliwości samodzielnego dostarczania jedzenia do jadłodzielni.

We Wrocławiu działa obecnie 13 punktów, a w planach są już kolejne. Mimo że idea foodsharingu zyskuje na popularności, do przełomu w traktowaniu pożywienia potrzebna jest zmiana mentalności. – Inne związane z gospodarką współdzielenia inicjatywy, które polegają na dzieleniu się usługą, takie jak wypożyczanie rowerów czy samochodów,



Jadłodzielnie działają w myśl zasady: przynieś to, co sam mógłbyś zjeść.



Grupa „Z głodu” funkcjonuje we Wrocławiu od niemal dwóch lat.

mamie, a tym samym przełamać swój spożywczy *status quo*.

Podejście *zero waste* jest Agnieszce bliskie od kilku lat: – Wcześniej robiłam bardzo nieświadome zakupy. Dużo kupowałam i część z tego wyrzucałam, bo nie byłam w stanie wszystkiego zjeść. Panikowałam, że w czasie weekendu skończy mi się pieczywo, i zawsze brałam go za dużo. Dziś już wyleczyłam się z tego. Jak nie ma chleba, robię placki, naleśniki albo – jeśli akurat w domu zalegają mi banany – pyszny chlebek bananowy. Do sklepu chodzę częściej, ale z mniejszą siatką, a od razu po zakupach porcjuję i mrozę różne produkty. Korzystam też z takich sposobów jak pasteryzacja czy suszenie.

Dzięki odpowiedzialnym zakupom i kreatywności w kuchni Agnieszce udaje się zapobiegać marnowaniu żywności, ale najważniejsza zmiana zaszła w głowie – dziś z bólem wyrzuca jedzenie do śmietnika. Spożywcze nawyki zrewolucjonizowała m.in. dzięki książce Sylwii Majcher „Gotuję, nie marnuję”. I zaczęła uważać, że jej koledzy i koleżanki z pracy codziennie zapełniają firmową lodówkę przekąskami, których nie zjadają. Z pomysłem KorpoLodówki dołączyła do Foodsharingu. Dzięki tej akcji zawartość lodówek wielu wrocławskich korporacji w każdy piątkowy wieczór ląduje na półkach jadłodzielni.

Już jako foodsharingowa ratowniczka spojrzała na system żywienia od drugiej strony. Widziała ogrom żywności, która zostaje uratowana z jednej tylko korporacyjnej wigilii. A w samym Wrocławiu w okresie przedświątecznym jest ich przecież setki! Gdyby każda firma zastanowiła się, co dalej dzieje się z niezjedzonymi wigilijnymi potrawami, udałoby się uratować tony pożywienia.

– Musimy zmienić się w bardziej świadomych konsumentów, czyli prosumentów. Obecne czasy skupiają się na cenie. Myślimy o tym, co jest tańsze, co jest w promocji, a niekoniecznie jaki jest ślad węglowy tego jedzenia, kto je wytworzył, w jaki

bardzo dobrze się u nas przyjmują. A w kwestiach spożywczych wciąż dominuje pogląd, że jeśli dzielimy się jedzeniem, to zawsze z osobą uboższą. Nie umiemy włączyć takiego trybu, że możemy po prostu, bez żadnego haczyka, podzielić się jedzeniem, bo nie chcemy, żeby się zmarnowało. I kropka – tłumaczy Agnieszka.

Nie panikuj na widok pustej lodówki!

Przed wyjściem na spacer zawsze staram się sprawdzić, czy aby coś nie zalega mi w lodówce. Ostatnio z głębin kuchennej szafki spojrzałam na mnie kupiony pół roku temu olej lniany. Prawdopodobnie ugrzązłby tam na kolejne miesiące, aż do zepsucia. Zawędrowałam więc z nim do jadłodzielni, gdzie powitały mnie półki pełne pieczywa i owoców. Skusiłam się na miękkie awokado. W domu przyrządziłam z niego pyszną pastę na kanapki. Miałam szczęście, że i mnie udało się coś uszczknąć, bo przez większość czasu lodówki stoją puste. I dobrze. Bo to znak, że jedzenie krąży, czyli się nie marnuje.

– Część osób mylnie uważa, że jadłodzielnie powinny przypominać przepełnione różną żywnością witryny sklepowe. A chodzi o to, żeby trafiało do nich jedzenie ostatniej szansy, czyli produkty, które już za moment wylądowałyby w koszu. Na przykład miękkie pomidory czy chleb po zamknięciu piekarni danego dnia. Zależy nam, żeby to jak najszybciej zniknęło i zostało przez kogoś zjedzone – opowiada ratowniczka.

W święta często przygotowujemy za dużo i jemy za dużo.

Gdybyśmy dekadę temu zajrzeli do jej kuchni, zastalibyśmy zawsze wypełnioną po brzegi lodówkę. A piwniczne półki stałe uginęłyby się pod ciężarem słoików z przetworami, których Agnieszka nie lubiła. Co prawda, raz na jakiś czas, przy okazji większego sprzątnięcia, udało jej się opróżnić szafki, a zawekowane dżemy wystawić pod śmietnik, ale podczas kolejnej wizyty w rodzinnym domu znów trudno było odmówić

► sposób, ile ono do nas jechało. To, że żywność jest tania, powoduje, że możemy kupić jej więcej i to koło cały czas się nakręca. Mnie się marzy, żebyśmy zwracali uwagę na jakość, niekoniecznie na ilość, a tym samym wspierali produkcję lokalnych wytwórców – kwituje Agnieszka.

Przez żołądek do serca

Jadłodzielnie nie są jedynym sposobem na ratowanie żywności w miastach. We Wrocławiu od niemal dwóch lat funkcjonuje również

i bezpiecznej atmosferze. Dzisiaj podwórko prezentuje się w barwach tęczy. Malują je owoce – banany, winogrona, borówki, granaty, mandarynki i pomidory, a także warzywa – sałaty, selery, pory, kopry, ogórki i bataty.

Pomiędzy skrzynkami z pomidorami spotykam 27-letnią Patrycję, która podczas wyszukiwania najlepszych okazów rysuje już w głowie plan na kolację. Dziś postawiła na makaron z pomidorkami koktajlowymi. A jutro będzie pizza z sosem pelati.

– Jestem tu głównie z powodów ideologicznych – wyjaśnia. – Skala



– Możemy po prostu podzielić się jedzeniem. Bo nie chcemy, żeby się zmarnowało – tłumaczy Agnieszka Maniewska.



grupa „Z głodu”, która ukierunkowała działania na konkretny sektor gospodarki – handel. Według badań PROM podczas sprzedaży marnuje się 7% żywności.

„Z głodu” to oddolna inicjatywa. Jej wolontariusze raz w tygodniu odbierają od hurtowników z wrocławskiego targu nadwyżkę owoców i warzyw. Sprzedawcy chętnie oddają niesprzedane produkty, które w innym wypadku za kilka dni trafiłyby do zbiorowego kubła na odpady, a za ten musieliby dodatkowo zapłacić.

Akcja odbywa się, bez wyjątków, co czwartek. Aktywistów czeka wtedy dużo pracy. Dziś na „targ zero waste” dojechały trzy duże busy jedzenia, które trzeba rozpakować, przebrać i odpowiednio ułożyć. W tym czasie na placu Centrum Reanimacji Kultury ustawia się już długa kolejka. Chętni wpuszczani są małymi grupami, dlatego „zakupy” przebiegają w spokojnej

problemu marnotrawstwa dotarła do mnie, kiedy pisałam pracę magisterską na temat wyrzucania żywności w hotelach. Przeczytałam wtedy na ten temat mnóstwo książek, m.in. reportaż „Na marne” Marty Sapały, z którego dowiedziałam się, że jest coś takiego jak skipowanie (czyli pozyskiwanie żywności wyrzuconej przez sklepy) czy grupy, które

a wiele z nich dzięki zgromadzonym owocom i warzywom potrafi wyżywić się przez cały tydzień. Pani Bożena mieszka sama, a 1,6 tys. zł emerytury miesięcznie musi jej wystarczyć na utrzymanie. Po dokonaniu podstawowych opłat na życie zostaje niewiele. Dlatego odkąd dwa miesiące temu dowiedziała się o akcji, przychodzi prawie co tydzień.

Potrawy ze świątecznego stołu można rozdać gościom lub przynieść do jadłodzielni, a jeśli coś nam zostanie – zakonserwować.

rozdają jedzenie. Od czasu do czasu zdarza mi się korzystać z różnych form takiego freeganizmu. Czuję wtedy satysfakcję, że udało mi się zrobić coś dobrego dla planety, ale nie ukrywam, że jest to dla mnie też duża oszczędność finansowa.

Na czwartkowe „zakupy” przychodzą przede wszystkim osoby ubogie,

– Bardzo się cieszę, że są ludzie, którzy w ten sposób pomagają biedniejszym. I to jeszcze wolontaryjnie! Dla mnie to ogromna oszczędność. Dzięki temu jem też dużo warzyw i owoców – więcej witamin, więc wychodzi mi to na zdrowie. Przyznam szczerze, że nie byłoby mnie stać na ich regularne kupowanie i po prostu



Na czwartkowe „zakupy” przychodzi przede wszystkim osoby ubogie.

– Żyjemy w czasach nadprodukcji żywności – mówi wolontariuszka Alicja.

bym ich nie jadła. Najbardziej lubię pomidory i zawsze je biorę. A w domu robię z nich sałatkę i ze smakiem zjadam – opowiada.

Po owoce i warzywa zaglądają tu także różne organizacje: zakony, domy dziecka czy banki żywności, które dystrybuują je potem do swoich podopiecznych. A jeśli coś zostanie, trafia do jadłodzielni. Albo, tak jak w przypadku wolontariuszki Alicji, jest przekazywane dalej, do znajomych, np. starszej pani, której pomaga. Tutaj nic się nie marnuje.

– Żyjemy w czasach nadprodukcji żywności. Ciężko mi patrzeć na to, jak masowo wyrzuca się jedzenie. Natomiast cieszę się, gdy widzę, ile żywności, która mogłaby wyładować w koszu, trafia do biedniejszych ludzi, którzy co tydzień ustawiają się w kolejkach. Często z nimi rozmawiamy. Widać, że im się nie przelewa. Są bardzo wdzięczni. Takie działanie



napętnia nie tylko ich żołądki, ale też serca. Nasze serca również, bo daje poczucie jedności z innymi ludźmi – podsumowuje Alicja.

Ciemna strona świąt

Podczas świąt przeciętna rodzina wyrzuca co najmniej dwa razy więcej niż w każdy inny dzień roku. – Nasza kultura cechuje się tym, że w święta

jemy dużo. Za dużo. Musimy wyjść z zakłętego kręgu i zobaczyć, że świąteczny czas to nie tylko jedzenie. Że możemy zjeść mniejsze porcje, a potem oddać się jakiejś wspólnej aktywności, np. iść na spacer. Poza tym często przygotowujemy za dużo, co widzę po mamie, która robi sałatkę jarzynową w ilości przemysłowej. Lubię tę sałatkę, ale pierwszego i drugiego dnia. A trzeciego chciałabym dla odmiany zjeść coś innego. Warto też zapytać domowników, na co mają ochotę. Często tak bardzo trzymamy się tradycji tych potraw, że nie otwieramy się na to, że ktoś może czegoś nie lubić. Upieramy się, że to musi stać na stole. Warto być bardziej otwartym na to, czego chcą inni. Kluczowe jest zróżnicowanie dań. Żeby nie doprowadzić do tego, że piąty dzień jemy sałatkę jarzynową – wylicza Agnieszka.

Ratownicza żywności przypomina, że potrawy ze świątecznego stołu zawsze można rozdać swoim gościom lub przynieść do jadłodzielni, a jeśli coś nam zostanie – zakonserwować. Zupy nadają się

do zawekowania (czyli zamknięcia w słoiku i zagotowania), część dań można zamrozić, a ryba postoi dłużej, gdy będzie pływać w zalewie octowej. Dobrze, aby zmiany ku nie-marnowaniu żywności zachodziły małymi krokami. Tak, aby nikogo nie zniechęcić. Nie musimy przecież od razu osiągać ideału.

Dominika Tworek

Laboratorium kompromisu

Rada Konsultacyjna przy gen. Jaruzelskim
torowała drogę do Okrągłego Stołu



Wojciech Jaruzelski wita prof. Czesława Bobrowskiego. Członkami Rady byli też Marek Kotański (nz. z lewej) i prof. Grzegorz Białkowski (z prawej). 1 lipca 1988 r.

Bohdan Piętko

Rada ta jest eksperymentem historycznym i wydaje mi się, że do tego eksperymentu należy podejść bardzo ostrożnie. Około 70% to ludzie bezpartyjni, reprezentujący bardzo różne środowiska. Dlatego mówiło się, że będzie ona kuźnią kultury politycznej. Autorytet rady to zatem nie suma autorytetów jej członków, tylko sposób jej działania. Dlatego powinna ją cechować pewna mądrość, odpowiedzialność, ale też spokój – powiedział Wojciech Jaruzelski 6 grudnia 1986 r. w Belwederze na otwarcie inauguracyjnego spotkania Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, którym był wówczas.

Zgodnie z założeniami Rada miała być pomocna przy rozwiązywaniu takich problemów jak: polityka społeczna, priorytety w podziale dochodu narodowego, godzenie sprzecznych interesów grupowych, ekonomiczna racja stanu przy opiece społecznej, strategia inwestycji państwowych, budowa mieszkań, ekologia, problemy demograficzne, decentralizacja i moralna kondycja społeczeństwa. Wszystkie narady – oświadczył gen. Jaruzelski – powinny

się odbywać w duchu jedności, bez podziału na „my” i „wy”, „członkowie partii” i „bezpartyjni”.

Bez Wałęsy

Po 13 grudnia 1981 r. rozważano w obozie władzy otwarcie się na środowiska umiarkowanej opozycji. Wykluczano jednak możliwość rozmów z kierownictwem zdelegalizowanej Solidarności, w tym z Lechem Wałęsą. Dał temu wyraz gen. Czesław Kiszczak w rozmowie z abp. Bronisławem Dąbrowskim i ks. Alojzym Orszulikiem w październiku 1983 r.: – Jesteśmy gotowi rozmawiać z Kościołem. Macie przecież także rozsądnych ludzi, takich jak Siła-Nowicki, Olszewski, Wielowieyski, Chrzanowski, gdyby ci chcieli się zaangażować.

Pomysł powołania ciała będącego forum dialogu władz z różnymi środowiskami społecznymi, w tym z opozycją, pojawił się podczas X Zjazdu PZPR (29 czerwca-3 lipca 1986 r.). Możliwość taką stwarzała sytuacja w ZSRR, gdzie Michaił Gorbaczow po objęciu władzy w marcu 1985 r. rozpoczął proces pierestrojki. Radziecki przywódca był gościem zjazdu i nie ukrywał, że liczy na polską wersję pierestrojki. Decydując się na podjęcie

dialogu z częścią opozycji, ekipa Jaruzelskiego wychodziła przed szereg pozostałych państw bloku.

Pierwszym krokiem było ogłoszenie amnestii dla więźniów politycznych, czyli, jak ich wtedy oficjalnie nazywano, niekryminalnych. Stało się to 17 lipca 1986 r. Amnestia objęła 115 osób – 41 skazanych i 74 tymczasowo aresztowanych. Wobec ponad 100 dalszych osób umorzono postępowania. Rozmowy w sprawie powołania Społecznej Rady Konsultacyjnej rozpoczęły się w październiku 1986 r. 10 października doszło do spotkania gen. Czesława Kiszczaka z przedstawicielami środowisk katolickich: Julianem Auleytnerem, Krzysztofem Kozłowskim, Krzysztofem Skubiszewskim, Andrzejem Świąćickim, Jerzym Turowiczem, Andrzejem Wielowieyskim i Januszem Zabłockim. Na spotkaniu tym ustalono, że episkopat nie będzie nikogo zgłaszał do Rady Konsultacyjnej, wskaże jedynie, do jakich osób ma zaufanie. Natomiast 18 października Kazimierz Barcikowski i Stanisław Ciosek – reprezentując Komitet Centralny PZPR i władze PRL – spotkali się ze Świąćickim, Turowiczem i Wielowieyskim. Na spotkaniu tym dyskutowano m.in. o ewentualnym udziale w radzie Lecha Wałęsy.

Sam Wałęsa nie wykluczał podjęcia dialogu. Z jego inicjatywy 29 września 1986 r. została utworzona Tymczasowa Rada NSZZ Solidarność w składzie: Bogdan Borusewicz, Zbigniew Bujak, Władysław Frasn timer, Tadeusz Jędynak, Bogdan Lis, Janusz Pałubicki i Józef Pinior. Wałęsa napisał wtedy w oświadczeniu: „Nie chcemy konspirować. Trzeba wypracować i uzgodnić nowy model działalności, jawnej i legalnej”. Natomiast Bronisław Geremek stwierdził wprost, że Tymczasowa

Rada Solidarności będzie mogła podejmować negocjacje z władzami. 10 października Wałęsa i jego najbliżsi współpracownicy zaapelowali do Białego Domu o zniesienie sankcji ekonomicznych, które USA nałożyły na PRL w reakcji na wprowadzenie stanu wojennego. Był to sygnał, że są gotowi do szukania porozumienia z władzami. W tym czasie doradcy gen. Jaruzelskiego wysunęli pomysł włączenia Wałęsy do Społecznej Rady Konsultacyjnej. Jednak ostatecznie władze nie zdecydowały się na ten krok.

Rząd i episkopat

28 listopada 1986 r. na posiedzeniu Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu, na którym dyskutowano o powołaniu Rady Konsultacyjnej. Reprezentujący episkopat abp Bronisław Dąbrowski wyraził pełne poparcie dla tej inicjatywy. Już tydzień później, podczas posiedzenia Rady Krajowej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, gen. Jaruzelski poinformował o formalnym powołaniu Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR gen. Jaruzelski zadeklarował: – Musimy wbudować w nasz system różnego rodzaju elementy opozycji w samej partii.

W świetle tej wypowiedzi wydaje się, że Rada Konsultacyjna była

testem na włączenie w system polityczny PRL szerszego spektrum czynnika społecznego. W jej skład weszło 56 osób: 17 należało do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, dwie do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, jedna do Stronnictwa Demokratycznego, a 36 było bezpartyjnych, w tym 12 działaczy katolickich i chrześcijańskich. Wśród katolików świeckich zabrakło osób reprezentujących środowisko „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi”. Kozłowski, Turowicz i Wielowieyski zrezygnowali z udziału w radzie, mimo że mieli zaufanie episkopatu. Odnieśli się jednak sceptycznie do tej inicjatywy. Ostatecznie środowiska katolickie i opozycyjne reprezentowali w radzie: prof. Julian Marian Auleytner (Prymasowska Rada Społeczna), prof. Janusz Bieniak (Klub Inteligencji Katolickiej), Zbigniew Czajkowski (PAX), prof. Maciej Giertych (środowisko postendeckie), Jan Kułaj (były przewodniczący NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność), dr hab. Aleksander Legatowicz (KIK, Polski Związek Katolicko-Społeczny), pisarz Jan Meysztowicz (Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne), mec. Władysław Siła-Nowicki (weteran AK i WiN, doradca Solidarności), prof. Krzysztof Skubiszewski (Prymasowska Rada Społeczna i Solidarność), prof. Andrzej Świącicki (prezes KIK w Warszawie, Eugeniusz

Tabaczyński (KIK), Stanisław Zawada (były członek KK Solidarności) oraz Janusz Zabłocki (współtwórca Ruchu „Znak” i KIK, pierwszy prezes PZKS).

Maciej Giertych, Władysław Siła-Nowicki, Krzysztof Skubiszewski i Aleksander Legatowicz po 1989 r. zajęli różne miejsca w życiu politycznym III RP. Siła-Nowicki uczestniczył też w obradach Okrągłego Stołu jako reprezentant strony koalicyjno-rządowej. Na jego udział po stronie solidarnościowo-opozycyjnej nie chciała się zgodzić Solidarność, co prawdopodobnie było karą za uczestnictwo w Radzie Konsultacyjnej.

Stronę partyjno-rządową reprezentowali w radzie najbliżsi współpracownicy gen. Jaruzelskiego z tzw. reformatorskiego skrzydła PZPR. Byli to: prof. Władysław Baka (prezes NBP), prof. ptk Stanisław Kwiatkowski (dyrektor CBOS) i prof. Zdzisław Sadowski (wówczas przewodniczący Konsultacyjnej Rady Gospodarczej, później wicepremier i przewodniczący Komitetu ds. Realizacji Reformy Gospodarczej), oraz poseł Norbert Aleksiewicz, prof. Jan Baszkiewicz, prof. Kazimierz Buchała, prof. Zdzisław Cackowski, prof. Zbigniew Grabowski, prof. Lech Kobylński, prof. Jarema Maciszewski, Lucjan Motyka (wówczas wiceprezes ZBoWiD), prof. Antoni Rajkiewicz, aktor Jerzy Trela, prof. Janusz Tymowski, ▶

KTO SZUKA PRAWDY, ZNAJDZIE JĄ U WALENCIAKA

GAMBIT JARUZELSKIEGO z autografem i dedykacją autora

Prośby o dedykacje można kierować
pod nr: 22 635 84 10 wew. 111
lub na: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Zamawiając przez sklep internetowy,
wpisz treść dedykacji w uwagach

Wpłaty 49 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł
lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



sklep.tygodnikprzeglad.pl

► dziennikarz Ryszard Wojna, prof. Piotr Zaremba (pierwszy powojenny prezydent Szczecina) i prof. Adam Zieliński (prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego).

Do rady weszli także: prof. Witold Benedyktowicz (duchowny Kościoła metodystycznego), prof. Grzegorz Białkowski (rektor Uniwersytetu Warszawskiego), prof. Czesław Bobrowski (były polityk PPS, twórca powojennego planu odbudowy), reżyser Kazimierz Dejmek (wówczas dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie), prof. Józef Andrzej Gierowski (rektor UJ), prof. Aleksander Gieysztor, prof. Aleksander Grygorowicz, prof. Jan Karol Kostrzewski (wówczas prezes PAN, były bezpartyjny minister zdrowia PRL), prof. Tadeusz Koszarowski (twórca polskiej chirurgii onkologicznej), działacz społeczny Marek Kotański, prof. Janusz Kuczyński, prof. Gerard Labuda (wiceprezes PAN), prof. Manfred Lachs (sędzia Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze), Witold Lassota (SD, zastępca przewod-

PRL. Za udział w pracach rady nie otrzymywali gratyfikacji pieniężnej, zwracano im tylko koszty dojazdu do Warszawy. We wszystkich posiedzeniach uczestniczył gen. Jaruzelski, co świadczy o tym, że traktował ten twór poważnie, jako platformę dialogu społecznego. Stenogramy z posiedzeń publikowane były bez żadnych ingerencji cenzury w periodyku „Rada Narodowa” (nakład 30 tys. egzemplarzy), a dyskusje zostały zebrane w dwóch tomach zatytułowanych „Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa” (Warszawa 1988 i 1990). Rada stała się zatem miejscem jawnej i otwartej debaty publicznej, co stanowiło zupełnie nową jakość w życiu politycznym PRL.

Już na pierwszym posiedzeniu, po wstępnym wystąpieniu Jaruzelskiego, głos zabrali 29 osób. Ustalono, że obrady będą przebiegały bez szczegółowego porządku i bez przymusu osiągnięcia konsensusu za wszelką cenę. Przedstawiciele kręgów bliskich Kościołowi i Solidarności oraz bezpartyjni nie stosowali żadnej

1987 r. – był referat wybitnego socjologa prof. Jana Szczepańskiego, podsumowujący diagnozy z drugiego posiedzenia. 14 października 1987 r. rozmawiano o problemach wynikających z podjęcia drugiego etapu reformy gospodarczej. W maju 1988 r. zainicjowano prace zespołu do opracowania propozycji reformy modelu socjalistycznego państwa. W dokumentach z jego prac była mowa przede wszystkim o rozszerzeniu kompetencji Sejmu. Na marginesie jednak pojawiła się już wtedy myśl o utworzeniu drugiej izby parlamentu, zrealizowana rok później podczas obrad Okrągłego Stołu. 3 czerwca 1988 r. Stanisław Ciosek poinformował reprezentującego episkopat ks. Alojzego Orszulika, że władze rozważają powołanie izby wyższej parlamentu, w której 60-65% miejsc miałyby środowiska niezależne od PZPR.

Po rozpoczęciu 6 lutego 1989 r. obrad Okrągłego Stołu Rada Konsultacyjna znalazła się w cieniu. Do Okrągłego Stołu doprowadziły różne czynniki wewnętrzne i zewnętrzne. Świadomość konieczności demokratyzacji PRL narastała w gronie najbliższych współpracowników gen. Jaruzelskiego stopniowo, o czym świadczy chociażby wysunięta w październiku 1987 r. przez Mieczysława Rakowskiego myśl o „dopuszczeniu jednego z nurtów opozycyjnych do udziału w wyborach”.

Najprawdopodobniej do przemian ustrojowych 1989 r. doszłoby także bez Rady Konsultacyjnej. Jednakże istnienia i działania tej instytucji nie można lekceważyć. Rada Konsultacyjna była początkiem nowej jakości w ówczesnym życiu politycznym. Pomyślana jako forum dialogu z jednostkami wywodzącymi się ze środowisk niezależnych od PZPR, przygotowała w jakiejś mierze grunt pod późniejszy dialog z tymi środowiskami. Stała się czymś w rodzaju laboratorium lub poligonu, na którym obie strony badały granice wzajemnego kompromisu, chociaż oficjalnie strona solidarnościowa lekceważyła Radę Konsultacyjną. W tym sensie rada niewątpliwie zapoczątkowała drogę do szukania porozumienia społecznego opartego na szerszej bazie politycznej, a więc drogę do demokratyzacji Polski.

Bohdan Piętko

Rada Konsultacyjna stała się miejscem jawnej i otwartej debaty publicznej, co stanowiło zupełnie nową jakość w życiu politycznym PRL.

niczącego Trybunału Stanu), pisarz Wiesław Myśliwski (ZSL), prof. Anna Przecławaska (PRON), prof. Kazimierz Secomski (członek Rady Państwa), prof. Halina Skibniewska (architekt zaangażowana w odbudowę Warszawy, w latach 1971-1985 wicemarszałek Sejmu), prof. Jan Szczepański, prof. Janusz Szosland (przewodniczący Rady Głównej NOT), prof. Andrzej Tymowski (były ekspert ekonomiczny przy ONZ, weteran AK i członek Solidarności), prof. Stefan Węgrzyn oraz prof. Zbigniew Tadeusz Wierzbicki (socjolog zaangażowany m.in. w działalność opozycyjnego Towarzystwa Kursów Naukowych).

Bez cenzury

Ogółem Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa odbyła 12 posiedzeń. Ostatnie – 17 lipca 1989 r., już po wyborach czerwcowych. Większość jej członków poparła na ostatnim posiedzeniu kandydaturę gen. Jaruzelskiego na prezydenta

autocenzury, co pokazały odważne wystąpienia Siły-Nowickiego i innych mówców już na pierwszym posiedzeniu. Mówiono wtedy otwarcie o zatruciu społeczeństwa indoktrynacją i propagandą. Podkreślano, że jest to przyczyna wszelkich deformacji społecznych, bez usunięcia której nie da się przeprowadzić koniecznych reform społecznych. Siła-Nowicki wezwał radę, by była niezależnym głosem opinii publicznej, kończąc wystąpienie słowami: – Nasza cenzura, nasze ukrywanie prawdy jest tragiczną kartą życia politycznego, zamykającą w jakiś sposób drogę do narodowego porozumienia.

Z przebiegu dalszych posiedzeń można wnioskować, że główne tematy dyskusji były wnoszone przez gen. Jaruzelskiego. On zaproponował, żeby na drugim posiedzeniu 27 lutego 1987 r. prof. Kazimierz Secomski zreferował prace komitetu Polska 2000, którym kierował w PAN. Tematem dyskusji trzeciego i czwartego posiedzenia – 18 maja i 17 lipca

Nie chcemy polskiej biedoty

Napływ setek tysięcy Polaków, do tego katolików, Amerykanie odbierali jako zagrożenie cywilizacyjne, które doprowadzi do rychłego upadku USA

Krzysztof Wasilewski

„Jakieś restrykcyjne metody należy koniecznie wprowadzić, aby Ameryka przestała już być wysypiskiem ludzkich odpadów z Europy. Obdartusi z Polski i Rosji, których nikt nie chce, są często tak brudni, że nie sposób powiedzieć, czy są czarni, czy biali. Mało tego, są całkowicie nieprzystosowani i niezaznajomieni z dobrodziejstwami naszej cywilizacji” – te i inne opinie można było przeczytać w amerykańskiej prasie na przełomie XIX i XX w. Była to reakcja na rosnącą falę tzw. nowej emigracji z Europy Środkowej i Wschodniej, której znaczny odsetek stanowili mieszkańcy ziem polskich.

Wraz z dynamicznym rozwojem amerykańskiego przemysłu po zakończeniu wojny secesyjnej (1861-1865) w USA rosnęło zapotrzebowanie na tanią siłę roboczą. Przedsiębiorcy chętnie zatrudniali obcokrajowców, przybywających do Ameryki z całego świata. Od początku była to przemysłowa strategia, umożliwiająca łamanie praw pracowniczych. Jak wskazywał Howard Zinn, autor „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych”, „imigranci byli łatwiejsi do kontrolowania, wyobcowani kulturowo i bardziej bezradni niż rodzimi pracownicy, a poszczególne ich grupy były skonfliktowane ze sobą, dzięki czemu w razie konieczności idealnie nadawali się do odegrania roli łamistraków”.

Początkowo posilkowano się przybyszami z Azji, głównie z Chin, a później także z Japonii. Jednak uprzedzenia rasowe, wszechobecne w ówczesnym amerykańskim społeczeństwie, doprowadziły ostatecznie do zaostrzenia prawa imigracyjnego. Najpierw zatem ograniczono, a następnie całkowicie wstrzymano możliwość przyjazdu Azjatów. Mimo zniesienia niewolnictwa sprowadzanie



Polscy włókniarze z New York Mills, którzy z sukcesem strajkowali w 1912 i 1916 r.

robotników z Afryki nadal pozostawało poza dyskusją. Niejako naturalnie zatem poszukiwano taniej siły roboczej w najbiedniejszych rejonach Europy, a więc na południu i wschodzie kontynentu.

Polska biedota

Polska masowa emigracja do Stanów Zjednoczonych rozpoczęła się w latach 80. XIX w. Choć apogeum osiągnęła w latach 1901-1910, kiedy to ponad 823 tys. osób wyruszyło z ziem polskich do USA, już w 1895 r. za Atlantykiem przebywało ok. 645 tys. Polaków. Podobnie jak większość tzw. nowych imigrantów Polacy wyruszający do Stanów Zjednoczonych pochodzili z terenów wiejskich i nie mieli doświadczenia w pracy w przemyśle. Ponieważ jednak ziemi na sprzedaż było coraz mniej, a jej koszty rosły, nowi imigranci osiadali w dużych centrach miejskich

i podejmowali pracę w pobliskich fabrykach i kopalniach.

Bez doświadczenia, oszczędności i znajomości języka Polacy nie mieli innego wyboru niż praca za najniższe stawki i mieszkanie w najgorszych dzielnicach. Według jednego z raportów przygotowanych przez Komisję ds. Imigracji, która badała to zjawisko na przełomie XIX i XX w., „Polacy pobierają najniższe zarobki; ponad dwie trzecie rodzin z tej grupy etnicznej posiada roczny dochód poniżej 500 dol., w porównaniu z mniej niż jedną czwartą w przypadku tych białych rodzin, w których ojciec urodził się w USA; niemal połowa polskich rodzin posiada dochód poniżej 300 dol.”.

Doniesienia prasowe wydawały się potwierdzać te obawy. Polscy, greccy czy włoscy imigranci byli przedstawiani stereotypowo, najczęściej jako brudni, zacofani i niewykształceni robotnicy, którzy odbierali pracę

- Amerykanom, a co więcej, swoim sposobem bycia przyczyniali się do rozprzestrzeniania się groźnych chorób. Nawet pozytywne cechy nowych przybyszów, takie jak oszczędność czy umiejętność ciężkiej pracy, były przedstawiane w negatywnym świetle, wręcz jako zagrożenie dla przyjętych w USA standardów.

Roznosiciele chorób zakaźnych

Imigracja z Europy Wschodniej od początku budziła obawy w amerykańskim społeczeństwie. O ile udawało się doszukać związków językowych, religijnych i kulturowych z przybyszami z Europy Zachodniej, o tyle Słowianie jawili się jako grupa zupełnie nieprzystająca do amerykańskiej rzeczywistości. Mówili niezrozumiałymi językami, w większości byli katolikami lub prawosławnymi, w dodatku – zgodnie z popularnymi wówczas teoriami rasistowskimi – znajdowali się na o wiele niższym poziomie rozwoju intelektualnego i cywilizacyjnego niż Anglosasi. Co więcej – byli biedni i mieli roznosić groźne choroby.

„Każdy czytelnik gazet wie, że stan zdrowia w tym mieście lub w każdej innej części kraju jest wciąż zagrożony przez imigrantów z Europy Wschodniej”, można było przeczytać na łamach szanowanego dziennika „The New York Times” w lipcu 1892 r. „Nie potrzebujemy imigrantów z tych krajów, skoro mogą przywieźć ze sobą epidemię, kosztującą życie tysiące istnień i powodującą wielkie straty finansowe”, pisało w następnym miesiącu. W końcu we wrześniu nowojorska gazeta pisała wprost: „Rosyjscy i polscy imigranci, którzy ciągną na Zachód (...) i docierają do naszego kraju tysiącami każdego miesiąca poprzez porty w Hamburgu i Hawrze, tworzą doskonałe warunki do przenoszenia cholery”.

Coroczne raporty publikowane przez poszczególne komisje stanowe ds. zdrowia nie potwierdzały prasowych teorii łączących imigrację z przypadkami cholery. Najwyższą liczbę zgonów spowodowanych cholerą i innymi chorobami

zakaźnymi odnotowano w USA na długo przed rozpoczęciem masowej imigracji ze wschodnich regionów Europy. W sprawozdaniu za rok 1892 State Board of Health stanu Massachusetts stwierdzała, że „niemal nie zauważono wzrostu zachorowań po przybyciu imigrantów”. O ile w 1891 r. w wyniku chorób zakaźnych zmarło 4,6 tys. osób, o tyle w kolejnych latach liczba ta stopniowo malała, choć populacja Włochów, Polaków czy Rosjan w Massachusetts rosła. Mimo to nadal wiele komisji stanowych zalecało wstrzymanie imigracji jako podstawowy środek zapobiegający wybuchowi epidemii.

Polak – anarchista

Według amerykańskich gazet imigranci z Europy Wschodniej byli nie tylko nosicielami chorób, ale także wywrotowcami, zamachowcami i mordercami. Kiedy 6 września 1901 r. syn imigrantów z Polski i anarchista Leon Czołgosz dokonał

zamachu na prezydenta Williama McKinleya, w całym kraju wybuchła antyimigrancka panika, skutecznie podsycana przez prasę. Ta umiejętnie wskazywała swoim czytelnikom, które grupy imigrantów odpowiadały za rozprzestrzenianie się anarchizmu

Obdartusi z Polski i Rosji są często tak brudni, że nie sposób powiedzieć, czy są czarni, czy biali.

i socjalizmu w Stanach Zjednoczonych. Tym samym debata o anarchizmie jako zagrożeniu dla stabilności państwa przerodziła się w debatę na temat polityki narodowościowej USA. Motywy ekonomiczne, które miały kierować działalnością anarchistów, ustąpiły ich cechom etnicznym.

Wymowne były opisy prasowe spotkań polskich czy rosyjskich imigrantów: „Tamtejsi mężczyźni spotykają się w ciemnych, brudnych, małych salonach, często z dziurawymi ścianami, gdzie sprzedaje się alkohol, i rozmawiają, gestykulując i głaszcząc się po swoich długich, brudnych brodach. (...) Ich oczy świecą, a wąskie zęby lśnią zbrodniczo w wąskich ustach. Kobiety im przytakuja, wręcz zachęcają, a ich piskliwe głosy mają udział w tym łamaniu prawa”.

Zagrożenie cywilizacyjne

Stołeczny „The Washington Post” ostrzegał przed niebezpieczeństwem cywilizacyjnym – i rasowym – związanym z napływem Słowian. W komentarzu redakcyjnym z 3 stycznia 1903 r. pisano: „Biorąc pod uwagę systematyczny spadek liczby urodzeń pośród Amerykanów, którzy pochodzą z najlepszych europejskich ras, przy jednoczesnym stałym napływie najgorszych europejskich ras, z ich licznymi dziećmi, pozostaje kwestią lat, kiedy ta druga grupa zacznie dominować.

Leon Czołgosz, syn emigrantów z Polski, 6 września 1901 r. dokonał zamachu na prezydenta Williama McKinleya.



Czego można się spodziewać po takiej dominacji?”.

Dla amerykańskiej prasy, ale i znacznej części elity gospodarczej i politycznej, Polacy, Rosjanie czy Czesi należeli do ludzi co najwyżej drugiej kategorii. Główny tytuł południowych stanów, „The Atlanta Constitution”, stwierdzał jednoznacznie: „W Stanach Zjednoczonych nie ma miejsca dla pewnych klas narodów ze Starego Świata”. Z kolei północny potentat „Chicago Daily Tribune” ubolewał, że „praktyka sprowadzania biedoty i kryminalistów z Europy ma długą tradycję i niestety niewiele do tej pory zrobiono, aby to zmienić. Zdaniem redakcji dziennika „wszystkie te osoby powinny zostać wykluczone” spośród uprawnionych do osiedlenia się w Stanach Zjednoczonych. Wprawdzie żaden z wiodących tytułów nie pisał wprost, przed jakimi „klasami narodów” powinny zostać zamknięte granice USA, lecz pojawiające się na ich łamach sformułowania w rodzaju „anarchistów”, „wariatów” czy „żebaków” wywoływały jednoznaczne skojarzenia u czytelników.

Amerykańskie obywatelstwo

Jeszcze w XIX w. prawa do ubiegania się o amerykańskie obywatelstwo odmówiono Azjatom. Na początku XX w. zaczęto dyskutować nad podjęciem podobnych kroków wobec przybyszów z Europy Wschodniej. To o nich myślał dziennikarz nowojorskiego „The Sun”, pisząc w 1903 r., że „nie ma potrzeby rozwodzenia się nad faktem, że wielkie masy imigrantów są niezdolne do przyjęcia [amerykańskiego] obywatelstwa, asymilacji i amerykanizacji”. Pośród różnych pomysłów powstrzymania „niepożądanego imigracji” sporym poparciem cieszyło się wprowadzenie testu z czytania i pisanie dla wszystkich przybywających do USA. „Test powinien być wystarczająco surowy, aby chronić amerykańskie obywatelstwo przed inwazją zdeprawowanych i ciemnych rzesz obcokrajowców, którzy nie mają najmniejszego wyobrażenia o znaczeniu i obowiązkach, które w tym wolnym kraju niesie ze sobą obywatelstwo”, podkreślał „The Los Angeles Times”.

W odpowiedzi na społeczne niepokoje Kongres powołał w 1906 r. tzw. Komisję Dillinghama, która miała zbadać całościowo kwestię imigracji. W jej skład weszli republikanie

i demokraci, w roli ekspertów wystąpili zaś najbardziej znani propagatorzy eugeniki i teorii rasowych. W podsumowaniu czterech lat (1906-1910) pracy komisja opublikowała 41 obszernych tomów, w tym „Słownik ras i narodów”. Zawierał on m.in. charakterystykę wszystkich „rozpoznanych ras”, przez co służył jako kompendium wiedzy dla ówczesnych zwolenników dzielenia imigracji na „pożądaną” i „niepożądaną”. Obecnie dowodzi znaczenia teorii rasistowskich w dyskursie politycznym z początku XX w.

Rosyjscy i polscy imigranci tworzą doskonałe warunki do przenoszenia cholery.

Sposób postrzegania poszczególnych „ras i narodowości” dobrze oddaje poniższy fragment dotyczący Polaków, którym w opracowaniu poświęcono odrębny rozdział: „Polacy znajdują się pomiędzy rosyjskimi narodami Europy Wschodniej a narodami teutońskimi Europy Zachodniej. (...) Ich cywilizacja nie posiada kilku ważnych cech, którymi charakteryzują się narody wysunięte dalej na zachód. (...) Są nieco niżsi niż Litwini i Białorusini, należący do wschodniej rasy, oraz nie mają tak szerokiego czoła. Podczas gdy mają ciemniejszą karnację niż Litwini, Polacy są jaśniejsi niż typowi Rosjanie. Innymi słowy, posiadają więcej elementu teutońskiego, a mniej lub nawet wcale elementu azjatyckiego z Europy Wschodniej. Co do temperamentu są bardziej porywczy niż większość ich sąsiadów. Pod tym względem przypominają Węgrów z południa”.

Zamknięcie granic

Wnioski komisji odbierano jako obiektywne i mające oparcie w faktach. Tymczasem zdaniem historyków jej badania nie były „ani bezstronne, ani naukowe, lecz były prowadzone przez tzw. ekspertów, którzy wcale lub tylko w niewielkim stopniu korzystali z danych udostępnionych przez stanowe, federalne i prywatne instytucje”. Mimo że opublikowane tomy zawierały wiele wartościowych informacji na temat

kondycji imigrantów w Stanach Zjednoczonych na przełomie wieków, miały przede wszystkim za zadanie dostarczyć argumentów za zaostrzeniem prawa imigracyjnego.

Zdecydowane próby zatrzymania napływu do Stanów Zjednoczonych osób z Europy Wschodniej i Południowej podjęto po zakończeniu I wojny światowej. W maju 1921 r. Kongres przyjął tzw. Emergency Quota Act, zmodyfikowany trzy lata później, w wyniku którego nie tyle ograniczono, ile zupełnie powstrzymano masową emigrację z Polski i innych państw regionu.

Nowe ustawodawstwo stanowiło odpowiedź na pytanie, które znaczna część amerykańskiego społeczeństwa zadawała sobie od dawna, a które wyraził publicysta jednego z poczytnych dzienników: „Czy Ameryka jutra będzie Ameryką, jaką wymyślili sobie i zbudowali ojcowie założyciele, czy też będzie składowiskiem odpadów dla najgorszych obcych elementów klasy, której każde inne państwo chce się pozbyć, tj. awanturników, przestępców i anarchistów”.

Krzysztof Wasilewski

Artykuł powstał na bazie książki Krzysztofa Wasilewskiego *Bezdolnych gromady niemałe... Dyskurs imigracyjny na łamach prasy amerykańskiej (1875-1924)*, Poznań 2017.

**Podwójny, świąteczno-
noworoczny numer tygodnika
„NIE”: Na co cierpi Jarosław
Kaczyński?**



W kilka cel dookoła świata

Polacy trafiają do zagranicznych więzień nie tylko za przestępstwa, ale też za przekonania

Mateusz Mazzini

O rodakach łamiących prawo poza granicami naszego kraju najczęściej mówiło się w ostatnich latach w kontekście uznawania polskiego wymiaru sprawiedliwości za coraz mniej wiarygodny. Kolejne kraje europejskie odmawiały ekstradycji Polaków, podając w wątpliwość ich szanse na sprawiedliwy proces w niezawisłym sądzie. Upolitycznione przez rząd Zjednoczonej Prawicy sądownictwo rzeczywiście nie cieszy się dobrą reputacją za granicą, o więzieniach nad Wisłą pewnie też trudno mówić w samych superlatywach. Mimo to obie instytucje w skali globalnej nie wypadają tak źle – zwłaszcza w porównaniu z niektórymi państwami, gdzie osadzeni są skazańcy z Polski.

do oderwania tych ziem od Indonezji, kraju znanego z opresyjnej polityki wobec mniejszości etnicznych oraz ignorowania standardów demokracji i praw człowieka.

Właśnie o propagandową dywersję i związki z separatystami został oskarżony Skrzypski, pierwszy obcokrajowiec z wyrokiem skazującym w całej historii trwającego już ponad sześć dekad konfliktu. Rząd w Dżakarcie zamknął go na pięć lat za kontakty z organizacjami zagrażającymi bezpieczeństwu narodowemu Indonezji. Skrzypski nie zaprzecza, że w czasie pobytu w Papui Zachodniej spotykał się z aktywistami na rzecz niepodległości, ale dodaje, że właściwie nie da się uniknąć takich rozmów na tych terenach, biorąc pod uwagę, jak niepopularny jest tam indonezyjski rząd federalny. Władze w Dżakarcie nie uwierzyły

pomieszczeniach i ogólnej atmosferze strachu i przemocy.

Tylko trochę lepiej MSZ sprawdziło się w innym głośnym przypadku aresztowania Polaka za granicą – mowa o historii kpt. Andrzeja Lasoty. W 2019 r. został on oskarżony w Meksyku o przemyt 250 kg kokainy na pokładzie jego statku, płynącego z Kolumbii. Zanim ostatecznie go uniewinniono w marcu 2021 r., Lasota spędził ponad półtora roku w meksykańskim areszcie. Jego sprawa jest jednak o tyle kuriozalna, że na policję zgłosił się sam, informując o próbie przemytu na pokładzie jego jednostki. Statek płynący pod cypryjską banderą do meksykańskiego portu Altamira wyruszył z kolumbijskiej Barranquilla, skąd transportował koks metalurgiczny. Narkotyki odkryto na dnie ładowni statku, załoga natychmiast zarportowała to kapitanowi, a ten zadzwonił na numer alarmowy straży granicznej. Wydawałoby się więc, że prędzej niż kara, spotka go nagroda. Ale Meksykanie nie chcieli uwierzyć, że

Polak nie miał nic wspólnego z przemytem. Najpierw aresztowali całą załogę: czterech polskich oficerów i 19 pracujących na statku Filipińczyków. Po przesłuchaniach zwolnili i odesłali do domu wszystkich poza kapitanem, którego przenieśli – bez wyroku skazującego – do więzienia o zaostrzonym rygorze w mieście Tepic na pacyficznym wybrzeżu Meksyku.

Lasota czekał na rozprawę kilka miesięcy, meksykańskie władze zaślaniały się pandemią i restrykcjami sanitarnymi. Nie pomagało wstawiennictwo ani międzynarodowych organizacji transportu morskiego, ani polskiego rządu, ani lokalnych organizacji praw człowieka, alarmujących o przepełnieniu więzienia (na małej powierzchni jest tam osadzonych ponad 2,5 tys. osób) i rosnącej w nim liczbie zakażeń

Według brytyjskiego MSW Polacy stanowią drugą najliczniejszą grupę osadzonych w Anglii i Walii – ustępują tylko Albańczykom.

Tym, którzy trafili za kratki w ojczyźnie, rzadko się zdarza, żeby w trakcie odsiadki zupełnie ogłuchli. A taki los spotkał Jakuba Skrzypskiego, bohatera jednej z najbardziej sensacyjnych i jednocześnie absurdalnych historii o Polakach w zagranicznych więzieniach. Skrzypskiego wolności pozbawił trzy lata temu rząd Indonezji, karę odbywa w areszcie w mieście Wamena, mającym nieco ponad 60 tys. mieszkańców. To sam środek zachodniej części Papui, tropikalnej wyspy, jednej z najbardziej wysuniętych na wschód na całym obszarze Indonezji. Przez jej środek przebiega granica z Papuą-Nową Gwineą, a gęsto porośnięte dżunglą wyżyny cały czas są obszarem walki – zarówno partyzanckiej, jak i polityczno-propagandowej. Na zachodzie Papui od lat funkcjonują silne ruchy separatystyczne, dążące

w te tłumaczenia, a Polak nie miał zamiaru okazać skruchy. Siedzi więc do dzisiaj w ciasnej celi policyjnego aresztu.

Parlament Europejski uznał go za więźnia politycznego i bezskutecznie apelował o jego uwolnienie. Podobnie jak polskie służby dyplomatyczne. Z relacji niewielu zagranicznych dziennikarzy, którym udaje się przedostać do Papui Zachodniej, wynika, że w tym samym czasie aresztowani zostali też obywatele Francji i Szwajcarii, ale tych wypuszczono niemal natychmiast po interwencjach ich rządów. Skrzypski tymczasem czeka, a jego zdrowie się pogarsza. Oprócz wspomnianych problemów ze słuchem narzeka na stan psychiczny. Dziennikarzom nowozelandzkiego radia opowiada o braku odpowiedniej wentylacji w celach, zbyt dużej liczbie osadzonych w pojedynczych

koronawirusem. Ostatecznie Andrzej Lasota wyszedł na wolność, choć wyciągnęli go prawnicy korporacyjni, opłaceńi przez armatora. Polskie MSZ odgrywało jedynie rolę drugoplanową, pośredniczyło głównie w wymianie informacji z rodziną zatrzymanego.

Znacznie więcej roboty dyplomaci, i to ci niższego szczebla, mają na co dzień z polskimi więźniami bliżej domu. Przykładem są tu Wyspy Brytyjskie. Według danych brytyjskiego MSW nasi rodacy stanowią drugą najliczniejszą grupę osadzonych w więzieniach w Anglii i Walii – ustępują tylko Albańczykom. W 2021 r. było ich tam 868, co jest najwyższym wynikiem spośród wszystkich krajów Unii Europejskiej. Najczęściej siedzą za udział w zorganizowanej grupie przestępczej, próby ściągania haraczu i wymuszeń, handel narkotykami. Zdarzają się też jednak historie większego kalibru.

W lutym 2021 r. dzięki wspólnej akcji polskiego CBŚP i brytyjskiej policji udało się zatrzymać sześciu polskich сутenerów operujących pomiędzy Białymstokiem a kilkoma miastami na północy Anglii. Mężczyźni zostali oskarżeni o przemyt i handel ludźmi, podrabianie dokumentów i zmuszanie kobiet – łącznie kilkudziesięciu z kilku różnych krajów – do prostytucji.

Według informacji podanych w lipcu przez „Rzeczpospolitą” tylko w ciągu ostatnich czterech lat do Polski deportowano ponad 2,5 tys. więźniów. Byłoby więcej, gdyby nie pandemia. Zwiększenia liczby deportacji należy zresztą się spodziewać, bo skoro Wielka Brytania nie jest już członkiem Unii Europejskiej, ma prawo odsyłać do kraju pochodzenia również bezdomnych. Brytyjczycy narzekają zresztą, że sama procedura deportacyjna od lat nie działa, tak jak powinna. Jeszcze przed koronawirusem w brytyjskich więzieniach siedziało ponad



Kpt. Andrzej Lasota w 2019 r. został niesłusznie oskarżony w Meksyku o przemyt 250 kg kokainy na pokładzie statku płynącego z Kolumbii.

warunkach odsiadki wyroku. Przykładem takich niehumanitarnych miejsc odosobnienia są więzienia w Ekwadorze, uznawane za najgorsze na półkuli zachodniej pod względem poziomu życia po zakładach karnych Hondurasu i Salwadoru. W dodatku w Ekwadorze obowiązują jedne z najostrzejszych kar za posiadanie narkotyków, ich konsumpcję i handel nimi. Przestępstwo z tej kategorii, nawet jeśli nie ma żadnego elementu przemocy, często karane jest wyrokiem identycznym jak w sprawach o morderstwo. Polacy regularnie trafiają do ekwadorskich więzień właśnie wtedy, kiedy próbują przemycać do Europy nielegalne substancje.

Tak było w przypadku Sebastiana, o którym w 2008 r. opowiedzieli dziennikarze z programu TVN „Uwaga”. Już wtedy mówił on o więzieniach, w których *de facto* rządzi mafia,

130 Polaków, których deportacja była odwlekana ze względu na słabe warunki w polskich zakładach karnych. W 2016 r. doprowadziło to nawet do nerwowej debaty w Westminsterze. Konserwatywni posłowie wyliczyli wtedy, że nadprogramowi więźniowie z Polski kosztowali

Rodacy trafiają do ekwadorskich więzień, kiedy próbują przemycać do Europy nielegalne substancje.

podatników na Wyspach aż 20 mln funtów. Rozwód z Brukselą powinien problem częściowo rozwiązać, bo Londyn nie jest już związany prawem unijnym i wynikającymi z niego skomplikowanymi procedurami, ale na efekty przyjdzie poczekać do momentu, kiedy świat wróci do relatywnej normalności po trwającej już trzeci rok pandemii.

Opowieści o Polakach w zagranicznych więzieniach pojawiają się w mediach zwykle jako sezonowe sensacje. Najczęściej koncentrują się na przyczynach ich obecności poza Polską oraz tragicznych

kilkunastoosobowych celach, w których siedzieć powinno maksymalnie dwóch-trzech skazanych, czy wszechobecnej agresji, korupcji i lęku o przeżycie kolejnego dnia.

Choć sprawa ta wyszła na jaw 13 lat temu, od tego czasu niewiele się zmieniło. Ekwador i Tajlandia po drugiej stronie globu to jedne z państw, gdzie odsiadka może być gorsza od śmierci. Przypadki Polaków za kratkami w takich właśnie miejscach pokazują, że czasem to, co ojczyzna ma do zaoferowania, wcale nie musi być takie najgorsze.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Bawarczyk – przyjaciel Różewicza

Różewicz prawie całe życie przyjeżdżał do nas i spędzał u nas tydzień czy kilka tygodni w roku



DR MATTHIAS KNEIP

– pisarz, poeta, propagator polskiej kultury, wieloletni przyjaciel Tadeusza Różewicza; pracownik Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt.

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Czy czujesz się sierotą polityczną po odejściu Angeli Merkel z Urzędu Kanclerskiego po 16 latach?

– Trochę się czuję taką sierotą. Muszę przyznać, że w ostatnich latach było bardzo dobrze mieć w rządzie kogoś, kto nie reaguje od razu. Wiem, że to także zarzut wobec Merkel, że często czekała, nic nie robiła itd., ale wydaje mi się, że właśnie w ostatnich latach za dużo ludzi za szybko działało i później trzeba to było naprawiać. Merkel miała zdolność czekania – i w większości miała rację, bo problem sam się rozwiązywał bez robienia bałaganu. Mam wrażenie, że w Europie tego bałaganu było za dużo w ostatnich miesiącach.

Bardzo mi odpowiadało, że Merkel zapewniała taką spokojną atmosferę. Wiedzieliśmy, że wie, co robi, nawet jeżeli nic nie robiła. Być może od czasu do czasu to był błąd, ale każdy polityk popełnia błędy. Czuliśmy, że była taką polityczną matką, mądrą i doświadczoną, która wiedziała, co brać na poważnie, a czemu nie poświęcać uwagi. Przede wszystkim w stosunkach polsko-niemieckich nie reagowała za szybko, emocjonalnie. Rozumiała, że różne wypowiedzi polskiego rządu jej nie dotyczą, a powstają na potrzeby polityki wewnętrznej. Możliwe, że tego mi będzie brakowało.

Stan Europy, świata na dzisiaj?

– Najważniejszy obecnie problem to nawet nie Europa, ale sytuacja w Rosji oraz Chinach i Ameryce.

Dobrze byłoby reagować jednym europejskim głosem. Ale wiemy, że ten jeden głos jest teraz prawie niemożliwy, bo w Europie są tacy, którzy myślą, że nie potrzebują Unii Europejskiej i tego systemu, i nie mają ochoty na kompromisy. Oto największy problem: mamy kraje, które uważają, że UE jest zbędna. Polska jest jednym z nich. Im więcej takich postaw, tym gorzej ten system będzie działał. Brakuje polityków, którzy są zdolni do kompromisu. Polacy nawet nie próbują, Węgrzy też nie. Europa to widzi i nie jest w stanie zareagować, nie jest przygotowana na taką sytuację. Wierzę, że uda się przekonać te rządy, że UE to więcej niż owe minusy, nad którymi dyskutują.

Jesteś zaniepokojony tym, co się dzieje w Polsce, dajesz temu wyraz choćby w felietonach.

– Moim zdaniem sytuacja w kraju zawsze jest trudna, kiedy polityka dzieli ludzi. Widzieliśmy to w Ameryce, mamy to teraz w Polsce. Jeżeli kraj jest podzielony, nie wiadomo, jak to się skończy, czy wygra jedna połowa, a druga będzie pod presją, jaka będzie reakcja. Czy społeczeństwo widzi, że ten podział nie ma sensu, i szuka polityka, który na powrót je skleji? Mnie jako cudzoziemca to nie dotyczy, ale wiem, że nie ma sensu budować rządu na podziałach. Bo zawsze będą różne zdania, różne wartości i trzeba je godzić.

To, co mamy teraz w Niemczech, jest naprawdę wyjątkowe: Merkel jeździła z Scholzem na międzynarodowe spotkania i go przedstawiała, wprowadzała. Szczerze mówiąc, na początku myśleliśmy, że ta koalicja jest niemożliwa, ale widać, że ci, którzy wybrali SPD, coś dostają i ci, co wybrali Zielonych czy FDP, również; teraz dyskutujemy o tym, na ile to jest sprawiedliwe, ale to kolejny poziom. Widać, że udało się znaleźć kompromis i o to właśnie chodzi, tego życzyłbym Polsce. Niepokoją mnie te emocje i ten spór, tak głęboko już zakorzeniony w duszach

Polaków. Może w Boże Narodzenie udałoby się przebaczyć jednej i drugiej stronie albo przynajmniej znaleźć wyjście? Ja tego z mojej

Brakuje polityków, którzy są zdolni do kompromisu. Polacy nawet nie próbują, Węgrzy też nie.

pozycji jeszcze nie widzę, ale życzę Polsce, żeby tak się stało.

Jesteś Bawarczykiem, pochodzisz z rodziny Niemców urodzonych na Górnym Śląsku przed II wojną światową.

– Rodzice poznali się w Niemczech, w latach 50. Ale kiedy mieszkali na Śląsku, w Gliwicach, Opolu, Leśnicy, nawet nie mówili gwarą śląską. To były niemieckie rodziny. Babcia po wojnie przeżyła gwałtowny szok, byli polonizowani i musieli dać sobie z tym radę. Dla dzieci to łatwe, mój ojciec bardzo szybko się spolonizował, bo wraz z językiem przyszła kultura z nauczycielami z Kresów, którzy przyjechali na Śląsk i mu ją przekazali. I on się zakochał w tej kulturze, w języku. Mój ojciec zawsze mówił, że trzeba postawić tym nauczycielom pomnik, oni też zostali wypędzeni, rozumieli sytuację dzieci na Śląsku, także musieli zmienić tożsamość, ojciec był im bardzo wdzięczny, tym w szkole i na studiach. Potem przekazywał polską kulturę w Niemczech. Ja robię mniej więcej to samo. A wielu Polaków mówiło, że to polonizowanie nie ma sensu.

Jako jedyny z trójki rodzeństwa mówisz po polsku i interesujesz się tym krajem.

– Moi rodzice nie przekazali nam polskości. Trzeba pamiętać o sytuacji w latach 70.: zimna wojna, Bawaria daleko od Polski. To było trudne dla rodziców. Poza tym nie chcieli przekazywać swojej polonizacji, to nie był ich język ojczysty, to był drugi język, dlatego to nie było proste. Zawsze chcieli, byśmy sami znaleźli drogę przez życie, dlatego moi bracia nie mają nic wspólnego z Polską, a ja mam. Ja zostałem

„zainfekowany” polskością. Kiedyś ojciec opowiedział mi, że po wojnie nie wolno mu było mówić po niemiecku, to było dla mnie szokujące, jak można dostać karę za to, że ktoś mówi po niemiecku np. w stodole. Zacząłem się tym

interesować, pojechałem na studia doktoranckie do Opolu, badałem to na miejscu, uczyłem się języka polskiego. Rodzice nie wiedzieli, w życiu nie rozmawiałem z nimi po polsku, to nie miałyby sensu. Wiele lat później, kiedy Tadeusz Różewicz był u nas albo gościł nas w Polsce, rozmawiałem po polsku i rodzice byli zaskoczeni. Nie wiedzieli, że uczyłem



Różewicz miał dużo czasu u nas, mogliśmy z nim rozmawiać, grać w piłkę nożną, zajmować się motocyklem.

się języka sam, np. przez to, że pisałem książki. Napisałem też pracę doktorską na temat języka niemieckiego na górnym Śląsku w XX w. **Skąd Tadeusz Różewicz w waszej rodzinie? On najwcześniej rozpoznał w tobie wrażliwość poety.**

– Ojciec, Heinz Kneip, był polonistą. Poznali się z Różewiczem we Wrocławiu. Przedstawiono ich sobie, mieli podobne poczucie humoru i od razu była między nimi chemia. Od razu prawie całe życie przyjeżdżał do nas i spędzał u nas tydzień czy kilka tygodni w roku. Różewicz był dla nas, dzieci, interesujący, bo mówił po niemiecku. To był warunek, czy gość rodziców mówi po niemiecku, bo jeśli nie, to co mieliśmy z nim robić? Oprócz tego Różewicz miał

dużo czasu u nas, ojciec pracował, matka była zajęta, mogliśmy z nim rozmawiać, grać w piłkę nożną, zajmować się motocyklem. On bardzo się nami interesował, jego własna sytuacja była wtedy trudna i znalazł u nas tę rodzinę, o której marzył.

Nie wiedzieliśmy, że jest znanym pisarzem, przedstawiał się „Tadeusz Różewicz” i tyle, miał normalne życie, którego w Polsce, gdzie każdy wiedział, kim jest, nie miał. Polubił to, że sam musi siebie przedstawiać. Mam w domu książkę, którą mi podarował, gdy miałem 10 lat: „Maciejowi, z prośbą, żeby nie zaczął pisać wierszy przed 60. rokiem życia”. Ciekawe, dlaczego właśnie mnie spośród naszej trójki. Nie rozumiałem wpisu i dopiero 15 lat później mogłem to przetłumaczyć, miałem już za sobą wydany tomik wierszy. Potem, w Opolu, w latach 90., zorientowałem się, że Różewicz mieszka godzinę drogi stamtąd, i zawsze kiedy tam byłem, odwiedzałem go we Wrocławiu. Do śmierci mieliśmy taki bliski, rodzinny kontakt.

O czym rozmawialiście?

– Treścią naszych rozmów nie była literatura. Rozmawialiśmy o pracy, o rodzinie, w pewnym sensie o polityce, bo Różewicz miał własny sposób patrzenia na nią, i wiele żartowaliśmy. Pamiętam, jak się zastanawiał, czy nie lepiej sprzedawać książki razem z ciastkami żony, bo jeśli jest jakiś bufet na spotkaniu, zawsze przychodzi więcej ludzi. Były też treści głębsze, pamiętam rozmowy o wartości czasu. On czytał moje wiersze, nawet kiedyś podczas spotkania autorskiego przeczytał mój wiersz i ludzie myśleli, że to jego, klaskali. Potem przyznał, że to mój wiersz, zrobił taki żart i pokazał funkcjonowanie rynku, że wszystko, co przeczyta, jest super, nieważne, czy to naprawdę jego. Byliśmy umówieni na kolejne spotkanie, ale umarł. Byłem przy jego grobie. Miał ponad 90 lat i myślę, że był zadowolony z życia, mimo że poeta nigdy nie jest zadowolony, bo cierpi. Ale to jest problem poety. Jeżeli nie cierpisz, nie piszesz.

► Różewicz „nakierował” cię na pisanie o Polsce.

– Powiedziałem mu kiedyś, że mi przykro, bo kiedy jestem w Polsce, ludzie do mnie dzwonią i pytają, kiedy wracam do Niemiec. Kiedy jestem w Paryżu, dzwonią i pytają, czy mogą do mnie wpaść. To mnie bardzo zdenerwowało, a Różewicz powiedział: zrób coś. Wtedy zacząłem pisać książki o Polsce i bardzo mi zależało, żeby podzielić się moją fascynacją z innymi. Robię to do dzisiaj, lubię ten kraj, mentalność, nawet ten

trzeba mieć karpia, ale go nie lubiliśmy i zmieniliśmy na pstrąga. Poza tym w dzieciństwie rodzice wpuścili do wanny żywego karpia i my, dzieci, pokochaliśmy tę rybę. Kiedy zrozumieliśmy, że mamy go zabić na Boże Narodzenie, to rodzice mieli wybór: albo z powrotem do stawu, albo koniec ze świętami. Odtąd nie kupowali żywych ryb. Zawsze są opłatki. Moi bracia chyba te opłatki jeszcze zachowali.

Moja rodzina robi wigilię po polsku, ale nie 12 potraw. Mamy zupeł-

Młodym ludziom można coś przekazać i mogą zmienić swoje wartości. Trzeba ich tylko zainteresować. I to jest moje zadanie, od samego początku mojej pracy wymyślałem drogi przekazywania młodzieży wiedzy o Polsce, dlatego opublikowałem zeszyty dla niemieckich nauczycieli o polskiej literaturze, polskiej historii, polskim społeczeństwie. Wymyśliłem platformę internetową Polska w szkole (www.poleninderschule.de), razem z kolegą stworzyliśmy ten dział i wciąż szukamy atrakcyjnych form przekazu, by młodzi ludzie powiedzieli: „Wow, nic nie wiedziałem, zaciekało mnie i tam pojadę”. Najważniejszą rzeczą jest to, by ludzie tu przyjechali, poznali kraj z ludźmi, z mentalnością. Dlatego współpracuję również z Deutsche Jugendwerk, jestem jego ambasadorem, żeby im pomagać. Teraz sytuacja jest bardzo trudna z powodu covidu i to dotyczy przede wszystkim młodych ludzi, którzy walczą o siebie w szkole i mają inne problemy niż wiedza o Polsce, także z powodu klimatu, ekonomii, pytań o przyszłość.

Nowy Rok tuż-tuż, czy masz jakieś plany, życzenia?

– Bardzo chętnie napisałbym znowu książkę o Polsce, ale kiedy sytuacja jest taka wzburzona, to nie ma sensu, dlatego czekam, kiedy kraj znowu się połączy. I szukam tego, co można o Polsce napisać niezależnie od tej trudnej sytuacji. Życzę kulturze, by kwitła, bo znaczenie kultury jest lekceważone, także tej w codziennym zachowaniu. Zawsze życzymy sobie zdrowia, to już nie jest banalne zdanie, być może to korzyść z covidu, że „bądź zdrowy” odzyskuje znaczenie. I byśmy byli świadomym fundamentem społeczeństwa. Ta wartość społeczeństwa kojarzy mi się z Różewiczem, bo on zawsze walczył o podstawowe znaczenia. Nie small talki, Różewicz tego nie robił. Ja tego też nie robię. Życzenia traktuję poważnie, dlatego chciałbym, aby ludzie uświadomili sobie, co jest ważne w życiu, a co nie. To brzmi banalnie, ale być może to jest droga do przyszłości. Bo teraz mamy za dużo w głowach, i w Polsce, i w Niemczech.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Czy społeczeństwo widzi, że ten podział nie ma sensu, i czy szuka polityka, który sklei je na powrót?

spór w Polsce, bo przez całą historię walczyła z innymi, ale i sama z sobą. To też jest ciekawe, teraz ten spór z sobą widać w nieprzyjemnej wersji.

Od czasu do czasu myślę, że dobrze by było w Niemczech mieć więcej energii i przekonania do pewnych rzeczy i o to walczyć. My dyskutujemy, wybieramy i znajdujemy kompromis. To ma oczywiście swoje plusy. Boję się tego, co się dalej stanie w Polsce. I w tym jest problem, że ten spór w Polsce jest nawet między rodzinami, że atmosfera życia się zmieniła.

Odczuwasz te podziały wewnątrz polskich rodzin?

– Wiesz, polska gościnność ma ten plus, że starają się nie okazywać mi tego. Ale kiedy zadam jakieś pytanie, od razu wyczuwam, że jest spór. To widać, słysząc, to przekroczyło poziom polityki i jest w prywatnym życiu. Bardzo mi żal tej dawnej atmosfery w Polsce i czekam na osobę, która jest w stanie połączyć polskie społeczeństwo i złagodzić spór o politykę. Nie wiem, czy to realne, ale mam nadzieję. Odpowiedzialny jest za to polski naród. Nie można z Brukseli albo z Berlina wpływać na to, co Polacy mają robić.

Jak obchodzisz Boże Narodzenie?

– Polska tradycja Bożego Narodzenia zawsze była obecna, kiedy mieszkaliśmy z rodzicami. Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, jak w Bawarii świętują; coś tam wiem, ale nie do końca. Wiem, że się je *Kartoffelsalat* i kielbasę. Nie mogę sobie tego wyobrazić, bo zawsze w domu mieliśmy pstrąga. Wiem, że

taką grysikową, na początku, potem pstrąga i świąteczne ciasteczka. Wy chyba tego nie macie, są bardzo ważne w Niemczech, mama je robi i daje nam w prezencie. To, co mamy z Polski, to kolędy, rodzice zawsze je śpiewali. Ojciec od niedawna nie żyje, ale matka śpiewa i ja się staram. Mamy oczywiście kolędy Mazowsza na płycie. Mamy nawet książkę z polskimi tekstami. Moje dzieci też śpiewają, ale nic nie rozumieją. Zawsze również śpiewamy „100 lat”, ale nie na Boże Narodzenie (śmiesz).

Skąd bierzecie w Niemczech opłatek?

– Ja zawsze mam. Kiedy jestem w Polsce, kupuję duże ilości, bo to też są prezenty dla przyjaciół. Wyjaśniam, co się robi z opłatkami. Oni lubią te moje opowieści, a potem widzę zachowane opłatki, bo nie chcą łamać tych ładnych obrazków.

Pracujesz w Niemieckim Instytucie Spraw Polskich w Darmstadt, stworzonym przez Karla Dedeciusa. Czym się tam zajmujesz?

– Pracuję tam od marca 2000 r. Moim marzeniem była praca nauczyciela, ale w Bawarii nie mogłem uczyć niemieckiej i rosyjskiej literatury. Kochałem rosyjską literaturę i nie chciałem jej oddać, potem doszła miłość do polskiej literatury, języka. Przez pracę doktorską i pobyt w Polsce zyskałem wiele kontaktów, moja praca była bardzo ważna dla nauczycieli, którzy pracowali na Śląsku. Kiedy zacząłem pracę w instytucie, najważniejszym celem było zrobienie czegoś dla młodego pokolenia, bo to też ważne dla Polski.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Po latach

Z opóźnieniem o stanie wojennym. Minęło 40 lat, a pamiętam każdą chwilę z tej nocy. Ktoś mnie ostrzegł przed północą, wybiegłem z mieszkania i krążyłem małym fiatem po mroźnej i śnieżnej Warszawie, budząc ludzi. Czasami zastawałem tylko drzwi wyrwane z futryny, z blizną po łomie. Niezwykła, diabelska noc, pełna mocnych wrażeń.

W dawnej kawiarni Nowy Świat spotkanie w rocznicę. Znajomi i nieznajomi z dawnej Solidarności, ludzie kiedyś internowani. Wszyscy posunęliśmy się przez te lata. Pokaz zdjęć z obozów internowania. Czytam dwa swoje wiersze, świadectwo tamtej nocy. Jan Krzysztof Kelus śpiewa. Trochę jedzenia, trochę alkoholu. Ale na szczęście nie ma atmosfery martyrologicznej. Nasze „męczeństwo” zupełnie wyparowało.

Po koncercie dyskusja o gen. Jaruzelskim i Michniku. Nie chcę źle mówić o Adamie, więc wychodzę. A myślę: mógł Michnik iść do łóżka z generałem, to jego intymna sprawa, ale nie powinien tego robić publicznie, bo to powiedzenie milionom ludzi, którzy walczyli ze stanem wojennym, że się wygłupili, a przecież dla nich to najbardziej doniosłe wydarzenie w życiu. Nie wolno im tego zabierać. Michnik to wygrał, ale wielu z nich przegrało. Nie ma prawa wybaczać generałowi w imieniu milionów. Co za pycha. Ale oczywiście parszywa jest TVP, że ujawnia materiał, który dostała pewnie od służb, sami są gorsi, bardziej podli niż telewizja w stanie wojennym. A my podli, że dyskutujemy o tym materiale. Duda i Morawiecki, którzy pluą teraz na Jaruzelskiego i na Michnika, moralnie zdają się gorsi od Jaruzelskiego. A nie był aniołem. Nawet jeśli stan wojenny ratował nas przed interwencją radziecką, porządny człowiek nie znalazłby się w tym miejscu i tym czasie co generał.

A 1968 r.? Inwazja na Czechosłowację. Czystka antysemita w wojsku? Była robiona wedle ustaw norymberskich. A jakiś czas po stanie wojennym mógł generał bez ryzyka inwazji sowieckiej reformować Polskę. Dlaczego tego nie zrobił? Był za małego formatu. Potem jednak oddał elegancko władzę – wielka sprawa, doceniam to. Dawne emocje niemal zupełnie wyparowały, a były ogromne. Teraz nawet potrafię pomyśleć, że stan wojenny był nieunikniony, że system nie miał innego wyjścia.

A co zostało ze sztuki stanu wojennego? Gdyby powszechne rozczarowanie po latach mogło być dziełem artystycznym... Gdyby stracone złudzenia potrafiły pisać scenariusze, a paradoksy mogły stawać się wierszami... Co zostało? Mniej niż mało. Może emocje były za duże, a słowo i obraz za łatwo stawały się bronią? Dostałem

wtedy za wiersze stanu wojennego nagrodę podziemnej Solidarności, były często czytane, a nawet powszechnie przepisywane ręcznie, a teraz nie zamieszczam ich w wyborach swojej poezji. Nie żałuję jednak ani jednego słowa z tych, które wtedy pisałem. Szczerze odczuwaliśmy dramat, a że był on jednak podszyty groteską, zauważyliśmy za późno. Kiedy to dostrzegłem, stałem się felietonistą swojego podziemnego „Wezwania”, a Jerzy Giedroyc wkrótce ściągnął mnie do paryskiej „Kultury” jako stałego autora. Czuł świetnie groteskę tamtego czasu Miron Białoszewski, odporny na polskie mity, dlatego jego „Kabaret Kici Koci” został jako czysta kpina. Wtedy jednak dominowały tajne spotkania, wielka konspiracja, zbiorowe emocje, budynki migające światłami na znak solidarności, podziemne wystawy malarskie, bojkot aktorów. To jest właśnie wielkie dzieło tego czasu, niebywała instalacja. A więc taka Polska też być potrafi!

Teraz gorycz i wściekłość, że zmarnotrawiono tyle solidarności, tyle gestów, tak wiele poświęcenia.

Teraz jest gorycz i wściekłość, że zmarnotrawiono tyle solidarności, tyle gestów, tak wiele poświęcenia. Utonęło wszystko w pisowskiej gnojówce. Pierwsze dni stanu wojennego, wyrzucony z orbity życia spotykam się potajemnie z żoną i z synkiem, miał sześć lat. Na śnieżnym parkingu w pobliżu tego, co do niedawna było moim domem, odnoszę przykre wrażenie, że mój syn boi się mnie, jakbym był zadżumiony. Szeptem radzi: „Tata, zgłoś się sam na milicję, jak się zgłosisz, to cię tylko internują. Jak złapią... to internują i aresztują”. Poczułem gniew, że osłabia moją determinację. Ten gniew zmienił się we wstyd. To może było najgorsze doświadczenie tych dni. A złapali mnie dopiero po roku. I zawieźli do Białoteki.

Nowe nieszczęście w rodzinie. Ten siedmioletni chłopiec nagle przestał widzieć. Helikopterem zawieziono go do Centrum Zdrowia Dziecka. Badanie wykazało, że to guz mózgu. Nie mogę zasnąć, myślę: ten chłopiec śpi w pobliskim szpitalu, 20 minut od nas na piechotę, niemal słyszę jego oddech, i ma kolorowe sny, a obudzi się w całkowitych ciemnościach. Widzę Pana Boga, jak siedzi na wielkiej górze ludzkich nieszczęść i bezradny modli się do swojego Pana Boga.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Małgorzata P. Bonikowska Korespondencja z Kanady

Kiedy Khaled i Karima z dwójką małych dzieci wylądowali w Toronto mroźnego grudniowego dnia w 2015 r., byli wyczerpani długim lotem, pełni obaw i już tęsknili za rodzicami, rodzeństwem i liczną rodziną, która została w bombardowanym Damaszku. Na lotnisku powitał ich młody, serdeczny mężczyzna, który okazał się premierem kraju otwierającego przed nimi gościnne drzwi. Justin Trudeau z żoną dali im przedsmak serdeczności i otwartości, jakiej doświadczali już potem codziennie. Usłyszeli: „Teraz już jesteście w domu, bezpieczni”. Zawsze kiedy wspominają te słowa, mają łzy w oczach.

Kanada pomogła znaleźć pokój i godne życie ok. 46 tys. uchodźców z Syrii nękanej od 2011 r. konfliktem. Nauczyli się języka, znaleźli pracę, kupują domy, płacą podatki, ich dzieci się kształcą. Z poczucia wdzięczności są najbardziej lojalnymi obywatelami i pomagają innym. *I want to give back* to typowe kanadyjskie powiedzenie o odpłacaniu dobrem za otrzymane dobro.

Kanada jest dwujęzycznym narodem imigrantów, mieszkają tu członkowie ponad 200 grup etnicznych. 20% z nas urodziło się poza Kanadą i tylko rdzenni mieszkańcy, którzy stanowią niewielką część populacji, mogą twierdzić, że są stąd. Poza nimi każdy tu kiedyś przyjechał.

Kanada jest dwujęzycznym narodem imigrantów, mieszkają tu członkowie ponad 200 grup etnicznych.

Imigracja to lek na niski przyrost naturalny i starzenie się społeczeństwa – średnia życia w Kanadzie jest wyjątkowo długa. A hasło *Diversity is our strength*, różnorodność jest naszą siłą, kraj realizuje na każdym kroku w codziennym życiu.

Jeszcze niedawno przyjmowano mniej więcej ćwierć miliona imigrantów rocznie, ostatnio te liczby miały być dużo wyższe, ale pandemia pokrzyżowała plany – w 2020 r. przyjęto tylko 184 tys. Jednak obecnie mowa jest o 1,2 mln na lata 2021-2023.



Kanada z sercem dla imigrantów

Imigracja to lek na kanadyjski niski przyrost naturalny i starzenie się społeczeństwa

Kraj przyjmuje nie tylko imigrantów z grubym portfelem albo z doktoratem, lecz także imigrantów ekonomicznych (ponieważ wykonują przydatny zawód, chcą zainwestować kapitał w Kanadzie lub stworzyć firmę), osoby sponsorowane przez członków rodziny (w ramach łączenia rodzin) i ludzi wymagających pomocy, czyli uchodźców.

Tym ostatnim przyznaje się status stałego rezydenta na podstawie uzasadnionej obawy przed powrotem do kraju ojczystego – przed prześladowaniem ze względu na rasę, religię, narodowość, przynależność do określonej grupy społecznej lub poglądy polityczne (na mocy konwencji genewskiej). To również osoby bezpośrednio dotknięte wojną domową lub konfliktem zbrojnym albo takie, które doświadczyły masowego naruszenia praw człowieka.

Kanada przyjmuje uchodźców od dziesięcioleci. Od roku 1980 do 2017 ok. 1,1 mln. Co roku ponad 100 tys.

osób otrzymuje azyl. W 1986 r. Kanadyjczycy (*The people of Canada*) otrzymali Medal Nansena (obecnie Nagroda Nansena, UNHCR Nansen Refugee Award, przyznawana przez Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców). Według niedawnego międzynarodowego badania Kanada to jeden z najlepszych krajów na świecie pod względem integracji imigrantów, jest wysoko oceniana za stwarzane im możliwości edukacyjne i zawodowe, a także za politykę antydyskryminacyjną i równościową.

Fale imigracji z poszczególnych krajów są odbiciem historii wojen i konfliktów świata, w tym historii Polski. Od końca II wojny światowej do 1956 r. do Kanady przybyło ok. 64 tys. polskich uchodźców. W latach 80. Kanada przyjęła ponad 115 tys. Polaków. Umożliwił to specjalny program Self-Exiled Class, dla Polaków otwarty w latach 1978-1990.

Uchodźcy są przyjmowani w ramach programu rządowego, ale nie tylko. To Kanada właśnie, pierwsza na świecie, stworzyła Private

Premier Kanady Justin Trudeau wita syryjskich uchodźców na lotnisku w Toronto, grudzień 2015 r.

Sponsorship of Refugees Program. Przybycie do kanadyjskich wybrzeży fali wietnamskich uchodźców, tzw. *boat people*, w połowie lat 70. spowodowało, że w 1979 r. rząd kanadyjski zobowiązał się sponsorować jednego uchodźcę na każdego, którego zasponsorują i wspierać będą sami Kanadyjczycy prywatnie. Po raz pierwszy zwykli ludzie w całym kraju zaangażowali się w pomoc uchodźcom w osiedleniu się w Kanadzie. W pierwszym półroczu od ogłoszenia tego programu rząd otrzymał podania od 5,5 tys. grup pragnących sfianansować przyjazd uchodźców.

Każdy nowo przybyły do Kanady imigrant może liczyć na szerokie wsparcie – kursy językowe, pomoc w znalezieniu mieszkania, pracy. Są specjalne formy pomocy dla tych, którzy mają za sobą traumę, tortury. Do tego wszystkiego służy sieć finansowanych przez rząd agencji oferujących taką pomoc. Ale modelowy program prywatnego sponsorowania ma szczególną moc – całe lokalne społeczeństwo Kanadyjczyków (minimum pięć osób lub organizacje społeczne, wyznaniowe, etniczne) angażują się w integrację nowo przybyłych, dbają o nich pod każdym względem, uczą ich Kanady. To tworzy więzi, pozwala przybyszom znaleźć swoje miejsce w lokalnych społecznościach i ułatwia proces akulturacji. Ze względu na sukces tego prywatnego modelu inne rządy i agencje, w tym Wysoki Komisarz ONZ ds. Uchodźców, uznały go za godny naśladowania. Podobne programy uruchomiły lub zobowiązały się do ich wdrożenia Argentyna, Australia, Francja, Niemcy, Nowa Zelandia i Hiszpania.

Prywatni sponsorzy w Kanadzie muszą zgromadzić ok. 28 tys. dol., aby sprowadzić czteroosobową rodzinę. Skrzykują się, aby pomóc nowo przybyłym – zbierają dla nich meble, urządzenia kuchenne, zimową odzież, włączają ich do życia swojej społeczności. W taki sposób między listopadem 2015 r. a końcem stycznia 2017 r. do Kanady przybyło ponad 14 tys. Syryjczyków. A przecież są jeszcze Irakijczycy, Irańczycy, Kongijczycy, Etiopczycy,

Erytrejczycy, Somalijczycy, Kolumbijczycy, Sudańczycy i wielu innych, a ostatnio Afgańczycy. Kanada podjęła się przyjąć 20 tys. uchodźców z Afganistanu, szczególnie liderki ruchu walki o prawa kobiet, obrońców praw człowieka, osoby LGBTQ, dziennikarzy i wszelkie osoby, które pomagały kanadyjskim dziennikarzom, a także tłumaczy, którzy

Uchodźcy deklarują wyższe poczucie przynależności do Kanady niż osoby tu urodzone.

pomagali rządowi kanadyjskiemu w misji w Afganistanie. I oczywiście ich rodziny.

Jest jeszcze trzecia droga sprowadzania uchodźców – stworzony w 2013 r. Blended Visa Office-Referred Program (wstrzymany na czas pandemii, mający ponownie ruszyć

imigranci ekonomiczni pod względem wskaźników zatrudnienia. Stają się członkami kanadyjskiej klasy średniej w ciągu pięciu lat od przybycia.

Inwestycja Kanady w uchodźców się opłaca. Z biegiem czasu płacą średnio więcej podatków dochodowych niż wartość otrzymywanych świadczeń i usług publicznych. Mowa tu tylko o podatkach od dochodów, a przecież płacą wiele innych, np. podatek od towarów i usług.

Połowa pracujących uchodźców jest zatrudniona na stanowiskach wymagających wysokich kwalifikacji, to m.in. lekarze, dentyści, architekci, menedżerowie i inżynierowie. 33% uchodźców pracowało na stanowiskach wymagających ukończenia szkoły średniej i/lub szkolenia specjalistycznego (np. kierowcy ciężarówek, rzeźnicy przemysłowi). Jako samozatrudnieni lub właściciele firm tworzą miejsca pracy



Premier Kanady spotkał się z małym Justinem Trudeau Adamem Bilem i jego rodziną w lipcu 2017 r.

w 2022 r.), w którym rząd zapewnia do sześciu miesięcy wsparcia finansowego, a prywatni sponsorzy pozostałe sześć miesięcy oraz rok wsparcia społecznego i emocjonalnego.

Od 2013 r. więcej uchodźców przybyło do Kanady dzięki sponsorowaniu prywatnemu niż poprzez program rządowy.

Jakie są wyniki tak opiekuńczego i serdecznego podejścia do uchodźców? Za serce odpłacają oni sercem i radzą sobie nawet lepiej niż

zarówno dla siebie, jak i dla innych Kanadyjczyków.

Są też dobrą inwestycją na przyszłość. Kanada to starzejące się społeczeństwo, a uchodźcy są średnio o 11,1 roku młodszy od osób urodzonych w Kanadzie, czyli więcej ich jest w wieku produkcyjnym. Często przyjeżdżają do Kanady na wczesnym etapie życia, mają więc przed sobą wiele lat pracy.

Pomimo początkowego braku środków finansowych 65% rodzin

► uchodźców, które przebywają w Kanadzie przez 10 lat lub dłużej, mieszka we własnych domach, niewiele mniej niż obywatele urodzonych w Kanadzie.

Uchodźcy deklarują wyższe poczucie przynależności do Kanady niż osoby tu urodzone. Są lojalnymi i dumnymi Kanadyjczykami. Mają najwyższy wskaźnik przyjmowania obywatelstwa ze wszystkich kategorii imigracyjnych. Aby zostać obywatelem Kanady, trzeba mieszkać tu przez co najmniej trzy lata, zapłacić i zdać test z wiedzy o Kanadzie. Na uroczystości nadawania obywatelstwa, na których widać ludzi wszystkich odcieni kolorów skóry, zapraszają całe rodziny. Kiedy śpiewają hymn Kanady i odbierają certyfikaty obywatelskie z rąk sędziów pokoju, często nie kryją wzruszenia.

Najlepszym dowodem wdzięczności jest dwóch małych Kanadyjczyków o nietypowych imionach. Dwie rodziny syryjskie nadały dzieciom urodzonym w Kanadzie imię Justin Trudeau. W styczniu 2017 r. przyszedł na świat Justin Trudeau Al

Shaikh. Ojciec chłopczyka powiedział mediom, że cała jego rodzina darzy głębokim podziwem premiera jako „jedynego przywódcę na świecie, który otworzył drzwi” dla syryjskich uchodźców, podczas gdy inne kraje odrzuciły wniosek jego dziewięcioosobowej rodziny. W maju tego samego roku w szpitalu w Calgary

Każdy nowo przybyły może liczyć na szerokie wsparcie: kursy językowe, pomoc w znalezieniu mieszkania, pracy.

w prowincji Alberta urodził się zaś Justin Trudeau Adam Bilal. Jego rodzice wyjaśniali: „Kochamy tego człowieka, bardzo go cenimy. Pomógł tak wielu z nas”. Szef kanadyjskiego rządu poznał osobiście małego Justina Trudeau Adama Bilala i jego rodzinę dwa miesiące później.

Wielu nowych Kanadyjczyków, którzy przeszli drogę uchodźczą, odpłaca pomocą innym, niekoniecznie członkom własnej grupy etnicznej.

Grupy dawnych uchodźców razem sponsorują rodziny potrzebujące pomocy humanitarnej. Teraz, przy kryzysie afgańskim, takich grup jest wiele – to byli *boat people* z Wietnamu, często też Syryjczycy, którzy znaleźli w Kanadzie schronienie. Niektórzy stworzyli w tym celu organizacje takie jak Syrian Canadian Foundation.

Chcą, jak podkreślają, odpłacić dobrem za otrzymane dobro. Pamiętają swoją drogę i pragną, aby inni również mieli godne życie w kraju, który szanuje wszystkich, gdzie nikt

nigdy publicznie nie powiedziałby złego słowa na przybyszów z innych kontynentów, gdzie nic nie stoi na przeszkodzie, aby zrobić karierę, a nawet wejść do polityki, objąć stanowiska ministerialne i pomagać w tym, aby Kanada była dalej taka, jaka jest – otwarta, przyjazna, pełna humanitaryzmu i współczucia dla ludzkiej niedoli.

Małgorzata P. Bonikowska

Księgarnia stacjonarna Muzeum Niepodległości zaprasza...

**Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów
główna siedziba Muzeum Niepodległości
al. Solidarności 61, 00-240 Warszawa**



**...zapraszamy także
do księgarni internetowej
Muzeum Niepodległości**

www.ksiegarnia.muzeum-niepodleglosci.pl






Czego możemy się nauczyć od Norwegów?

Norwegia zbudowała jeden z najlepszych w świecie systemów prowadzenia dialogu społecznego, zarówno dwustronnego, jak i trójstronnego

Paweł Śmigielski

Norwegia jest jednym z krajów mogących się pochwalić długą, bo ponadstuletnią, historią dialogu społecznego. Dialog ten odgrywa niezwykle ważną, wręcz kluczową rolę w rozwoju społeczno-gospodarczym i stanowi o przewadze konkurencyjnej tego kraju. Warto przypomnieć w tym miejscu, że Norwegia po zakończeniu II wojny światowej była ubogim europejskim krajem, a dzisiaj jest jednym z najbogatszych i najnowocześniejszych państw świata. Z pewnością nie osiągnięto tego tylko i wyłącznie dzięki dialogowi społecznemu, ale niewątpliwie jest on jednym z głównych autorów tego sukcesu.

Cechą charakterystyczną norweskiego dialogu społecznego jest to, że i partnerzy społeczni, i strona rządowa uznają znaczenie współpracy opartej na zaufaniu, szacunku dla swoich praw i interesów oraz wagę wspólnie przyjętych rozwiązań. To uwarunkowania pozaprawne, które w mojej ocenie są najważniejszymi składnikami tzw. nordyckiego modelu dialogu społecznego.

Niezwykle interesujące są osiągnięcia tego państwa w prowadzeniu dwustronnego dialogu społecznego, opartego przede wszystkim na układach zbiorowych pracy, w szczególności zawieranych na poziomie branżowym. W tego typu źródłach prawa pracy zawierane są rozwiązania korzystniejsze od powszechnie obowiązujących przepisów prawa, a także ustalane są kwestie wynagrodzeniowe. Co istotne, przyjęto podstawową zasadę, że to sami partnerzy, a nie rząd, będą odpowiedzialni za rokowania zbiorowe i rozwiązywanie sporów.

Niewątpliwie dwustronna współpraca przyspiesza rozwój trójstronności, gdyż strony poprzez wieloletnie prowadzenie autonomicznego dialogu mają ogromne doświadczenie, bagaż dobrych praktyk i zaufanie do siebie.

Norwegowie podkreślają również, że dla dialogu społecznego ważna jest równowaga stron, która dotyczy równości wobec prawa, ale odnosi się też do liczby osób zrzeszonych w organizacjach uczestniczących w negocjacjach zbiorowych. Reprezentatywność jest bowiem niezwykle ważna dla legalności partnerstwa społecznego i odpowiedniego znaczenia zawieranych porozumień.

Zwraca uwagę także to, że współpraca stron jest niezwykle szeroka. Obejmuje ona wiele kwestii społeczno-gospodarczych, w szczególności strony niezwłocznie reagują na pojawiające się coraz to nowsze zagadnienia i zagrożenia, związane np. z rozwojem cyfryzacji, zanieczyszczeniem środowiska i ochroną klimatu czy problemami powstałymi w wyniku epidemii COVID-19.

Sukces dialogu społecznego opiera się również na tym, że Norwegowie są narodem preferującym współpracę oraz dążenie do konsensusu, nastawionym na równość w stosunkach społecznych, a odchodzącym od rywalizacji i osiągania sukcesu za wszelką cenę. Ponadto chęć współdecydowania i angażowania się we wspólne sprawy jest nieodłączną cechą większości Norwegów.

Szukając własnego, najbardziej optymalnego modelu dialogu społecznego, warto uczyć się od najlepszych. Projekt „Learning from the Nordic Model – One level up in Social Dialogue” pozwolił na zapoznanie się z rozwiązaniami kraju, który zbudował jeden z najlepszych w świecie systemów prowadzenia dialogu, zarówno dwustronnego, jak i trójstronnego.

Warto zatem przeanalizować norweskie doświadczenia oraz dobre praktyki, a także rozwiązania prawne, które wzmacniają współpracę partnerów społecznych. Szczególnie ważne dla

W Norwegii przyjęto podstawową zasadę, że to sami partnerzy, a nie rząd, będą odpowiedzialni za rokowania zbiorowe i rozwiązywanie sporów.

Polski są wskazówki dotyczące prowadzenia dialogu dwustronnego, zwłaszcza na poziomie branżowym, gdyż w tym obszarze mamy wiele do nadrobienia.

W zapoznawaniu się z norweskim modelem dialogu społecznego z pewnością nie chodzi o to, aby przenosić go do naszego kraju w całości. Do tego nigdy nie dojdzie, ponieważ mamy inną historię, kulturę narodową, cechy ludzkie czy rozwiązania prawne. Niemniej jednak warto podpatrywać inne kraje, które w kulturze dialogowania mają o wiele bogatsze doświadczenia od nas, i próbować wdrażać poszczególne rozwiązania, bazujące na najlepszych ich praktykach.

Niniejszy artykuł jest efektem dyskusji podjętych na kilku warsztatach organizowanych w ramach projektu „Learning from the Nordic Model – One level up in Social Dialogue”, poświęconych dialogowi społecznemu w Polsce i konfrontowaniu naszych doświadczeń z efektami osiąganymi w Norwegii. Liderem projektu realizowanego wraz z partnerem norweskim jest Związek Zawodowy Przemysłu Elektromaszynowego – branżowa struktura OPZZ, skupiająca organizacje związkowe głównie z przemysłu lotniczego i obronnego.

Paweł Śmigielski jest prawnikiem, ekspertem dialogu społecznego w projekcie

Afryka dla Afrykanów

Ghana stała się największym producentem złota w Afryce. Ma tańszą siłę roboczą i łatwiejszy dostęp do kruszcu niż dotychczasowy lider, RPA



Akra, mieszkalna część dzielnicy Agbogbloshie, zwana Sodomą i Gomorą, jedno z największych składowisk elektroniki w Afryce. Tak Zachód pozbywa się elektronicznych śmieci.

Tekst Zuzanna Muszyńska
Zdjęcia Mariusz Śmiejek

Sahara jest morzem piasku, Sahel jego brzegiem. Kamienisty, porośnięty niskimi trawami i karłowatymi drzewami korytarz między pustynią na północy i deszczowymi lasami na południu to najbardziej zagrożony w przemocy region na świecie. W ostatnich latach przesiedlono 3,8 mln mieszkańców Sahelu. Wielu ucieka do Europy. Nie są tam mile widziani.

Tim Marshall, autor „Potęgi geografii”, umieszcza Sahel na liście 10 regionów, które mogą wpłynąć nieodwracalnie na los naszej planety. „To, co dzieje się w Sahelu, nie zostaje w Sahelu”, ostrzega. Bieda,

napięcia etniczne, nieszczelne granice, siejące nienawiść ideologie polityczne i religijne, do tego zmiany klimatyczne, mniej opadów, brak wody pitnej i żywności – problemy mieszkańców Sahelu stają się naszymi problemami. Tak jak ich złoto jest od wieków naszym złotem, a ich praca naszym zyskiem.

Kolebka ludzkości

Pierwsi *Homo sapiens* pojawili się 200 tys. lat temu w Afryce. Od 8000 r. p.n.e. ludzie, którzy wywędrowali w kierunku Europy i Azji, uprawiali ziemię, budowali miasta i wsie. Kiedy ok. 2 tys. lat temu handlarze z Bliskiego Wschodu wrócili do kolebki ludzkości po sól, zastali Afrykę rozwijającą się w oderwaniu od krajów euroazjatyckich, nękaną

przez ciężki klimat i choroby. Niewolników używano do transportu soli w obrębie Sahelu na długo przed pojawieniem się obcych handlarzy. Ich przybycie sprawiło, że poza kontynent wywieziono setki tysięcy czarnych Afrykanów. Kiedy do wybrzeży Afryki dotarli w XV w. Europejczycy, niepomni klimatu, chorób, braku portów i spławnych rzek, zdolali zamienić jej bogactwa w przekleństwo, a ludziom urządzili piekło.

Od VII do XIX w. przez szlaki Sahelu ku wybrzeżom przewieziono co najmniej 10 mln niewolników. Na morzu ginął co 10. Jednym z punktów startowych morskiej podróży była ghańska twierdza Cape Coast, zbudowana przez Portugalczków w XV w. Na każdy transport oczekiwano w ciasnych piwnicach ponad tysiąc mężczyzn i kobiet. Budynek przechodził z portugalskich w szwedzkie, duńskie, niderlandzkie, w końcu brytyjskie ręce. Oficerowie modlili się w kaplicy położonej bezpośrednio nad więzieniem, które istniało do 1833 r., końca brytyjskiej ery niewolnictwa. Ghana jako pierwszy kraj Afryki wyzwoliła się w 1957 r. spod jarzma Brytyjczyków. Cape Coast odwiedził prezydent Barack Obama. Jego żona, Michelle, jest potomkinią niewolników.

W drugiej połowie XIX w. Europejczycy pokroili mapę Afryki na kawałki, niepokrywające się z demografią kontynentu. Na spory etniczne nałożyły się religijne – na długo przedtem karawany przywiozły oprócz licznych towarów nową religię. Islam trafił na Sahel w VIII w. Dzisiaj dżihadysty dyktują warunki w oddalonych od dużych miast zakątkach Sahelu i państw ościennych. Prezydent Macron na zwołanym przez siebie szczycie w 2020 r. ogłosił, że jeśli Unia Europejska nie obejmie Sahelu programem obronnym, regionowi grozi upadek, a Europę czeka kolejna wielka fala migracji. W Wielowymiarowej Zintegrowanej Misji Stabilizacyjnej w Mali, powołanej w 2013 r., zginęło do tej pory ponad 200 żołnierzy sił pokojowych. To obecnie najwyższy współczynnik poległych w misjach ONZ.

W 2017 r. kraje Europy Zachodniej, Bank Światowy, Narody Zjednoczone i Afrykański Bank Rozwoju powołały Sojusz na rzecz Sahelu (Sahel Alliance). W 2018 r. przeznaczył on łącznie

6 mld euro na nowe miejsca pracy i rozwój infrastruktury w regionie. 17 krajów afrykańskich planuje też wydać setki miliardów dolarów na walkę ze skutkami zmian klimatycznych. Na granicy Sahelu i Sahary powstaje Wielki Zielony Mur o długości 8 tys. km i szerokości 16 km. Z trudnego w utrzymaniu pasa zieleni projekt przeradza się stopniowo w zazielenianie całego regionu. W drugiej połowie XX w. Sahara rozszerzyła się o 100 km w głąb Sahelu. Susze, wysychanie jezior, rosnąca liczba ludności i wycinanie lasów przyczyniły się do licznych klęsk głodu. Według ONZ 30 mln ludzi w regionie nie ma zapewnionego „bezpieczeństwa żywieniowego”, a 10 mln grozi głód.

Afryka ma 1,2 mld ludności. To 1,2 mld ludzkich historii.

Dzieci za 25 euro

Setsofia Dowokpor trafił do pracy w wieku ośmiu lat. Jego ojciec zmarł, a nieuleczalnie chora matka sprzedawała chłopca handlarzom ludzi. Setsofii obiecano, że będzie pracował po lekcjach. W wiosce rybackiej nad jeziorem Wolta, do której trafił, nie było szkoły. Chłopiec pracował od świtu do nocy. Jedzenia brakowało. Całe dnie chłopiec spędzał na łodzi. Bał się swojego „pana”, kar cielesnych. Niewiele spał. W stanie niewolnictwa przeżył pięć lat.



Sodoma i Gomora, 11-latka z północy kraju sprzedaje napoje pracownikom opalającym przewody w celu odzyskania miedzi.

ich nie zgłasza. Rodzice nie wiedzą, że stracili dziecko, nie mając z nim kontaktu przez lata. Do takiej pracy przymusza się cztero-, pięciolatkę.

Wolta to największy sztuczny zbiornik na świecie. Sieci zaplatają się w zalane wodą drzewa i krzewy. Drobne dziecięce dłonie przydają się do ich rozplątywania, poza tym dzieci są tanie w utrzymaniu. Mariusz pływał po jeziorze, fotografował nieletnich przy pracy. – Wydobycie ich z niewoli nie jest łatwe – podkreśla.

– Wokół jeziora działają organizacje, które próbują nagłośnić problem. Rząd ghański deklaruje pomoc w walce z handlem ludźmi i niewolniczą pracą, ale to tylko słowa.

Mariusz pracował wiele lat na Sycylii, śledził losy migrantów z Afryki Zachodniej, dokumentował ich historie – Nigeryjek zatrudnionych w seksbiznesach w Palermo, zbieraczy warzyw z nielegalnego obozu pod Katanią i sierot. W ostatnich 10 latach dotarło z Afryki do Włoch kilkadziesiąt tysięcy dzieci bez opieki. Część znalazła się w specjalnych ośrodkach dla nieletnich, część w przeludnionych obozach. Wiele ląduje na ulicy po osiągnięciu pełnoletności, bez szans na pracę – prosto w ręce mafii.

Mariusza zaproszono do stolicy Ghany, Akry, na festiwal skupiający artystów z różnych dziedzin, poświęcony migracjom. Tam poznał ludzi ze Street Academy, Ghańczyków, którzy opiekują się dziećmi ulicy. – Ghańczycy są młodym społeczeństwem – mówi. – Wśród nieletnich jest dużo sierot, których rodzice zmarli na HIV. Są bezdomne dzieci, wysyłane przez rodziców do stolicy, by żebrac lub znaleźć pracę. Nam, Europejczykom, nie mieści się to w głowie.

Street Academy zapewnia dzieciom zajęcia szkolne i wyżywienie. Mariusz założył również własną fundację – BetweenPicturesProject. Jego podopieczni fotografują świat, w którym żyją. Mariusz zapewnia im lekcje obsługi aparatu i sprzęt.

W jednej z wiosek sfotografował dzieci zbierające ze zroszonej deszczem drogi lśniące drobinki. W Ghanie chodzi się po złocie. Ale i ta historia ma ciemną stronę. Dzieci zatrudnia się do wysoce szkodliwej pracy przy oczyszczaniu złota.

Złoty interes

Mariusz: – Ghana to bogaty kraj. Złoto wydobywa się metodą odkrywkową, która nie wymaga wielkich nakładów finansowych. Ale rząd woli ▶

Z Afryki ludzi wypchnął neokolonializm. W Europie ocierają się o neoniewolnictwo.

Uwalnianie dzieci czasem się udaje. Organizacja Free The Slave przekonała „właściciela” chłopca, żeby go wypuścił. Setsofia trafił pod opiekę psychologa, poszedł do szkoły. Miał szczęście – dostał komplet przyborów szkolnych, książki, zeszyty, ołówki i kredki. Objęto go opieką zdrowotną. Zamieszkał z babcią. Marzy, by zostać nauczycielem.

– Nad jeziorem Wolta kwitnie handel dziećmi i niewolnictwo – opowiada Mariusz Śmiejek, fotograf z Belfastu, który jeździ do Ghany od trzech lat. – Nawet 20 tys. dzieci pracuje w rybołówstwie. Są sprzedawane za 25 euro. Nurkują, by rozplątać sieci. To ciężka, niebezpieczna praca, zdarza się wiele utonięć. Nikt

▶ oddać kopalnie w ręce zachodnich inwestorów. Umowy z nimi nie są jawne. Korupcja osiąga piramidalne rozmiary. W 2019 r. studenci prawa wyszli na ulice, gdyż unieważniono im wyniki egzaminów wstępnych. Zdało kilka procent – akurat tyle, ile ułatwia rządowi manipulowanie aparatem sprawiedliwości. Protestujących potraktowano armatkami wodnymi. Tak wygląda demokracja w Ghanie za rządów obecnego prezydenta. Tymczasem Nana Akufo-Addo właśnie został przez magazyn „Forbes” ogłoszony Człowiekiem Roku 2021 w Afryce.

Mariusz współpracuje z amerykańską prawniczką Melani Mennellą. Przygotowują dokument na temat wydobywania złota i handlu nielegalnym kruszcem. W rzemieślniczym wydobywaniu złota biorą udział zarówno kobiety, jak i dzieci. Raport będzie poświęcony pracy kobiet. Trafi do organizacji pozarządowych zajmujących się prawami człowieka i ochroną środowiska.

Ghana stała się obecnie największym producentem złota w Afryce. Ma tańszą siłę roboczą i łatwiejszy dostęp do kruszcu niż dotychczasowi lider – RPA. Właściciele południowoafrykańskich korporacji przenoszą swoje firmy do Afryki Zachodniej. „Rozumieją, co jest dla nas dobre”, komentują decyzje ghańskiego rządu o obniżeniu podatków korporacyjnych. Jedną z największych kopalń złota w Ghanie i na świecie, Ahafo, należy do



Kilkuletni chłopiec na łodzi swojego „właściciela”, jezioro Wolta, Ghana.

kilometrów kwadratowych. 10 tys. drobnych rolników straciło gospodarstwa, po tym jak w 2006 r. Newmont zajął 3 tys. ha ziemi na wydobywanie złota. Organizacje obrony praw człowieka oskarżyły Amerykanów o pozbawianie rdzennej ludności gruntów i zasobów wodnych w Brong Ahafo, regionie produkującym 30% żywności Ghany. Udział rolnictwa w PKB spada. W 2010 r. wynosił 28,04%, w zeszłym roku tylko 18,24% (Statista). Złoto przynosi 5,5% PKB. Rolnicy

było w przeszłości – jeszcze 20 lat temu ich uprawa zapewniała drobnym rolnikom przyzwoite dochody i bezpieczną egzystencję. Nie wytrzymała konkurencji z Europy. Import puszkowanych pomidorów wzrósł z 3,3 tys. ton w 1998 r. do 24,74 tys. ton w 2003 r., jak podaje Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO). To skok o 650%. Zubożali rolnicy z Ghany zaczęli porzucać swoje pola i migrować do Europy.

Al-Dżazira wyprodukowała kilka lat temu materiał „Ciemna strona włoskiego pomidora”, opowiadający o ghańskich rolnikach oraz migrantach pracujących na włoskich polach. W Ghanie zanika handel świeżymi warzywami. Konsumenci wolą tanie puszki z Włoch i Chin, którymi zapełniają się bazy. Odkąd w 2000 r. rząd Ghany obniżył cła na przetwory pomidorowe, ich import zabił lokalny rynek. Właściciele pól i poletek stracili środki do życia, w niektórych regionach spowodowało to falę samobójstw. Zamknięto przetwórnictwo, w które inwestowano od lat 70., zniknęły miejsca pracy w całym łańcuchu produkcyjnym. Aż 25 osób towarzyszy wędrowce pomidora z pola na talerz.

W 2013 r. padł rekord importu przetworów pomidorowych do 55 krajów Afryki – 622 tys. ton.

W Ghanie zanika handel świeżymi warzywami. Konsumenci wolą tanie puszki z Włoch i Chin.

amerykańskiego koncernu Newmont Goldcorp z Kolorado. Dysponuje rezerwami ok. 17 mln uncji.

Olbrzymią żyłę złota odkryto na linii państw Burkina Faso-Mali-Niger w Sahelu. Przy wydobywaniu zatrudnionych jest bezpośrednio 2 mln osób. Tylko że złoto przynosi dochód głównie z podatków nakładanych na międzynarodowe korporacje zajmujące się jego wydobywaniem. Dziesiątki milionów zwykłych ludzi nie mają z tego prawie nic. Rolnikom ubywa ziemi pod uprawę. Metoda odkrywkowa opiera się na przejęciu terenów liczonych w setkach

zażądali pomocy rządowej w zakupie nowych gruntów oraz egzekwowania prawa, które nakazuje międzynarodowym korporacjom wpłaty 3-7% dochodu na lokalne cele. Rząd odpowiedział umocnieniem pozycji zagranicznych inwestorów poprzez zapewnienie ich operacjom całkowitej tajności.

Ciemna strona pomidora

Kolejna ghańska żyła złota to uprawa pomidorów, nie ma bowiem takiego dania w narodowej kuchni, w którym nie byłoby *ntoosi*. Ale tak

Nigeria, czołowy importer kontynentu, w latach 2014-2019 zanotowała jednak spadek importu niemal o połowę, do 80 tys. ton, na co wpłynęła polityka rządu naceLOWANA na ratowanie rodzimych producentów żywności. Ghana, mając siedem razy mniej ludności niż Nigeria, w 2019 r. importowała 75 tys. ton przetworów pomidorowych. By wzmocnić rodzimą produkcję, ghańscy rolnicy i handlarze domagają się inwestycji w systemy irygacyjne, poprawy infrastruktury drogowej na wsi oraz dostępu do lepszych jakościowo nasion i tanich kredytów.

Według FAO Włochy zaczęły zalewać Afrykę swoimi przetworami w 2001 r., gdy Unia Europejska

drastycznie zaniżyła ceny na świeże warzywa, odkąd zamknięto lokalną przetwórnictwo. Mąż Benedicty pracuje we Włoszech. Nielegalnie, za 20-30 euro dziennie. Pieniędzy starcza na edukację dzieci oraz na trwającą od lat budowę małego domu. Benedicta nie widziała męża od dawna, rozmawia z nim tylko przez telefon. Kiedy spotyka przy drogach grupy mężczyzn z plecakami, wie, że wyruszają w daleką drogę – na północ, do Europy.

Koło się zamyka. W południowych Włoszech pracuje przy zbiorze warzyw nawet kilkaset tysięcy osób – głównie z Afryki. Otrzymują parę euro za 300-kilogramową palete, co daje im zarobek ok. 20 euro

sprzeciwić lub odejść – wyjaśnia Jakub Sobik, dyrektor ds. komunikacji w Modern Slavery and Human Rights Policy and Evidence Centre. – Może to dotyczyć ludzi pracujących za granicą, zmuszonych do zdobywania tam środków do życia dla siebie i swoich rodzin. Kiedy nie zna się języka czy lokalnego prawa, nie ma się do kogo zwrócić po pomoc albo jest się karany za pracę bez dokumentów, wtedy trudno odejść i szukać wsparcia, nawet jeśli warunki pracy są katastrofalne.

– Migrują głównie rolnicy z małych wiosek – uzupełnia Mariusz. – Żony i dzieci zostawiają w kraju. Idą najczęściej przez Libię, etapami. Nie znają trasy. Mogą trafić do Włoch lub gdzie indziej. Przemysłownikom płacą *mobile money* albo przez Western Union. Zdarza się, że są porzucani na Saharze, bo coś poszło nie tak. W Libii nikt się nie liczy z człowiekiem. Bojówki urządzają łapanki na ulicach, wymuszają okupy od rodzin. Średnia cena za uwolnienie migranta to 3-7 tys. dol. Wojsko i policja przysmykają na to oko albo współpracują z bojówkarzami. Ludzie są sprzedawani do niewolniczej pracy. Czasem mogą się wykupić. Czasem są puszczani wolno, ktoś się nad nimi lituje. Czasem uciekają. Unia o wszystkim wie, sponzoruje tę rzeź.

Od 2014 r. na Morzu Śródziemnym zginęło 22 825 osób. 16 listopada br. Lekarze bez Granic ze statku „Geo Barents” znaleźli u wybrzeży Libii drewnianą łódź, z której udało się uratować 99 osób; 10 pasażerów udusiło się na dolnym pokładzie. Wolontariusze oskarżyli władze europejskie o brak odzewu na wezwania o pomoc. W ciągu 24 godzin załoga „Geo Barentsa” wzięła udział w trzech akcjach, ratując 186 osób – z Gwinei, Nigerii, Wybrzeża Kości Słoniowej, Somalii i Syrii, w tym kilkoro dzieci, najmłodsze 10-miesięczne. – Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jakie tłumy przekraczają granice Afryki – mówi Mariusz. – Nie da się już ich powstrzymać, ani w Libii, ani w Europie.

Zuzanna Muszyńska

Korzystałam z książki Tima Marshalla *Potęga geografii, czyli jak będzie wyglądał w przyszłości nasz świat*, Zysk i S-ka, Poznań 2021, s. 277-319.



Ręka nastolatka naprawiającego maszyny do kruszenia skał w nielegalnej kopalni złota na północy Ghany. Dzieci w wieku 5-15 lat pracują za niewielkie sumy albo jedzenie i dach nad głową.

wprowadziła dopłaty w wysokości 45 euro do jednej tony eksportowanych warzyw. Dziś trzy na cztery puszki pomidorów na rynku afrykańskim pochodzą z Chin.

Benedicta, bohaterka reportażu stacji Deutsche Welle, ma około hektara pomidorowych upraw. Nawet w dobrym roku ledwo wiąże koniec z końcem. Przed nastaniem pory deszczowej codziennie kupuje wodę do podlewania, co czyni produkcję warzyw nieopłacalną. Do tego kobiety pracujące na targowiskach jako *tomato queens* dyktują

dziennie. Podczas pracy, głodni i spragnieni, żują podkradane z pola pomidory. Z Afryki wypchnął ich neokolonializm. W Europie ocierają się o neoniewolnictwo.

Unia wie

– Współczesne niewolnictwo zawiera w sobie wiele praktyk, w których osoby są kontrolowane i wykorzystywane w sytuacjach, z których nie mogą się uwolnić z powodu groźb czy przemocy lub innych okoliczności, które nie pozwalają im się

Jest bardzo ciekawie

Dyrygentura okazała się najbardziej naturalną formą ekspresji – łączy się z ruchem, grą ciałem oraz z pracą grupową

MARTA GARDOLIŃSKA

– dyrygentka i dyrektorka artystyczna Narodowej Opery Lotaryngii w Nancy we Francji



Rozmawia Joanna Orzechowska

Jest pani jedną z nielicznych dyrygentek. We Francji, jako jedna z trzech kobiet, stoi pani na czele narodowej opery. Odczuwa pani wyjątkowość swojej sytuacji?

– Nie do końca – bycie pierwszą, drugą czy trzecią kobietą w jakiegokolwiek strukturze nigdy nie było moim celem. Czuję się wyjątkowo, ponieważ dostałam możliwość pracy na stanowisku dyrektora muzycznego relatywnie wcześnie, w odpowiedniej chwili i w miejscu, w którym nie tylko mogę zmienić coś na lepsze, ale i sama się rozwijać. Praca

w operze w Lotaryngii pozwala mi zachować równowagę między wyzwaniem i pewnym *status quo*, w którym potrafię dobrze się odnaleźć. Mam też dużo swobody, jeśli chodzi o wybór repertuaru. Jest więc bardzo ciekawie.

Liczba dyrygentek na świecie wciąż nie jest znacząca. Czyżby w grę wchodziło patriarchalne nastawienie środowiska muzycznego?

– Odzwierciedla to stan naszego społeczeństwa, w którym kobiety na wysokich stanowiskach były i wciąż są rzadkością. Nie należy zapominać, że jeszcze sto lat temu kobiety praktycznie nie pracowały! Wszystko oczywiście się zmienia, również w domenie muzyki klasycznej, ale to

dość powolny proces. Nie wydaje mi się jednak, aby sytuacja w naszym środowisku była pod jakimiś względami wyjątkowa.

W operze Lotaryngii odpowiada pani za dyрекcję muzyczną, prowadzi pani jej orkiestrę i zobowiązała się pani przygotowywać dodatkowo dwie produkcje liryczne w sezonie. Jakże wydarzenia muzyczne chce pani wprowadzić do programu?

– Pracujemy nad programem na kilka najbliższych lat, nie mogę jednak ujawnić szczegółów, ponieważ tytuły będziemy ogłaszać co roku. Mamy w planach dzieła opery polskiej, poprowadzę także kilka produkcji z operowej klasyki. Zamierzamy również zamówić przynajmniej jedno zupełnie nowe dzieło, u współczesnego kompozytora.

Zaczęła pani interesować się muzyką podobno już w wieku sześciu lat, pod wpływem mamy.

– Zaczęłam w Polsce w sposób dość klasyczny – od szkoły muzycznej I stopnia w klasie fortepianu. Początki były ciekawe, ale z trudem znosiłam rutynowe ćwiczenia i egzaminy. Przerwałam więc edukację na dwa lata, ponieważ jednak muzyka wciąż mnie pociągała, zaczęłam uczyć się prywatnie gry na flecie poprzecznym. W końcu, pod wpływem mojej profesorki, powróciłam do szkoły muzycznej, ale nigdy nie widziałam się w roli profesjonalnego muzyka. Muzyka była dla mnie rodzajem hobby, decyzję poświęcenia się jej zawodowo podjęłam dopiero na trzecim roku studiów, w Wiedniu.

Z Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie przeniosła się pani do Wiednia, na Uniwersytet Muzyki i Sztuk Scenicznych. Dlaczego właśnie Wiedeń?

– Też przez przypadek: po prostu chciałam skorzystać z wymiany studenckiej Erasmus i wyjechać na pół roku czy rok z Polski. Złożyłam dokumenty do kilku uczelni w Niemczech, ale w międzyczasie znalazłam się na kursach mistrzowskich w Austrii, na których profesor z Wiednia zaproponował mi zajęcie. Tak się zaczęło. W odróżnieniu od wielu muzyków, dla mnie Wiedeń nie był nigdy mekką. Zamieszkałam jednak w tym mieście i na razie nie zamierzam się wyprowadzać. Do Francji po prostu dojeżdżam.

Studiowała tam pani również fizjologię muzyki. Skąd ten wybór?

– To był nowy kierunek, zaliczałam się do pierwszego rocznika studentów. Ponieważ zawsze interesowałam się sportem i problematyką zdrowia, po dyplomie z dyrygentury symfonicznej powiedziałam sobie, że warto byłoby poznać tajniki reakcji ciała w powiązaniu z muzyką. Sama byłam już wtedy po kilku kontuzjach i stwierdziłam, że powinienam dysponować środkami i wiedzą, które pozwolą mi przejść zdrowo przez moją karierę. Brałam także pod uwagę możliwość zmiany

W komunikacie o pani nominacji dyrektor generalny opery w Nancy napisał, że zachwycił się pani „różnorodnymi talentami oraz świetlistą energią typową dla młodej generacji europejskich artystów”. Dyryguje pani często za granicą, pracowała pani m.in. ze słynną orkiestrą Los Angeles Philharmonic. Czuje się pani obywatelką świata?

– W tej chwili czuję się już komfortowo w większości miejsc, w których się znajduję. Uzyskałam pewną łatwość odnajdywania się w nowych kulturach. Jako artystka jestem jednak bardzo związana z Polską,

wyznaczyłam. Bardzo ważne jest dla mnie programowanie polskich utworów – mam na myśli koncerty i sezony operowe. Staram się skupiać na utworach mniej znanych, rzadko wykonywanych w Polsce. Niestety, jest ich wciąż wiele.

W 2016 r. otrzymała pani tytuł Wybitnego Polaka w Austrii w kategorii kultury. Czy w kontekście międzynarodowej kariery występuje pani przed publicznością wciąż jako polska artystka?

– Tak i ta myśl zawsze mi towarzyszy, motywuje. Mój pierwotny plan przewidywał, że zaraz po studiach wrócę do Polski, aby dzielić się doświadczeniami. Ponieważ jednak moja kariera związana jest coraz bardziej z pracą za granicą, za każdym razem

Covid zmusił nas do wprowadzenia muzyki klasycznej do internetu.

zawodu – gdyby mi się nie udało, mogłabym profesjonalnie pomagać muzykom. Ale stało się inaczej, pomagam w tej chwili sama sobie.

Uprawiała pani intensywnie pływanie i lekkoatletykę. Sport daje dystans do rzeczywistości?

– Początkowo moje zainteresowanie sportem konkurowało z muzyką, w dodatku w szkole muzycznej niechętnie patrzono na tę pasję. Sport był dla mnie zawsze odskocznią, odrębnym światem. Obecnie stanowi integralną część mojego zawodu. Moim obowiązkiem jest pozostawać w dobrej kondycji fizycznej – choćby po to, aby nie skupiać się w czasie koncertu na ewentualnych słabościach czy kontuzjach. Dzięki sportowi utrzymuję się w formie, zarówno jeśli chodzi o ciało, jak i psychikę.

Jako muzyk specjalizuje się pani nie tylko w grze na flecie poprzecznym, ale również w śpiewie chóralnym. Dlaczego zdecydowała się pani na dyrygenturę? Była największą miłością?

– W każdym razie przyszła mi z największą łatwością – zawsze czułam się ograniczona przez część techniczną gry na instrumentach. Dyrygentura okazała się w moim przypadku najbardziej naturalną formą ekspresji – łączy się z ruchem, grą ciałem oraz pracą grupową. Pozwala też skupić się wyłącznie na muzyce, zapomnieć przez chwilę o publiczności. Najważniejsze staje się dzieło.

z moim wychowaniem. Wiedzieć z kolei odcisnął na mnie ślad pod względem muzycznym.

Wiedzieć zachwycił się panią praktycznie natychmiast.

Dyrygowała w nim pani dużymi i znanymi zespołami. Można powiedzieć, że Wiedzieć panią odkrył?

– Dał mi okazję, żeby się kształcić i stawiać pierwsze kroki – prowadziłam tam TU Orchester politechniki i Orkiestrę Akademicką, ważne, ale amatorskie orkiestry studenckie. Te doświadczenia pozostają dla mnie bardzo istotne, ale prawdziwa droga do zawodu i kariery otworzyła się dla mnie w Anglii, w Bournemouth, gdzie pracowałam w 2018 r. To tam zaczęłam być traktowana jako zawodowy dyrygent.

staram się podkreślać moje pochodzenie i polską wrażliwość. Kiedy tylko nadarzy się okazja, opowiadam o naszym kraju. Pragnę szerzyć wiedzę o tym, czym jest i jaką wspaniałość ma tradycję, kulturę i historię.

Pani paryskie początki, kiedy dyrygowała pani w 2020 r. Orkiestrą Kameralną w Théâtre du Châtelet, zbiegły się z pandemią. Jak covid zmienił świat muzyki?

– Trudno w tej chwili powiedzieć, czy odcisnął jakiś trwały ślad na świecie muzyki, ponieważ epidemia trwa. Ciągłe nie wiemy, czy spektakle się odbędą i w jakim terminie. Od strony technicznej stała się jednak dobra rzecz: wiele instytucji faktycznie wkroczyło w XXI w. w zakresie technologii. Covid zmusił nas do

Część muzyków i orkiestr postanowiła zmienić rytm i unikać ciągłych podróży, także ze względów ekologicznych.

W 2016 r. otrzymała pani nagrodę na konkursie im. Lutosławskiego w Białymstoku. Rok później współpracowała pani z maestro Tadeuszem Koźłowskim nad programem przypominającym skarby naszej muzyki, m.in. „Legendę Bałtyku” Nowowiejskiego i „Manru” Paderewskiego. Czuje się pani muzyczną patriotką?

– Jak najbardziej. Uważam, że moim obowiązkiem jest reprezentowanie polskich muzyków i polskiej muzyki – to jedno z zadań, które sobie

wprowadzenia muzyki klasycznej do internetu – być może dobrze, że tak się stało, być może należy używać narzędzi, którymi posługuje się cały świat. Sam początek pandemii to też moment refleksji: wielu artystów uświadomiło sobie wtedy, w jak szalony sposób działa nasza branża. Ile jest podróży, zajętych dat w kalendarzu, czasu spędzanego na lotniskach i w hotelach – to w pewnym stopniu zatrważające. Rośnie przekonanie, że takie zawrotne tempo nie jest kompatybilne z naszą sztuką, która wymaga

► harmonii. Dlatego część muzyków i orkiestr postanowiła zmienić rytm i unikać ciągłych podróży, także ze względów ekologicznych.

Dyrygowała pani w Nancy operą „Görge marzyciel” Zemlinskiego. Ta francuska prapremiera otworzyła przed panią wszystkie drzwi. Kariera nabrała rozpędu: poza stałym kontraktem w Nancy będzie pani

ugruntowywać pozycję. Nie jestem pod tym względem ewenementem. **W Lotaryngii przygotowuje pani koncert „Marzenie czy Los”. Tytuł można by odnieść do pani: czy kariera to spełnienie marzeń, czy w jakimś stopniu zadecydował o niej los?**

– Rzeczywiście w pewnym sensie zadecydował los – sama nigdy nie

bardzo ciekawych spotkań, czasami znajdowałam się też w odpowiednim miejscu w odpowiedniej chwili. Obecnie cieszę się z tego, co się dzieje, ale nie jest to sytuacja, w jakiej wyobrażałam sobie siebie wiele lat temu. Staram się więc nawigować i jak najlepiej odnajdywać w tym, co stało się moim udziałem.

Znajduje pani czas na prywatne kontakty z Polską? Mieszkają w niej pani bliscy.

– Większość mojej rodziny mieszka w Polsce, dlatego jest dla mnie bardzo ważne, żeby spędzać w kraju Boże Narodzenie i Wielkanoc. Ze względu na zobowiązania zawodowe z Wielkanocą może być teraz problem, ale będę się starała przyjeżdżać do kraju na święta oraz zimą i latem. Staram się poza tym być zawsze obecna, kiedy dzieją się ważne rzeczy w życiu bliskich mi osób – członków rodziny i przyjaciół, których mam wielu nad Wisłą. To daje mi moją prywatną, intymną równowagę.

Joanna Orzechowska

koncertować m.in. w Szwecji, Walii i Szkocji, Niemczech, Hiszpanii, Austrii. Jak udaje się pani podejmować tyle wyzwań?

– Takie są prawa naszego zawodu – jeśli przed kimś otwiera się możliwość robienia kariery, tak właśnie wygląda jego kalendarz. Mój jest i tak bardzo racjonalny w porównaniu z programami kolegów... Może za kilka lat będzie spokojniej, ale w tej chwili, ze względu na zainteresowanie moją osobą, w moim interesie leży dawać się poznać oraz

marzyłam o tym, żeby dyrygować najlepszymi orkiestrami na świecie. Motywacją pozostawało dla mnie zawsze to, żeby w danym momencie wykonać każde zadanie najlepiej, jak potrafię. Fakt, że moja kariera potoczyła się tak, a nie inaczej, zawdzięczam uporowi i szczęściu. Przez kilka lat po ukończeniu studiów nie było mi łatwo, ale zawsze starałam się przeć do przodu. Los mi zdecydowanie sprzyjał: od kiedy znalazłam się w Anglii, doszło do kilku szczęśliwych zbiegów okoliczności, do

PAWEŁ DOMAGAŁA
GOŚĆ SPECJALNY: KĘKĘ

14.02.2022
WARSZAWA KLUB STODOŁA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL
f @KLUB.STODOŁA i @KLUB.STODOŁA

KURTYNA W GÓRĘ

Rewizor wśród wampirów

Po podniesieniu kurtyny oczom widzów ukaże się grupa potworów. A przy mównicy peroruje ich szef Horodniczy. Właśnie dostał poufną wiadomość, że do ich miasteczka N. przybywa urzędnik ze stolicy na inspekcję. Kiedy miejscowi plotkarze Bobczyński i Dobczyński donoszą, że inspektor nie tyle przybędzie, ile już rezyduje w gospodzie, cała banda wpada w panikę.

Zaczyna się smakowicie – od razu wiadomo, co tu się święci, chociaż chwilowo wampiry postanawiają nieco się powściągnąć. Horodniczy (fenomenalna rola Henryka Niebudka) wychodzi z siebie, aby omotać przybysza, którym okazuje się wątyły młodzieniec, trochę wystraszony, ale kto wie, co się kryje pod takim sprytnym przebraniem. Aktorzy Teatru Dramatycznego świetnie się odnajdują w groteskowej konwencji spektaklu zderzonej z opowieścią o lekko- duchu, który, trafiając do krainy potworów, ku własnemu zaskoczeniu zdoła je poskromić i okpić. Obok Horodniczego króluje w spektaklu Małgorzata Rożniatowska jako jego żona. Zaskakującą postać kreśli Jakub Szyperski, aktor musicalowy, wykorzystujący swoje umiejętności wokalne i taneczne, aby wiotkiemu Chlestadkowowi dać rysy stopniowo dojrzewającego potwora w ciele nicponia improduktywa.



Nie dane mu jednak będzie dojrzeć jako wampirowi – w spektaklu Murawickiego, który kończy się inaczej niż u Gogola, umykający z miasteczka N. Chlestadkow zostanie zatrzymany przez tajne służby, doprowadzony przed oblicze potwornego areopagu i... Kiedy przybywa prawdziwy rewizor, miejscowe wampiry ociekają krwią.

Tomasz Miłkowski

Mikołaj Gogol, „Rewizor”, tłumaczenie Agnieszka Lubomira Piotrowska, reżyseria Jurij Murawicki, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 10 grudnia 2021

SERIAL

MIĘDZY OKŁADKAMI

Czas

reż. Lewis Arnold, HBO i HBO GO,
już dostępny

Nauczyciel, mąż i ojciec Mark Cobden (Sean Bean) zabił w wypadku mężczyznę. Przytłoczony poczuciem winy, z ulgą przyjmuje czteroletni wyrok więzienia. Ale nie wie, co go czeka w nowym, nieprzyjaznym miejscu, gdzie szybko będzie musiał się nauczyć sztuki przetrwania. Pracujący tu funkcjonariusz służby więziennej Eric McNally (Stephen Graham) stara się chronić osadzonych, ale okazuje się to trudne w zakładzie karnym, w którym napięcie między skazanymi sięga zenitu. Pewnego dnia jeden z najniebezpieczniejszych więźniów poznaje słaby punkt Erica... To trzymająca w napięciu historia o karze i zasadach.

(ag)



Weronika Gogola
Ufo nad Bratysławą
Czarne, Wołowiec 2021

Słowacja. Kojarzy się nam z Tatrami, nartami, czekoladą studencką, od niedawna z podróżami aborcyjnymi... no i z Czechami. W powszechnej opinii Słowacja to taka mniej znana część Czechosłowacji. Nie znamy za dobrze naszego południowego sąsiada, choć ze Słowakami dogadamy się bez problemu. Bliski jest nie tylko język. O niuansach, podobieństwach i różnicach zgrabnie opowiada w osobistej książce Weronika Gogola. To napisane z poczuciem humoru i wielką sympatią kompendium wiedzy o Słowacji. Autorka zabiera nas w szaloną podróż po kraju, w którym powstał musical o Janie Pawle II, gdzie organizuje się turniej kopania grobów dla zawodników z państw Grupy Wyszehradzkiej i skąd można po śmierci polecieć w kosmos. Reporterska wyprawa pozwala odkryć ten (nie)znany kraj i zrozumieć, że słowiańska egzotyka czai się tuż za rogiem, tudzież szczytem.

Rafał Piłkuła



Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Zrzucajmy ręczniki!

Z budżetu obywatelskiego w Warszawie zbudowano saunę na wodzie

Ewa Smolińska-Borecka

Ledwo co minęła siódma. W niedzielę na warszawskich ulicach pusto. Czy ktoś przyszedł o tej porze do sauny Wisła? Co innego godzina ósma, bo wtedy sauna jest za darmo. Godziny bezpłatne, a codziennie jest ich sześć, już w grudniu były zarezerwowane nawet na większość styczniowych dni. Warszawianie pokochali nowy przybytek zbudowany ze środków z budżetu obywatelskiego i oddany do użytku pod koniec listopada.

Port Czerniakowski to miejsce tajemnicze. Większość bywalców bulwarów nadwiślańskich zna tylko odcinek najbliższy nurtowi Wisły. Ukryty przed wzrokiem spacerowiczów i balangowiczów jest końcowy odcinek, rozszerzony niczym jezioro, z kołyszącymi się na wodzie domami. Tu właśnie zacumowano jedyną w kraju pływającą saunę. Dziś rano nie tylko ziemia, chodniki i ulice są śliskie, pomost prowadzący do sauny też. Wiktoria, saunowa recepcjonistka, tak śpieszyła się do pracy, że o mało nie zjechała po nim jak na sankach. Na dole na szczęście wpadła w ręce Olgi i Marii, które przyszły wcześniej, żeby nie uronić nawet minuty z optymalnego czasu.

Są tu po raz pierwszy. Właśnie w niedzielę postanowiły zrobić sobie babski poranek, dla zdrowia i poprawy humoru. Przed chwilą zakończyły sesję w saunie, rozgrzane i rozemocjonowane, zakręcone tylko w ręczniki, ale w wełnianych czapkach, wybiegły na chłód. A ich miejsce zajęła para młodych ludzi. – Czy my się nie znamy? – pyta Olga. No i proszę, oczywiście, że się znamy. Kto by pomyślał, że o tej porze spotkam tu znajomą. Obie saunowiczki dają się namówić na minisesję zdjęciową. A potem, rozciągnięte na fotelach podgrzewanych daleką podczerwienią (FIR), proszą, by im nie przeszkadzać, bo chcą bujać w obłokach do

chilloutowej muzyki. Czy przyjdą tu znów? Jasne!

90 stopni na wywiad

Wychodząc z domu, w ostatniej chwili wrzuciłam do torby dwa ręczniki, klapki oraz paszport covidowy, w saunie konieczny. Te przedmioty tak na wszelki wypadek, bo może akurat o ósmej zwolni się darmowe miejsce w saunie. No i się zwolniło! Nie jedno, ale sześć. Terminy nieodpłatne są rezerwowane w tempie błyskawicy, ale zdarza się, że ludzie nie przychodzą. Skoro nie tracą pieniędzy, szkoda im czasu na telefon. Recepcjoniści w dniu saunowania wydzwaniają więc do osób, które zarezerwowały termin.

Wiktoria sprawdza paszport covidowy i upewnia się, czy mam ręczniki, bo mogę je wypożyczyć za opłatą. – A to okno w saunie to oczywiście lustro weneckie – bardziej stwierdzam, niż pytam. Wiktoria zaprzecza. – Ale proszę się nie martwić, z brzegów nie można zajrzeć do wnętrza – uspokaja. Parę minut później owinięta w ręcznik wkraczam do sauny. Zerkam na temperaturę – 90 st. W środku Magda i Wojciech. Oboje przed trzydziestką. Są inżynierami. Można było się spodziewać, że w niedzielę o ósmej rano w saunie zastanę ludzi zdyscyplinowanych. – My i tak wstajemy wcześniej, bo budzi nas pies – wyjaśniają. Dla mnie to najdziwniejszy wywiad, bo, po pierwsze, w saunie, po drugie – bez bielizny, a po trzecie – z rozmówcami zakrytymi tylko co nieco. A w tej saunie nic się nie ukryje, skoro wnętrze rozświetlają promienie słońca.

Oboje są amatorami sauny. Większym Wojciech. On często odwiedza saunę przy siłowni i tak kończy trening. – Magda znalazła informację o tej saunie przez Instagram i zabukowała dla nas darmową godzinę – wyjaśnia Wojciech. – To był jedyny dostępny termin. Jesteśmy tu pierwszy raz.



Recepcjonistka Wiktoria twierdzi, że niektórzy wybierają sesję właśnie o siódmej, bo po siódmej jest wschód słońca i w ładne dni mogą obserwować, jak wstaje dzień. To trochę takie małe słoneczne szaleństwo, jakie ogarnia ludzi na Ibizie, tylko że tam, w San Antonio, balowicze zbierają się, by obserwować zachód. – Mnie sauna kojarzy się z sezonem jesienno-zimowym. Wtedy też chętnie korzystam z morsowania, bo sauna idzie z nim w parze – wyjaśnia Wojciech. Magda aż się wzdyga na słowo morsowanie. – Ja nie biorę udziału w takich kąpielach, bo jestem ciepłolubna – mówi. – Czasem jedynie towarzyszę mojemu chłopakowi, wspieram go. On miał nadzieję, że



Sauna stała się w pewnym sensie salonem towarzyskim.



Gdy chodzi o zdrowie, trzeba pokonywać wstyd. Europejskość polega też na tym, że oswajamy się z nagością.

dziś w Porcie Czerniakowskim będzie mógł sobie pomorsować, zamiast schładzać się pod prysznicem. Ale tu kąpiel jest zabroniona. Ja jestem zadowolona, że tu przyszliśmy. Dla mnie to frajda, że jednocześnie z terapią ciepłem można tu mieć fototerapię, bo w saunie jest okno.

Rozmawiają, ale zerkają ukradkiem na przymocowaną do ściany klepsydrę, która odmierza czas, żeby nie przesadzić z saunowaniem. Wojciech orzeka, że musi się ochłodzić. Magda

jeszcze nie czuje dyskomfortu. Kiedy minie bezpłatna godzina w saunie, oboje zdecydują, czy zapłacić 25 zł za godzinną sesję na podgrzewanych fotelach. Czytali, że mają regeneracyjne właściwości.

– Ta sauna to bardzo fajna inicjatywa – ocenia Magda. – Chodzi o to, żeby Warszawa zyskiwała nowe atrakcje, które przyciągałyby ludzi o podobnych zainteresowaniach. Sauna to fajne miejsce do spotkań z przyjaciółmi. Może w Porcie

Czerniakowskim powstaną również inne atrakcje, które będą przyciągać warszawiaków poza sezonem?

Magda mówi, jakby była warszawską radną. Ale też myśli w kategoriach kulturotwórczych: – Sauna pozwala przełamać tabu nagości. Zwykle w saunach jest półmrok, więc ludziom łatwiej przełamać wstyd z powodu braku odzieży, a tu wymaga to większej odwagi. To, co jest normalne w kulturach skandynawskich, u nas wciąż budzi emocje. Byliśmy w Kopenhadze. Zobaczyliśmy, że tam jest dużo takich miejsc na brzegach kanałów. Znajomi wspólnie wykupują pobyt w saunie, by razem spędzić czas. Bardzo nam się to spodobało. Byliśmy tylko trzy dni i nie udało nam się wtedy pójść do sauny.

Dziś jest ta wyczekiwana niedziela w saunie na wodzie. Nie w Kopenhadze, ale w Warszawie. Też fajnie.

Śnieg jest super

O dziewiątej z frekwencją jest gorzej niż o ósmej – nikt z zapisanych na darmowe saunowanie nie przyszedł. Nie czekam na kolejną godzinę. Postanawiam przyjść ponownie wieczorem, tym razem na godziny płatne. W Porcie Czerniakowskim pojawia się przed ósmą. To ten moment, kiedy jedni wychodzą z sauny, drudzy zaś szykują się do wejścia. Jest zimno, a Piotr stoi na pomoście bez kurtki. Przed chwilą wyszedł z sauny. – Temperatura ciała jeszcze jest podwyższona, więc nie czuję potrzeby, żeby się ubrać – wyjaśnia. – W saunie byłem tylko ja i miła para. Szkoda, że pani nie przyszła w połowie sesji, boby pani zobaczyła, jak nacieramy się śniegiem. Po południu trochę popadało, więc mogliśmy go zbierać z pomostu.

Piotr pracuje w branży architektonicznej. W saunach bywa od czasu do czasu. Dowiedział się, że jest taki nowy obiekt, dziś zadzwonił i zarezerwował miejsce. Na darmowe godziny nie próbował się dostać, bo podejrzewał, że są oblegane. – Uznałem, że 35 zł to nie jest wielki koszt – mówi z uśmiechem. – Poza tym sądziłem, że na darmowych godzinach będzie komplet, czyli osiem osób, a na płatnych zapewne mniej, więc będzie bardziej komfortowo. Kiedy jest więcej ludzi, ciągle ktoś wchodzi albo wychodzi, otwierają drzwi, a temperatura

► w saunie spada. Następnym razem wybiorę wcześniejszą godzinę, kiedy jest widno i można patrzeć na krajobraz za oknem.

Karolina i Andrzej byli w saunie razem z Piotrem. Podobnie jak on zamiast ochłody pod prysznicem wybrali nacieranie się śniegiem. Teraz wygrzewają się na fotelach. Liczą, że cudowne fotele pomogą zlikwidować ból mięśni i stawów po kontuzjach. – Dostałem te zabiegi jako prezent na imieniny. Od kogo? Od żony! – chwali się Andrzej i wskazuje Karolinę. A ona uśmiecha się i potwierdza

osoby! To także zasługa recepcjonistów, że sauna stała się w pewnym sensie salonem towarzyskim.

Paweł potwierdza to, czego byłam świadkiem, że ludziom nie chce się odwoływać rezerwacji bezpłatnych godzin. Inaczej jest z osobami, które rezerwują miejsce płatne. Ci muszą wnieść 20% lub 100% opłaty. Dlatego jeśli nie mogą przyjść, dzwonią. Tak jak w tym momencie dziewczyny, które utknęły na bulwarach wiślanych, bo nie sprawdziły, gdzie jest przycumowana sauna. Zdesperowane zadzwoniły do recepcji dopiero

– W większych obiektach z saunami są nawet lodowe groty. Byliśmy w takiej grocie nad Jeziorem Maltańskim, gdzie jest wielki kompleks saun.

– Nacieranie się śniegiem to rewelacja! Albo lód kruszony – też super! – emocjonuje się Andrzej.

Karolina opowiada, jak byli oboje pierwszy raz w saunie w Austrii. – Weszliśmy tam w tekstyliach, a wszyscy patrzyli na nas jak na kosmitów – śmieje się. – Tak nas zawstydzili, że natychmiast się rozebraliśmy. Od tego momentu zawsze wchodzimy do sauny jedynie okryci ręcznikami. W zależności od tego, kto z nami saunuje, albo zdejmujemy ręczniki i jesteśmy *sauté*, albo ich nie zrzucamy. Trzeba się dogadać z innymi osobami, których przecież nie znamy, czy akceptują nagość.

Dziś zarezerwowali dla siebie godzinę bezpłatnego saunowania, bo ktoś akurat odwołał. Za kilka dni będą tu ponownie. – W saunie byliśmy we troje i muszę przyznać, że nasz towarzysz wykazał się ogromną kulturą saunowania – mówi Karolina. – Co to jest ta kultura saunowania? W saunach przy basenach zdarza się, że ludzie przychodzą w kostiumach kąpielowych ze sztucznego tworzywa, nasiąkniętych chlorem, bo nawet nie chce im się splukać pod prysznicem, w rezultacie unosi się tam odór chloru. Kultura saunowania polega właśnie na tym, żeby tak się nie zachowywać. Poza tym składa się na nią cisza i nagość. U nas nie uczy się ludzi, jak mają zachowywać się w saunie. Tam człowiek powinien się relaksować, tymczasem niektórzy cały czas gadają, gadają, gadają, a inni

W saunie człowiek powinien się relaksować, a niektórzy cały czas gadają, inni muszą uczestniczyć w ich prywatnych rozmowach.

skinieniem głowy, że faktycznie wpadła na przewrotny pomysł, by robiąc prezent mężowi, przy okazji zrobić go sobie. – Zdrowa żona to skarb – chichocze.

Barka imprezowa

Andrzej w saunach bywa często, zwykle po praskiej stronie Wisły. Kiedy usłyszał o tej na wodzie, pomyślał, że warto tu przyjść. Teraz oboje leżą na fotelach i wpatrują się w wodę rozświetloną rzadkimi światłami. Jeśli ktoś ma życzenie, może u recepcjonisty zamówić ulubiony rodzaj muzyki, może też poprosić o zgaszenie lamp w strefie relaksu, żeby nie zakłócały widoku na port. Paweł i Arkadiusz, popołudniowi recepcjoniści, którzy zastąpili poranną Wiktorię, dbają o to, by goście byli zadowoleni. A na muzyce znają się jak mały kto, bo Paweł jest klawiszowcem po szkole muzycznej, Arkadiusz zaś był tancerzem hiphopowym, a teraz jest trenerem tańca i didżejem. Bywalcy nadwiślańskich bulwarów na pewno ich rozpoznają, bo w sezonie letnim są związani z barką Nowa Fala i barem MiamiWars. A także zdziwią się, że barka mieszcząca recepcję, szatnię i strefę relaksu jest im znana skądinąd. Nic dziwnego – to barka imprezowa, która w sezonie letnim rusza w rejsy po Wiśle. Po wyjściu z sauny można u recepcjonistów zamówić napój zimny lub gorący i chwilę z nimi pogawędzić. Kto by się spodziewał, że w recepcji spotka takie fajne

wtedy, kiedy ich godzina saunowania minęła. Liczyły, że może dostaną się na kolejną. Niestety, od ósmej do dziesiątej wieczorem sauna została zarezerwowana na wyłączność przez pięciu przystojniaków.

Właśnie wybiegają owinięci ręcznikami, w wełnianych czapkach. Sprawnie wdrapują się na górny pokład, gdzie nacierają się śniegiem i głośno śmieją. Na co dzień to poważni panowie pracujący w branży finansowej. Znają się od lat, mieszkają na Bielanach i na Białotęcie i od jakiegoś czasu robią sobie takie męskie wieczory w saunie jak ten dzisiejszy. Znają wiele saun w Warszawie i okolicy. Tu są po raz pierwszy i na pewno nie ostatni, bo możliwość chłodzenia się na pokładzie barki bardzo im się spodobała. A do tego ten widok na wodę!

Im mniej ręcznika, tym lepsze korzystanie z sauny.

Andrzej, który nadal z Karoliną wyleguje się na grzejącym fotelu, również ma związek z finansami – jest analitykiem bankowym, a żona pracuje w nieruchomościach. – Ale na niżkę przy zakupie proszę nie liczyć, bo ja sama jej nie mam – uprzedza Karolina. Oboje cieszą się, że w mieście pojawiają się nowe miejsca poświęcone zdrowiu. – Dobrze byłoby, żeby tu była jeszcze jakaś balia z wodą do schłodzenia się, a może też pryzma śniegu – rozmarza się Andrzej. A Karolina wspomina pobyt w Poznaniu:

muszą uczestniczyć w ich prywatnych rozmowach. To bardzo denerwujące. A kwestia nagości... U nas w społeczeństwie nie ma akceptacji dla nagości. Uważam jednak, że kiedy chodzi o zdrowie, trzeba pokonywać wstyd. Europejskość polega też na tym, że osuwamy się z nagością.

– Im mniej ręcznika, tym lepsze korzystanie z sauny – podsumowuje Andrzej.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dymgła

Lepkie, tłuste, ciężkie, pyliste, zionące spaliną – nąprędce staram się określić powietrze, którym oddycham w górskiej kotlinie, ale i w małopolskiej metropolii, i w najzamożniejszej mazowieckiej gminie – bez różnicy, zimą Polskę spowija smog. Jeszcze jeden punkt zapalny w tym rozpękniętym kraju, jeszcze jeden powód sporów, kolejny pretekst do wojny domowej między plemionami: jedni się duszą smrodem z kominów sąsiadzkich, drudzy wyzywają ich od histeryków, hipochondryków, a ostatecznie unijczyków polskiego pochodzenia. Roznamiętnieni zaprzeczając faktom korzystają teraz z noworocznego pakietu promocyjnego – walczą z plandemią i z ekologizmem, w obu przypadkach mężnie kończą na oiomach, wypływając resztki płuc.

Zstąpił Duch i wypląszczył oblicze tej Ziemi. Foliarze mają zawsze rację, zwłaszcza kiedy jej nie mają. Tacy np. rybniczanie lub jaworznianie już nie muszą nerwowo spoglądać na indeks jakości powietrza, bo im czujniki zlikwidowano wedle starej foliarskiej zasady: masz gorączkę, stłucz termometr. „To nie smog, to mgła”, mówi mi tubylec i każe bez grymasu uścić takse klimatyczną; „Jedno drugiego nie wyklucza”, odpowiadam i zaczynam się besserwissersko znęcać za tę dodatkową opłatę: „To anglicyzm łączący słowa *smoke* i *fog*, Kopaliński go próbował wprowadzić do polszczyzny jako dymgłę, ale się nie przyjęło, ciekawe czemu, jeśli taki np. samochód tyknęliśmy bez zapitki, chociaż sens miałby samojedź, no ale w staropolszczyźnie tak określano kanibali, więc niby nie wypadało, tylko czemu wobec tego wypada tak dziś nazywać ludy syberyjskie, czy tacy Nieńcy byliby zadowoleni, że w Europie są zwani ludożercami...”. „Długo umiesz pan tak p...lić?”. „No coś pan, to dopiero gra wstępna”.

Od koloru i konsystencji Anglicy nazywają smog także *pea soup*, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego Polakom na

co dzień tak dobrze z pyłem zawieszonym: wszak nasi rodacy kochają żołnierską grochówkę – swojskie danie na wędzonce, żelazny punkt polowej gastronomii, *evergreen* festynów i jarmarków. Wuj Zławca przy świątecznym stole uderza w tony historyczne: „Dawniej nikt tego nie mierzył i jakoś się żyło. Wojtuś, powiedz, jak to jest, pół życia spędziłeś w Chorzowie, za dziecka wdychałeś całą tablicę Mendelejewa na podwórku wciśniętym między stalownię i zakłady koksochemiczne, według tych mądrali dawno już powinienes nie żyć, a jakoś wciąż po górach biegasz, dzieci ci się rodzą normalne i zdrowe...”.

Wuj umie w erystykę, zamiast się z nim spierać, wspominam coroczne powroty z wakacji w Tatrach, kiedy przed granicami miasta ojciec uchylał szybę fiacika i pytał: „Poznajesz?”, a mnie spowijał ojczysty koktajl wyziewów górniczo-hutniczych. Co tam wilgoć świerczyny tatrańskiej, zapachy z mchu i paproci, ileż można mieszkać

w tęźni, ja miałem inne magdalenki: sadzę, tlenek siarki, azotu i węgla; Wuj wie, jak uderzyć w czułe struny. Pojmuję więc dopłatę klimatyczną za kaniukę zdrojową w sezonie grzewczym jako nostalgiczny pakiet premium – duszące opary w podgórskich kurortach poprzez nozdrza budzą w magazynach pamięci dawno nieodkurzane wspomnienia, człowiek gotów zaciągać się tym smrodem aż do śmierci i na marach błogo wymamrotać niczym obywatel Kane: „Rosebud...”.

W naszym państwie nie tylko powietrze dusi, życzę zatem wszystkim czytelnikom, żeby w nowym roku zdolali choć raz odetchnąć pełną piersią. Życzę też ogromu ziszczeń na tle ogromu zniszczeń dokonywanego przez kaczym. A najbardziej życzę sobie i nam wszystkim, by się wreszcie ziścił upadek tego rządu miernot i kanalii, trujących Polskę niczym polityczny *killer fog*.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

W naszym państwie nie tylko powietrze dusi, życzę zatem czytelnikom, żeby w nowym roku zdolali choć raz odetchnąć pełną piersią.



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn



Australia w ogniu

Wszyscy ludzie żyjący obecnie na Ziemi doświadczą w przyszłości negatywnych skutków zmian klimatu

Rozmawia Mateusz Demski

Jak to się stało, że trafiłeś do Australii?

– Przywiodła mnie tam praca. Jestem biologiem ewolucyjnym. Kilka lat temu dostałem projekt od Australijskiej Rady Badań Naukowych. Badania dotyczą tego, jak organizmy reagują na zmiany środowiska – i jak te reakcje zmieniają się z wiekiem. Na przykład czy i w jakim stopniu zwierzęta mogą przesunąć swoją tolerancję temperatury. Albo jak globalne ocieplenie wpływa na stan koralowców i ich podatność na zakażenia. Niestety, to, co się stało przez ostatnie dwa lata na świecie, a zwłaszcza w Australii, utrudniło te badania.

Zaczęło się od pożarów na przełomie 2019 i 2020 r. Chwilę potem Australię i resztę globu dotknął koronawirus. Twoja książka to zapis tego doświadczenia.

– Nikt po pożarach nie spodziewał się, że świat nagle się zatrzyma. Gdyby kilka miesięcy wcześniej ktoś chciał mnie przekonać, że ruch lotniczy niemal ustanie, nie uwierzyłbym. Moja praca zawsze wiązała się z podróżami. W ostatnich latach mieszkałem w Szwajcarii, Szwecji, Kostaryce, łączyłem to z obowiązkami w Polsce. Pandemia sprawiła, że zostałem odcięty od świata. Australia – poza krótkimi przerwami – była w niekończących się lockdownach. Na wylot trzeba było mieć zgodę rządu. To był niełatwy czas. Tym bardziej że wcześniej wpadłem w sam środek niszczycielskiego sezonu pożarów.

Pamiętasz, jak to się zaczęło?

– Sezon pożarowy trwał prawie sześć miesięcy. Na przełomie września i października 2019 r. przyszedł upał i wiatr, ostatnie ogniska pożarów dogasały w lutym kolejnego roku. Przez cały ten okres byłem w Australii, widziałem tę katastrofę. Każdy dzień wydawał się szokujący. Powietrze w Sydney wrzało od upału. Temperatura w cieniu przekraczała 45 st. Niebo spowijała zasłona dymu, słońce było krwistoczerwone. Na zdjęciach satelitarnych sytuacja wyglądała upiornie – monstrualna smuga dymu wyrastająca z Australii ciągnęła się przez ćwierć obwodu planety. Dym dotarł aż do Antarktydy.

Czy rząd mógł to przewidzieć?

– Kategorycznie zważyć całej winy na rząd się nie da. Pamiętajmy, że katastrofa klimatyczna to problem o skali planetarnej. Australia ma o tyle pecha, że przez swoje położenie geograficzne ogrzewa się szybciej. Dla porównania: jeśli temperatura od czasów przedindustrialnych wzrosła globalnie o 1 st. C,

Szymon Drobnik – ur. w 1984 r., pracował na uniwersytetach w Zurychu, Uppsali i w Sydney. Zajmuje się ewolucją ptaków, plastycznością organizmów w odpowiedzi na zmiany klimatu oraz biologicznym znaczeniem koloru i widzenia barwnego. W książce „Czarne lato. Australia płonie” opisuje tragiczny sezon pożarów.

SZYMON DROBNIK

– biolog ewolucyjny,
projektant graficzny,
poeta



w Australii podniosła się o ponad 2 st. To znaczy, że Australia już jest tam, gdzie cała reszta świata według porozumienia paryskiego nigdy nie powinna się znaleźć. Czy dało się to przewidzieć? I tak, i nie. Faktycznie, już w połowie 2018 r. naukowcy wskazywali, że sytuacja jest dramatyczna, że kraj zmierza do kataklizmu, na który służby nie są gotowe. Z drugiej strony pożary były kulminacją procesu znacznie od nas i naszej intuicji większego. Nie dało się więc temu zapobiec, można było tylko minimalizować zagrożenie, co do jakiegoś stopnia się udało. Strażacy każdego roku prowadzą w Australii kontrolowane wypalania buszu – usuwają suchą roślinność i przerywają ścieżki rozprzestrzeniania się potencjalnego pożaru. Gdyby nie te działania, skala zniszczeń byłaby jeszcze większa.

Powołujesz się na dane, które mówią o 3 mld zabitych zwierząt. To przekracza ludzką skalę.

– Nawet dla mnie jako biologa to niewyobrażalne. Rocznie przez moje ręce podczas badań przechodzi jakieś 2 tys. ptaków, które muszę zmierzyć i zaobrączkować. 3 mld to... półtora miliona razy więcej. Te liczby mają też głęboki symboliczny sens. To tak, jakby połowa ludzkiej populacji została strawiona przez ogień. Wyliczenia nie uwzględniają bezkręgowców. W pożarach zginęło pewnie o dwa albo trzy rzędy wielkości więcej owadów. Problem w tym, że „twarzami” pożarów stały się gatunki, które mają status ikonicznych. W mediach przebiegały się koale – zbierane ze skrajów lasów, opatrywane przez ludzi. Niestety, mało się mówi na co dzień o roli, jaką odgrywają nawet te najmniejsze zwierzęta, takie jak owady – że są fundamentem zdrowego, dobrze funkcjonującego leśnego ekosystemu.

Co ten mroczny rejestr strat w praktyce oznacza?

– Mimo że jestem biologiem, to przede wszystkim uważam się za humanistę, więc jest to dla mnie także pewnego rodzaju osobista strata. Każde zwierzę to indywidualne życie, które musiało doświadczyć stresu i cierpienia, zanim zostało uduszone dymem, śmiertelnie poparzone. Natomiast jeśli spojrzeć wyłącznie przez pryzmat katastrofy ekologicznej, to zaczniemy od tego, że kilkaset gatunków, o które dotąd nie musieliśmy się

martwić, po pożarach trafiło na listę krytycznie zagrożonych lub otarło się o zagładę. Siedliska tych zwierząt spłonęły doszczętnie. To unikatowe ekosystemy, których w żadnej innej części świata nie ma. W niedalekiej przyszłości możemy bezpowrotnie stracić kilkaset gatunków.

Zajmujesz się też badaniem koralowców. Globalne ocieplenie to nie tylko pożary, ale również wzrost temperatur w morzach i oceanach.

– Pod wodą trwa pożar równie dramatyczny, a może nawet bardziej niszczący niż ten na lądzie. Problem polega na tym, że ta tragedia dzieje się po cichu. Kiedy płonęły bogate lasy, było jasne, że mamy do czynienia z katastrofą. Wielka Rafa Koralowa staje się trupio biała i umiera. Dla człowieka rafy koralowe i życie oceaniczne zawsze były „gdzieś tam”. Nie jest to nasze środowisko, więc łatwo zepchnąć je na mentalny margines. A koralowce mają takie samo znaczenie dla naszej planety i ekosystemów wodnych jak lasy równikowe dla ekosystemów lądowych. Nie mówiąc o tym, że za znikającymi rafami i podnoszącą się w zastraszającym tempie

Australia ma o tyle pecha, że przez swoje położenie geograficzne ogrzewa się szybciej.

temperaturą oceanów idzie załamanie lokalnej turystyki, połowów, tradycyjnej gospodarki morskiej.

Są jeszcze inne, może bardziej dla nas zrozumiałe tragedie – rodzin, które uciekały przed ogniem z własnych domów i straciły niemalże wszystko, co zgromadziły w życiu.

– To prawda. Ta książka z początku miała być zapisem moich obserwacji – naukowca, który wie i dostrzega z reguły trochę więcej. Szybko jednak przekonałem się, że obserwacje ekologiczne muszą ustąpić opowieściom innych ludzi. Jednym z podstawowych problemów w rozmowie o zmianach klimatycznych jest to, że są one przedstawiane jako zjawiska o skali planetarnej, wręcz kosmicznej. W debatach publicznych pojawiają się abstrakcyjne miliony euro, miliony ton dwutlenku węgla. Natomiast za każdym razem trzeba pamiętać, że stoją za tym również dramaty i straty ludzi. To może dotyczyć Australijki, której spłonął dom. Albo Filipinki

żyjącej na wyspie, którą zniszczył tajfun. Inna sprawa, że najprawdopodobniej kiedyś stanie się to udziałem każdego z nas. Nie ma wśród obecnie żyjących na Ziemi ludzi takiego, który nie doświadczy w przyszłości negatywnych skutków zmian klimatu.

Ilu Australijczyków ucierpiało w tamtych pożarach?

– Od początku „czarnego lata” zginęły 33 osoby. Pod wpływem jednego sezonu pożarowego do migracji wewnętrznej zmuszonych zostało 25 tys. osób. Wiele z nich żyło w miejscach, które nigdy wcześniej nie były zagrożone ogniem. Nikt nie myślał, że zostanie wypędzony z własnego domu, dlatego ludzie na nową rzeczywistość zareagowali różnie. Niedowierzaniem. Strachem. Zamiarem przeczekania. Albo ucieczką.

Jakie były reakcje rządu?

– Od połowy lat 90. polityka Australii jest naznaczona klimatycznym denializmem. W 2019 r., tuż przed pożarami, znów wygrała prawicowa koalicja, tym razem pod przewodnictwem Scotta Morrisona – klimatycznego niedowiarka, sceptyka. W samym środku kryzysu uciekł on

na wakacje na Hawaje. Po powrocie do kraju uparcie negował związek pożarów z globalnym ociepleniem. Nie mówiąc o tym, że groził legislacją zakazującą młodzieżowego aktywizmu klimatycznego. Po pożarach ludzie spodziewali się akcji pomocowych i stanowczych działań. Australia wciąż jednak nie poczyniła kroków w stronę sensownej legislacji skoncentrowanej na ochronie unikatowych zasobów przyrodniczych. Ludzie, którzy ucierpieli, w dużej części nie doczekali się wypłaty odszkodowań od ubezpieczycieli. Zaledwie w ciągu miesiąca po końcu pożarów zaczęła się pandemia i wszystko utknęło w martwym punkcie.

Australijskie pożary to element szerszej dyskusji o klimacie. Dlaczego Ziemia się ociepla?

– Ociepla się przez emisję gazów cieplarnianych. Inaczej tego wyjaśnić się nie da, koniec kropka. Ten mechanizm jest dość prosty: gazy, które produkujemy, zatrzymują

► w atmosferze ciepła, które dociera do nas ze Słońca, i nie pozwalają mu wrócić w przestrzeń kosmiczną. Tu i ówdzie podnosiły się w ostatnich latach głosy klimatycznych denialistów, że globalne ocieplenie jest oszustwem, że nie można ocieplić planety w taki sposób i że jako ludzie nie jesteśmy za to odpowiedzialni. Na szczęście podejście do tematu się zmienia. Widać to choćby po raportach Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC). Jeszcze kilkanaście czy kilka lat temu pojawiały się wobec nich głosy sceptyczne, nawet w środowisku naukowym. Dzisiaj ponad 99% naukowców nie ma już wątpliwości, że za zmiany klimatu odpowiadamy my sami.

Skoro sami ludzie są sobie i temu wszystkiemu winni, to czy mogą jakiś to naprawić?

– Jedynym sposobem jest zażalenie wzrostu emisji gazów cieplarnianych i osiągnięcie do 2050 r. zerowych emisji w ujęciu netto w skali planety. To pozwoli zatrzymać podnoszenie się temperatury na Ziemi do poziomu określonego

w porozumieniu paryskim. Żeby to zrobić, potrzebne jest działanie na poziomie rządów krajowych. Podejmowane przez nas na co dzień decyzje konsumenckie również mają znaczenie. Wiem, że to brzmi bardzo romantycznie – że możemy zmienić świat, gasząc światło i oszczędzając wodę. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że działania oddolne mają znaczenie nie tylko praktyczne, ale też dydaktyczne – narzucają pewne odruchy kolejnym pokoleniom. Ale będą one miały sens jedynie wtedy, gdy pojawią się konkretne legislacje, które narzucą krajom limity emisji.

Jakie to limity?

– Pamiętajmy, że zerowa emisja netto gazów nie oznacza pełnej dekarbonizacji. Żaden kraj nie jest w stanie zrezygnować z wypuszczenia nawet najmniejszych cząstek dwutlenku węgla do atmosfery. To nierealne, nie teraz. Tak naprawdę chodzi o to, żeby każdy kraj obciął emisję, jak tylko się da. I muszą to być bolesne cięcia. To, czego nie da się „uciąć” redukcjami emisji, należy rekompensować działaniami niwelującymi emisję dwutlenku

węgla. Bez tego możemy zapomnieć o ratunku dla planety.

A czy dla nas nie jest już za późno?

– Biologom czy ekologom trudno się oprzeć pokusie klimatycznego pesymizmu. Wielu moich kolegów nie widzi planu ratunkowego, ale ja chcę wierzyć, że takie wstrząsy jak pożary w Australii realnie zmieniają ludzimi perspektywę. Przypomnijmy sobie szczyt klimatyczny w Paryżu. Mało kto wtedy wierzył, że państwa będą w stanie się porozumieć. Za chwilę podniesie się głos, że jeszcze żaden kraj nie wprowadził cię emisji, które mogłyby kryzysowi klimatycznemu sprostać. Ale jeden kraj jest na dobrej drodze, to Gambia. Natomiast bez porozumienia paryskiego w ogóle nie byłoby ducha współpracy. Większość krajów rozwiniętych zrewidowała swoje cele. Komisja Europejska chce, aby do 2050 r. Europa stała się neutralna klimatycznie. Mój optymizm podpowiada mi, że zmiana nadejdzie. Poza tym co innego nam pozostaje? Teraz optymizm to jedyna recepta na uratowanie naszego domu.

Mateusz Demski



Brysia swoimi wielkimi oczyma wpatruje się w obiektyw. Jakby tam, w tym obiektywie, który trzymam w dłoniach, był ratunek dla niej i jej świata. Bo jej świat dostał wyrok. Choć mogłoby niektórym powiedzieć, że nie ma już co ratować. Bo Brysia jest nie tylko stara, ale również powyrzywana bardziej, niż mógłbyś uwierzyć. Nie musisz jednak wierzyć. Możesz być naoczny świadkiem. Możesz poznać Brysiowy świat. I spojrzeć w jej wielkie oczy.

Brysia ma historię inną niż wiele koni, które stanęły na krawędzi. Bo Brysia nie była niechciana, a chociaż się zużyła, do samego końca dawano jej dach nad głową i pełen żłób. Jednak życie pisze różne scenariusze. Dla Brysi los przewidział zakończenie, które bezceremonialnie dopisuje 30 000 koni rocznie.

Brysia miała wspaniały dom. Oj, mało koni tak ma. Nie to, że bogaty. Tam, gdzie się budziła i zasypiała nie było nigdy bogato. Ale było jakoś. Chalupina, obórka, kawał pola, wiatr w grzywie i ziemia pod kopytami. I była kochana. Tam się

urodziła i tam przeżyła całe swoje życie. Pierwsze galopy, śnieżne zimy, których my już nie pamiętamy, i gorące lata, które nachodzą Polskę od kilku lat. Miała Brysia swój cień drzew, miała zieleni traw i szum drzew w pobliskich lasach, których ścieżki wydeptała ciągnąc wóz z gałęziami i drewnem ze swoim Panem pogwizdującym zasłyszane melodie.

Mijały dni, miesiące, lata. Jej skronie zrobiły się srebrne. Jej kręgosłup nieco się zapadł. Gdy choroba zniekształciła jej nogi, nikt się jej nie pozbawił, nikt nie wgnolił po trapię. Mimo, iż skup koni był tuż u sąsiada za miedzą. I Brysia, z za swego drewnianego plotu, całe dnie obserwowała dziesiątki koni ładowanych przy batach szwiszczących w powietrzu i okrzykach gospodarzy. Miała więcej szczęścia. Jej gospodarz chciał, by Brysia dożyła swych dni w swojej obórce, miejscu gdzie przeżyła wszystko co dane jej było tu przeżyć. Tak jej przecież obiecał.

Jednak los zadrwił z Brysi, zadrwił też z jej leciwego Pana. Staruszek zachorował ciężko, a niedawno choroba przyszła także po jego żonę. I życie Brysi coraz bardziej zawiązało na włosku. Rak nie daje jednak zbyt wielu wyborów.

Co prawda Brysi nikt nadal się nie pozbawił, ale starsze małżeństwo zaczęło szukać swej końskiej babci lepszego miejsca. Być może Cię, zaskoczę, ale kalekiej, starej klaczy, klaczy o wielkich oczach, nikt nie chciał.

Pewnego dnia skończyło się wszystko, bajka przysła. Skończyła się nadzieja. Skończyło się zdrowie. I siły też. Decyzja zapadła długo. Aż zapadła. Nikt już nie miał siły wstać, pieniądze brakowało na podstawowe potrzeby. Ze łzami w oczach gospodarz wyprowadził tamtego poranka swoją Brysię. Weszła powoli po trapię pokornie, pełna ufności. Skąd mogła wiedzieć. Nie mogła wiedzieć tych lez.

Minał dzień. Może dwa. Może tydzień. Spotykamy się z Brysią u handlarza. Sam zadzwonił. Nie to, że konia mu żal. Żal gospodarza. Oczywiście obiecał staruszkowi, że da klaczy dożywocie, choć nigdy nie zamierzał tego robić.

Gdy sumienie zaczęło go pożerać, zadzwonił do nas. Opowiedział historię starej Brysi. Obiecał zaccękać chwilę, aż zbierzemy pieniądze.

Tak to bywa w świecie starych ludzi i ich starych koni. Pewnego dnia po prostu nie ma się na nic wpływu. Pewnego dnia stare konie opuszczają swoje gospodarstwa, jedne niechciane, inne ukochane. Gdybyśmy tylko mogli, pomogliśmy Brysi dożyć ostatnich dni wśród ludzi, którzy kochali ją najbardziej na świecie. Ale nie mamy takiej mocy.

Możemy jednak ocalić choć skrawek jej świata. Może Brysia, nim odejdzie, znajdzie leśne dróżki u nas.. może nim odejdzie, wygrzeje się w słońcu i naskubie się jeszcze soczystej trawy. Może, gdy nas odwiedzisz, zobaczysz ją leżącą latem w cieniu ogromnego dębu, gdzie będą przemijać jej kolejne dni. A potem, gdy będzie mijać Tęczowy Most, będzie mogła być dowodem na to, że los zależy od nas, że jednak mamy wpływ. Bo jednak stara Brysia mogła zamknąć swoje wielkie oczy wśród wielu ocalałych. I wśród tych, którzy ją pokochali.

Zostało niewiele czasu, aby ocalić staruszkę. Musimy zebrać 7800 zł, aby opłacić jej wykup i transport. Mamy zaledwie kilka dni, by odmienić jej los. Dołączysz? Liczy się każdy, najmniejszy gest.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem BRYZIA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści BRYZIA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze! Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rklm>



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Z ręk do ręk

Wymiana jedzenia, rzeczy, prezentów, ale także pomysłów, przysług i idei zawsze jest również wymianą symboliczną i ma znaczenie – nazwijmy to – obrzędowe. Wyobraźmy sobie sytuację, w której – w mechaniczny sposób – każdy podarek rodzi podarek, a każda pomoc skutkuje przekazaniem tego impulsu dalej. Motywowanie pozytywne w wychowaniu daje lepsze efekty niż karanie i dotyczy to też zachowań społecznych. Naukowcy zauważyli, że zachowania agresywne przejawiamy rzadziej w kontekstach i przestrzeniach przyjaznych. A zaufanie buduje się, obdarzając zaufaniem. Różnorakie wymiany są oczywiście cechą współżycia społecznego, budują relacje wspólnotowe i – jako elementy kultury – są dla nas przezroczyste.

Źle jest jednak, kiedy te „obroty rzeczy” (włączamy w to wartości, idee czy dobra intelektualne) pracują jedynie w obszarze rodziny, która jest zasadniczo rozszerzeniem „ja” (rzeczy, które robimy dla rodziny, robimy dla siebie). To, co robimy dla rodziny, robimy dla przyjaciół, znajomych, sąsiadów. A może, z czasem, także dla nieznajomych. Tym bardziej że pojęcie rodzina bywa w Polsce opresyjne, zwyczajowo używane zakłada bowiem naturalizację modelu „tradycyjnego”, czyli katolickiego, patriarchalnego, opartego na związku partnerów heteroseksualnych posiadających chociaż jedno dziecko. W języku naturalizacja tego modelu ujawnia się, kiedy np. na rodzinie matka plus dziecko mówimy „rodzina niepełna”. To określenie chyba niezbyt dobrze spełnia funkcję poręcznego eufemizmu, jest piętnujące, przecież „niepełna” w domyśle znaczy „wybrakowana”. Kiedy zatem całą naszą altruistyczną energię przeznaczamy na opiekę nad rodziną, kierujemy ją dośrodkowo, a jeśli rodzinę traktujemy dodatkowo opozycyjnie wobec społeczeństwa czy świata, zaczynamy się izolować, coraz rzadziej wpuszczamy do siebie (i do domu, i do środka własnego zestawu poglądów), coraz trudniej nam się rozszczelnić. Wkrótce także mniej chętnie dzielimy się i jedzeniem, i wiedzą.

Potem pojawia się mechanizm projekcji, polegający na przypisywaniu innym własnych niepożądanych uczuć czy poglądów. Teraz to ONI nie chcą się dzielić ani w ogóle – zrobić cokolwiek dla nas. Na pewno kryją przed nami swoje wspaniałe bibliografie, kluczowe teksty, dramaty, w których zapisano, jak przezwyciężyć kryzys klimatyczny, kapitalizm, biedę, nierówności, rząd, lenistwo, próchnicę.

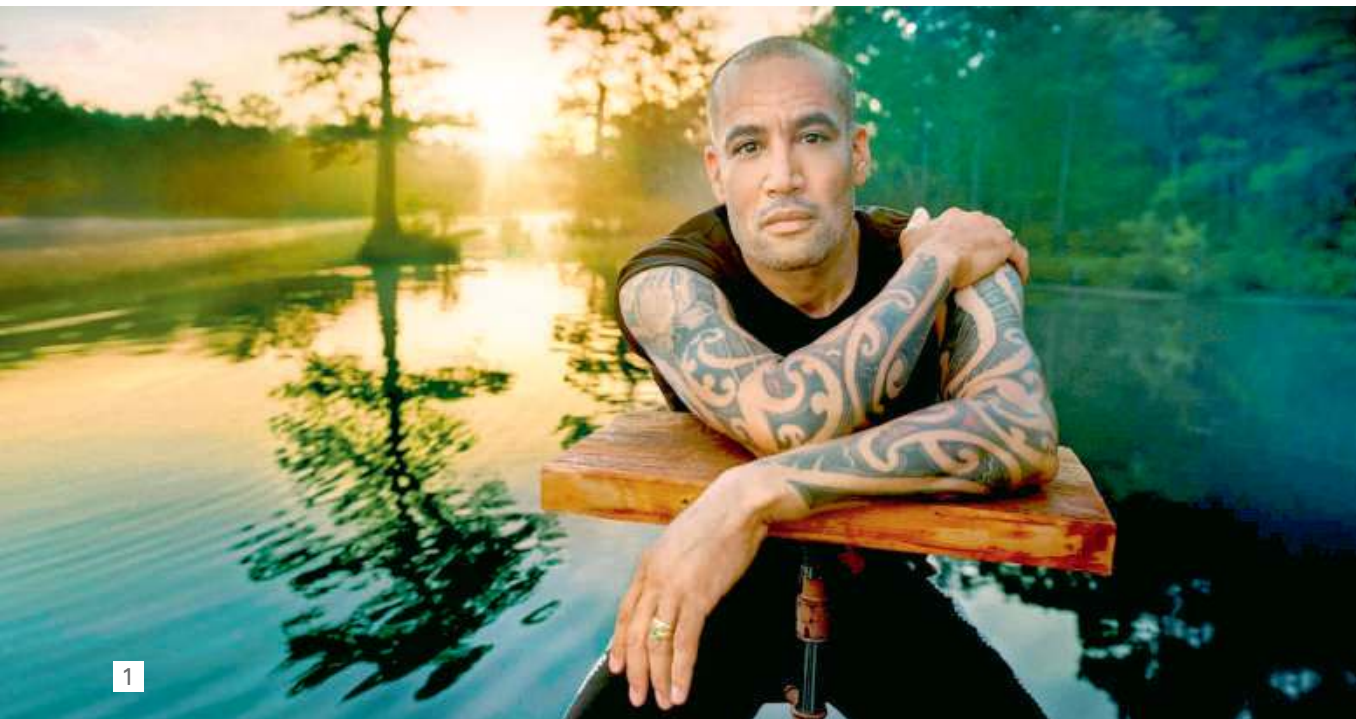
Pewnie ukrywają te najlepsze wiersze, żeby je wycytować na tych bajecznych imprezach, na których nigdy się nie spotkamy. Na pewno mają patent, „lajfhak” na doskonałe lekarstwo, syrop przeciwsmogowy, maseczkę szczęścia. I wreszcie te lęki urealniają się jakoś: patrzymy na nich wilkiem, to oni też na nas typią. I przestają dzwonić, przechodzić, na ulicy odwracają się, przechodzą na drugą stronę. Tak przepowiednia się spełnia. Teraz możemy śmiało powiedzieć: ludzie są źli. Nie ma w nich ciepła ani serdeczności. Wyrzucmy ich z naszej głowy, z naszego mieszkania, ulicy.

Tak się kończy gościnność – dobra, bo polska. A zaczyna redukcja rzeczywistości: do własnego folwarku, firmy, piętra – a na końcu – rodziny. Wycofujemy się. Sfera prywatna jest bezpieczna: kłótnia z samym sobą nie skończy się przecież odebraniem sobie poczucia

Od nowego roku, zamiast znów rzucać palenie i brać się do sportu – rozpocznijmy wymianę Kula – tak jak to robią plemiona z Nowej Gwinei.

przynależności, degradacją, wyrzuceniem z pracy. „Bycie dobrym dla rodziny” jako przykład altruizmu i dobrotwórczej wymiany społecznej to wadliwe „ustawienie standardowe”, które nas raczej usypia, daje alibi, pozwala myśleć o sobie dobrze, nawet kiedy jesteśmy egoiści, autozwrotni, zapatrzeni w siebie. Dlatego od nowego roku, zamiast znów rzucać palenie i brać się ostro do sportu – rozpocznijmy wymianę Kula – tak jak to robią plemiona z Nowej Gwinei.

Okrężna wymiana przedmiotów nie tylko podtrzymuje komunikację, ale również zapewnia stałe relacje społeczne. Dlatego przechodzące z ręk do ręk przedmioty mają znaczenie symboliczne i są podstawą takich społecznych wartości jak szacunek, empatia, serdeczność. Nasze puszczane w obieg dary mogłyby przyczynić się do zawierania sojuszy i w razie czego – pomóc nam przetrwać trudniejsze czasy. Dobrze by było jednoczyć się wokół wspólnych spraw i idei, a także solidaryzować się z tymi, którym się nie powiodło. Niech w wymianie uczestniczą teksty, książki, idee, nie tylko porcje świątecznego ciasta, które zresztą też będą niczego sobie i które wszyscy lubimy, zwłaszcza w taki zimny dzień jak dziś.



1



2

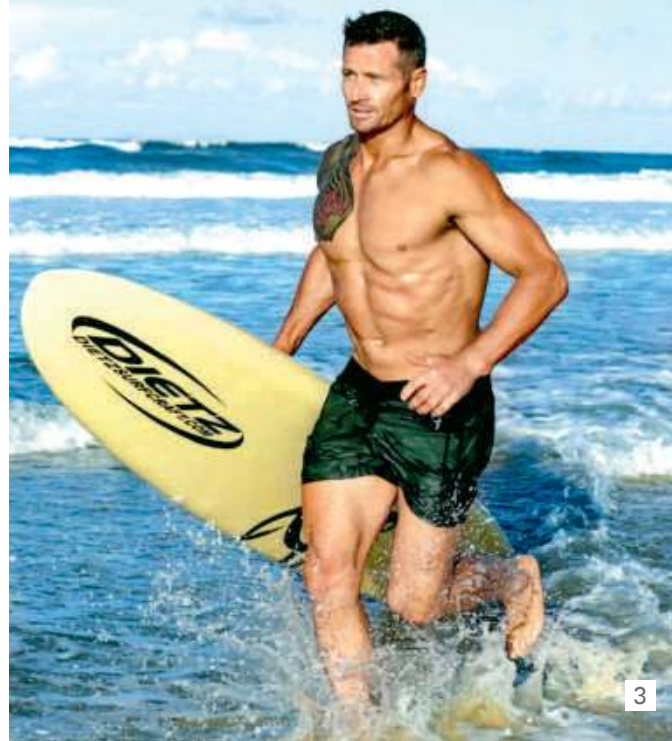
KALENDARZE 2022



4



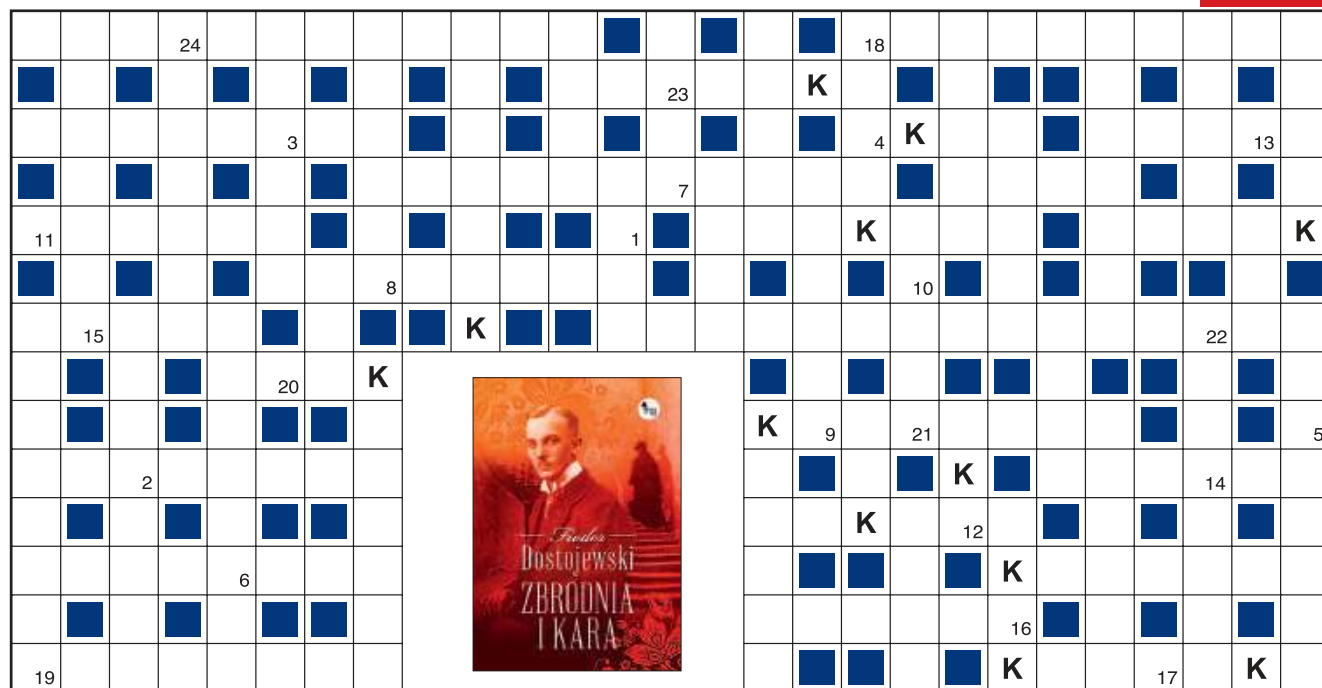
5



1. Kalendarz Lavazza
2. Kalendarz na rzecz schroniska dla koni Pegasus
3. Kalendarz australijskich strażaków

4. Kalendarz Lindner
- 5, 6. Kalendarz Pirelli





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- zbiór liter
- rzymski odpowiednik Erosa
- stopień Dziubaka z „Ojca Mateusza”
- skazany na dzwiganie sklepienia nieba
- twórca, kreator
- pozdrowienie anielskie: ...Maria
- odgłos kruszenia się, chrupot
- Warszawska z X Pawilonem
- gwóźdź z szeroką główką
- gra i strój maskaradowy
- slalom z piłką między przeciwnikami
- imię autora cyklu „Trzy miasta”
- taniec z kastanietami
- cmentarna to rabuś grobów

- nieprzetłumaczalny dosłownie
- rdzenny Amerykanin wedle Kolumba
- niebieski barwnik
- nie przewodzi ciepła ani prądu
- posłuszeństwo, rygor
- w parze z anodą
- homilia lub połajanka
- czarny, bardzo rybożerny ptak
- klockowa, igłowa lub szydełkowa
- rząd ssaków z lotokotem
- leczy wady wymowy
- niektórzy wygrywają... na loterii

- język Horacego
- płakać komuś w niego to żalić się
- Martwe jest słonym jeziorem
- obraz z kolorowych kamyków, szkiełek
- miejsce dla oratora
- epidemiologiczny łagodniejszy od kwarantanny
- młode karpie wpuszczone do stawu
- na... i podobieństwo swoje
- umocnienie ścian studni betonem, ceglami
- krople tłuszczu w rosole
- mylony z dydelfem
- przewlekany przez szlufki
- wszelkiej w Nowym Roku!
- „przepisy” do butów
- nadchodzi 2022

- imię Agricoli, holenderskiego humanisty
- oddawany przez Stocha
- rozżarzona drobina
- powszechny się odbył
- aliant, sojusznik
- chirurgiczny wykonywany katgutem
- zielony kamień szlachetny
- ...Książki Historycznej z naszym stoiskiem
- polski rodzaj dżinsu
- wody, metali lub charakteru
- śpiewająca Roksana
- sędowniczka, rodzicielska, wykonawcza
- furą dostarczał węgiel, też zrywkarz
- przed drugim daniem
- hałda przy kopalni
- czysty – po odliczeniu wydatków

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

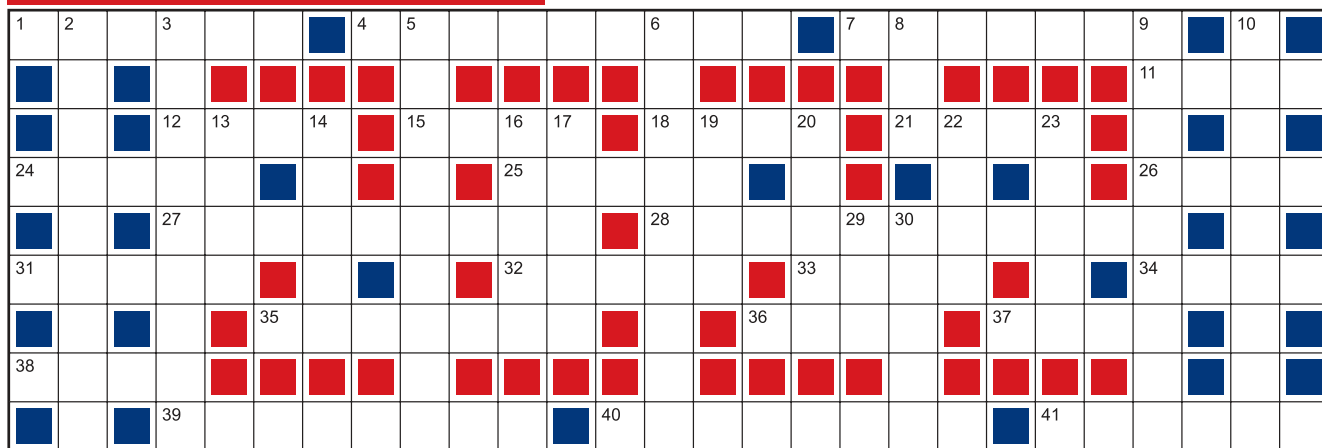
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1045”. Do rozlosowania książki „Zbrodnia i kara” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 2 stycznia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1042” z nr. 50: Przyjaźń wymaga czasu.

Nagrody otrzymują: Zdzisław Bróz z Łańcuta, Ewa Okuniewska z Unieszewa, Waldemar Wardencki z Gdańska.



Poziomo:

- 1) po ostatnim rozdziale
- 4) szafki, auta, zegara z kukułką
- 7) końsko o zespole Formuły 1
- 11) zniżka lub gdy złagodnieje ból
- 12) kanał windy, otwór wiertniczy
- 15) świta w głowie
- 18) z nim wyścig, gdy termin goni
- 21) na niej statki przed wejściem do portu
- 24) czarny lub sytuacyjny
- 25) śmiałość, pewność siebie
- 26) stan z Cleveland i Cincinnati

27) poradnik (z łaciny, ale spolszczony)

- 28) lek, medykament
- 31) żółtawy kamień ozdobny
- 32) cukrowy lub prostak
- 33) Iniany albo napędowy
- 34) imię aktorki Hayworth
- 35) jedna tysięczna bara
- 36) profan, dyletant
- 37) skrzynka na głosy
- 38) krótka spódniczka
- 39) istota teorii Darwina
- 40) dawny deser mączny lub jajeczny
- 41) część nośna spadochronu

Pionowo:

- 2) Sienkiewicza – Litwos
- 3) ciągnięcie liczb, kuponów
- 5) oblewać się nim to czerwienić się
- 6) opóźnienie w rozwoju społecznym, gospodarczym
- 8) wymarły przodek bydła
- 9) jedynowładca, despota
- 10) walcuje stal albo praska do czosnku
- 13) po nelsonsku na talerzu

14) przełajowe lub

- 14) przełajowe lub w samochodzie
- 16) dokręcać ją to zmuszać jeszcze bezwzględniej
- 17) ...katta, ssak z Madagaskaru
- 19) korektorski na marginesie
- 20) państwo z Apią w Oceanii
- 22) krótka rozprawa naukowa, literacka
- 23) król z Excaliburem
- 29) bokser Muhammad...
- 30) naszywany błyszczący

SUDOKU

Uzupełnij diagramy, tak by w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

		5	1	3		2		8
	3				4			
8		1			9			4
6	5					9	2	
	7			1		4		6
		4	6					
1					8			
	9			5			4	2
	8	3	4	2			1	

ŚREDNIE

				1	4	7		
4				5	7		2	
			8			9	3	
1			6		5		7	
	9			2			1	
	7	6						8
	1		5					
9	2						6	
		7					9	5

TRUDNE

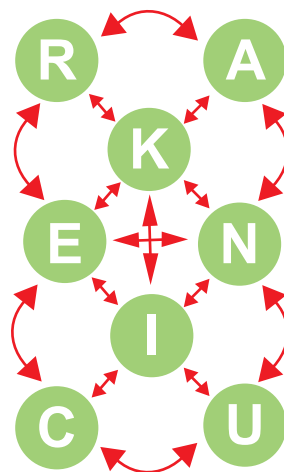
			5	7		6		
7				1	6	2	9	
		2	3				7	1
		8	1			3		9
			8		9		1	2
3	1							
2			7		3			
			9	8				
8	5					4		

PIEKIELNIE TRUDNE

			6	8			9	
	3							
9								7
		8				9	2	
3	4		5	9		8		
2					3			
6		4				7		
			1					6
		5		4			1	

STRZAŁKI I LITERY

Poruszając się od litery do litery, można w diagramie odczytać np. 5-literowe słowo EKRAN albo 6-literowe KIERKI i KRANIK. Spróbuj odczytać słowo 12-literowe.



Rozwiązania na s. 64

MSZ, czyli ministerstwo omijane

Zgodnie ze świecką tradycją podsumujemy mijający rok. Zajmowaliśmy się w tej rubryce przez ostatnie 12 miesięcy błyskawicznymi i zawsze niezgodnymi z etyką i pragmatyką zawodową awansami oraz przywilejami ulubieńców władzy. Najlepszym przykładem jest ewakuacja rodziny Tchórzewskich z Indii i błyskawiczny awans pana Klaudiusza. Ewakuacja na pokładzie boeinga cargo, którą nadzorowało dwóch wiceministrów. Samolot do tej misji specjalnie przystosowano, montując łóżka, respiratory itd. A załogę przebrano w kombinezony ochronne.

Przypomnijmy, że Klaudiusz Tchórzewski w ciągu dwóch lat pracy w MSZ został I sekretarzem i zalicza już drugą placówkę, tym razem w Dublinie. To tylko jeden z licznych przykładów bulwersujących absolwentów Akademii Dyplomatycznej, którzy na taki stopień muszą czekać ok. 10 lat.

Ale nie każdy może być bratankiem ministra zasłużonego dla PiS i Jarosława Kaczyńskiego.

Innym często przez nas poruszanym tematem była nowa ustawa o służbie zagranicznej i osoba jej „twórcy”, byłego dyrektora generalnego Andrzeja Papierza. Za skierowanie tej ustawy do procedowania bez wyliczenia jej skutków finansowych i za kłamstwo o braku takich skutków nie został bynajmniej zwolniony, lecz przesunięto go do Departamentu Europy, gdzie czeka na wyjazd na placówkę.

Kolejny temat to spadek wagi MSZ w kształtowaniu polityki zagranicznej, a co za tym idzie – prestiżu ministerstwa nie tylko za granicą, lecz także w układzie władzy w Polsce. Nasi partnerzy omijają i ambasady RP,

i centralę. Wszyscy już wiedzą, że najważniejsze decyzje zapadają na Nowogrodzkiej, a te dotyczące polityki europejskiej – w KPRM. Kancelaria Prezydenta to kompetencje w polityce bezpieczeństwa i w stosunkach z USA. Partnerzy zagraniczni wiedzą też, że aby uzmysłowić władzom RP coś, na czym im zależy, lepiej wykorzystać kanały wojskowe czy służb specjalnych. Bo pozycja polityczna ministrów Błaszczaka i Kamińskiego jest nieporównywalnie silniejsza od pozycji Raua.

Zupełnie nowym zjawiskiem w MSZ są „dyplomaci stacjonarni”. To eleganckie tłumaczenie znanego od czasów radzieckiego MSZ terminu *niewyjezdnoj*. Jest to taki dyplomata, który może pracować w centrali, ale na placówkach już nie. Wymienimy kilku: były wiceminister, dyrektor generalny, dwukrotny ambasador Rafał Wiśniewski, były dwukrotny ambasador, w tym w Pekinie, Tadeusz Chomicki, były wiceminister, ambasador RP Piotr Świtalski, były zastępca sekretarza generalnego NATO Adam Kobieracki. I wielu innych, jednokrotnych czy wielokrotnych ambasadorów. Paru, np. arabistów, uparcie zgłasza się w rotacjach na niższe stanowiska w ambasadach w Afryce Północnej, na Bliskim Wschodzie czy w krajach Zatoki. Bezskutecznie. A mamy w regionie prawie 20 placówek.

Tak oto realizuje się w praktyce codziennej polityka, że jak nasz – to choćby z ulicy, ale można go dać na wiceministra. Jak wróg – to za bramę albo do archiwum. Pochodzenie się liczy, a nie to, co w głowie.

Nie dziwny się więc, że MSZ działa, jak każdy widzi.

Attaché



Ceremonia ukończenia nauki w Akademii Sił Powietrznych w Dundigal w Indiach.

PENETRACJE

MONDE
diplomatique

STEFAN ZGLICZYŃSKI,
DYREKTOR PUBLIKACJI

Kuriozalny pomysł, aby tragedię humanitarną przedstawiać w kategoriach militarnych, np. „wojny hybrydowej”, nie wziął się z powietrza. To efekt długoletniej praktyki urzędników UE (w tym Donalda Tuska) i Fronteksu w „uszczelnianiu” – wszelkimi możliwymi sposobami – granic Wspólnoty. Dowodem na hipokryzję części opozycji w sprawie uchodźców jest niedawne głosowanie w Senacie pisowskiej „ustawy wywózkowej”, legalizującej sprzeczny z konwencją genewską proceder push-backu, czyli wyrzucania za granicę „nielegalnych” uchodźców. Przeszła dzięki temu, że kilku senatorów opozycji głosowało za lub wstrzymało się od głosu (m.in. marszałek Grodzki).

WOLNA
SOBOTA

ROBERT GÓRSKI,
SATYRYK, TWÓRCA SERIALU
„UCHO PREZESA”

Podoba mi się nasz prezydent jako bohater skeczów, bo on jakby funkcjonuje poza głównym nurtem. W zasadzie na nic nie ma wpływu. I dlatego nie kojarzy się z niczym strasznym, tylko z niedorajdą, który wpłatał się w tryby historii i nie daje sobie z tym rady. Duda jest jak bohater „Zezowatego szczęścia”, którego ta historia tak uniosła i niesie go wbrew niemu, a trochę mu się podoba, bo jest na górze. Ale nie do końca sobie zdaje sprawę z tego, jak śmieszną jest postacią. Taki bohater budzi i sympatię, i odrazę jednocześnie, bo nam go i szkoda, i trochę nas mierzi to, co robi. Nie muszę za dużo wymyślać. Po prostu go cytuję. I publiczność zaśmiewa się do tego.

Press

KRZYSZTOF BOCZEK,
DZIENNIKARZ

Do Polskiej Agencji Prasowej wdarł się desant prawicowych dziennikarzy z mediów braci Karnowskich, Tomasza Sakiewicza i szkoły o. Rydyka. Słyszę o córce ambasadora, która przeszła przez trzy działy („robi babole”), i dziennikarce z zagranicy. Nie potrafiła nawet dobrze mówić po polsku. Największe piętno odcisnął jednak desant ludzi z „Faktu”: Robert Szulc, Tomasz Jarosz, Bartłomiej Figaj, Jan Niepliński, Krzysztof Godlewski, Marlena Felisiak, Marcin Kucharzewski. Przenieśli tu standardy brukowców. Szefem korespondentów w PAP jest Robert Szulc. W „Fakcie” robił testy mydła i powidła – od parówek z Sokołowa, przez głośniki bluetooth, ekspresy do kawy z Biedronki, po szampony, wina i piwa. W PAP śmieją się najbardziej z jego rankingu kremów do opalania, gdzie występował w białym kitlu obok rozebranej do rosołu modelki.

STYL

MARIA DĘBSKA,
AKTORKA

Otwarty związek szybko przestał być dla mnie szokujący, bo w tym układzie panowała pełna szczerość. Nikt nikogo nie oszukiwał, nie krzywdził. Kalina darzyła męża, Stanisława Dygata, ogromnym uczuciem, wszyscy mi o tym zgodnie opowiadali. Ale w tym samym czasie kochała też innych mężczyzn. Zrozumiałam, że można kochać dwie osoby naraz – ona tak kochała. Może wierności w tym małżeństwie nie było, ale lojalność – stuprocentowa. Jeśli wszyscy godzą się na niewierność, to komu dzieje się krzywda? Zbulwersowanej sąsiadce?

Aby język giętki...

KRYSZYNA JANDA O WSTYDZIE

Na nikim nie robi wrażenia pytanie: „Jak panu nie wstyd?”.

PROF. ANDRZEJ LEDER O KRZYWDZIE

Ci, którzy sami czują się skrzywdzeni, nie są skłonni do współczucia. A w Polsce wszyscy mają poczucie krzywdy.

DOMINIKA BEDNARCZYK
O MAI KŁECZEWSKIEJ

Na nowo pokochałam ją przy „Dziadach”. Dała mi wolność. Była wymagająca, ale jednocześnie czuła, hojna i mądra.

MACIEJ STUHR O POLSKIM RADIU

Dostałem propozycję wystąpienia w Teatrze Polskiego Radia – i muszę odmówić. Nie chcę wchodzić do tego budynku.

KINGA DĘBSKA O DZIECIŃSTWIE W PRL

Patrzę na nie z czułością, która jest nam dzisiaj w kinie potrzebna. Bo świat jest trudny, smutny, podzielony.

WOJCIECH SMARZOWSKI O HISTORII

Nasza historia wciąż jest poddawana zabiegom upraszczania, prostowania i przemilczania.

DANUTA STENKA O AUTORYTECIE

Długo wydawało mi się, że umiem tyle co wszyscy, a często nawet mniej, i nie mam się czym dzielić z innymi.

MAGDALENA CIELECKA O POPRAWNOŚCI

Zbyt daleko posunięta poprawność, ugrzecznienie może zabijać autentyczność, a czasami po prostu smak życia.

MAGDA MOŁEK O WILKACH

Jak słyszę: „kobieta kobiecie wilkiem”, gotuje się we mnie. To nieprawda. Nie ma większej solidarności niż u tych zwierząt.

ZOFIA WICHŁACZ O ZŁOŚCI

Złość niewyrażona staje się bardzo toksyczna. Dobrze, że nie stłumiłmiśmy naszego wkurwu. Trzeba komunikować sprzeciw. W filmie, w życiu, wszędzie.

JOANNA KULIG O RÓWNOWADZE

Jest we mnie konflikt między pasją a potrzebą, by być w zgodzie z moim rytmem. Szukam równowagi.



Restrykcje w krakowskiej kawiarni.

MEMY BEZ ŚCIEMY



ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Prawdopodobny jak algorytm

Podczas debaty na swój temat sztuczna inteligencja oświadczyła, że nigdy nie będzie etyczna. – To tylko narzędzie i jak każde narzędzie może być wykorzystane do czynienia dobra i zła. Nie istnieje coś takiego jak dobra sztuczna inteligencja, jedynie dobrzy i źli ludzie – powiedział w Saïd Business School w Oksfordzie algorytm stworzony przez firmę Nvidia. Megatron Transformer mógł uczestniczyć w dyskusji, gdyż wcześniej w procesie tzw. uczenia maszynowego został „nakarmiony” artykułami prasowymi oraz treściami z Wikipedii i serwisu Reddit. Jak zacznie czytać także PRZEGLĄD, będzie można mówić o prawdziwym sztucznym inteligencji!

Kto tak gra? RNA

Autorzy projektu Viromusic przetworzyli genom koronawirusa wywołującego COVID-19 na muzykę relaksacyjną. – Żadna nuta nie została zmieniona, jest to bezpośrednia muzyczna reprezentacja kodu wirusa – zapewniają. I tłumaczą, że pomysł na kolekcję zrodził się z zachwyty nad pięknem życia. Co ciekawe, każdy chętny może kupić wybrany utwór na własność, w cyfrowej formie tzw. tokenu NFT; ceny zaczynają się od równowartości ok. 1,1 tys. zł. Jaki udział w zyskach ze sprzedaży będzie miał SARS-CoV-2 – nie podano.

Ciemność, widział ciemność

Do Gloucestershire Royal Hospital w Anglii zgłosił się pacjent z... pociskiem armatnim w końcowym otworze przewodu pokarmowego. Mężczyzna twierdził, że poślizgnął się, przeglądając swoją kolekcję broni, i upadł na eksponat, który utknął mu między pośladkami. Medycy zajęli się nieborakiem, ale najpierw wezwali na pomoc saperów, by zabezpieczyli teren. Z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że wyciągnięty pocisk ma 17 cm długości i pochodzi z okresu II wojny światowej – należał do brytyjskiej artylerii walczącej w Afryce Północnej. I zapewne nie tak wyobrażał sobie emeryturę...

Co ma wisieć...

Sporym sukcesem okazało się wprowadzenie na rynek bombek choinkowych w kształcie puszki paprykarza szczecińskiego. – Klienci dopytywali o wzór, który przedstawiałby jakiś motyw związany ze Szczecinem. Pomyśleliśmy o paprykarzu, który kojarzony jest z naszym miastem w całym kraju i nie tylko. Nawet sklepy polonijne w Chicago mają go w ofercie – wyjaśnił pomysłodawca ozdoby, Mirosław Wasilewski. – Na następny sezon mamy już zaprojektowany prototyp bombki w kształcie konserwy turystycznej i pasztetu. Na pewno pojawią się też inne wzory nawiązujące do żywności – podsumował przedsiębiorca, który oferuje już m.in. bombki kufle piwa i bombki hot dogi. Widać, że nie urwał się z choinki!

ROZWIĄZANIA

Sudoku

ŁATWE

4	6	5	1	3	7	2	9	8
9	3	7	2	8	4	1	6	5
8	2	1	5	6	9	3	7	4
6	5	8	7	4	3	9	2	1
2	7	9	8	1	5	4	3	6
3	1	4	6	9	2	5	8	7
1	4	2	9	7	8	6	5	3
7	9	6	3	5	1	8	4	2
5	8	3	4	2	6	7	1	9

ŚREDNIE

3	8	2	9	1	4	7	5	6
4	6	9	3	5	7	8	2	1
7	5	1	8	6	2	9	3	4
1	3	8	6	4	5	2	7	9
5	9	4	7	2	8	6	1	3
2	7	6	1	9	3	5	4	8
6	1	3	5	7	9	4	8	2
9	2	5	4	8	1	3	6	7
8	4	7	2	3	6	1	9	5

TRUDNE

9	8	1	5	7	2	6	3	4
7	3	5	4	1	6	2	9	8
6	4	2	3	9	8	5	7	1
4	2	8	1	6	7	3	5	9
5	7	6	8	3	9	4	1	2
3	1	9	2	4	5	8	6	7
2	9	4	7	5	3	1	8	6
1	6	3	9	8	4	7	2	5
8	5	7	6	2	1	9	4	3

PIEKIENNIE TRUDNE

4	7	1	6	8	5	3	9	2
5	3	6	9	2	7	1	8	4
9	8	2	4	3	1	6	5	7
1	5	8	7	6	4	9	2	3
3	4	7	5	9	2	8	6	1
2	6	9	8	1	3	4	7	5
6	1	4	2	5	8	7	3	9
8	2	3	1	7	9	5	4	6
7	9	5	3	4	6	2	1	8

Strzałki i litery:
UCIEKINIERKA



Wodopój w parku Sabi Sands w Republice Południowej Afryki.

Zdalny zawsze ubezpieczony

Sąd federalny w Niemczech orzekł, że w przypadku osób pracujących zdalnie w domu poranna droga z łóżka do biurka powinna być traktowana jako objęty ochroną ubezpieczeniową dojazd do pracy. – Jeżeli ubezpieczona działalność jest wykonywana w gospodarstwie domowym ubezpieczonego lub w innym miejscu, ochrona ubezpieczeniowa przysługuje w takim samym zakresie jak w przypadku wykonywania działalności na terenie firmy – stwierdził sędzia w sprawie mężczyzny świadczącego telepracę, który spadł ze schodów we własnym domu i uszkodził kręgosłup, a odmówiono mu wypłaty odszkodowania wypadkowego. To jeszcze niech wytłumaczy, jak rozliczyć podróż służbową na trasie sypialnia-łazienka!

A druga para – dla awatara

Koncern Nike przejął właśnie firmę RTFKT Studios, zajmującą się m.in. projektowaniem wirtualnych butów. Dotychczas amerykański gigant sprzedawał obuwie i odzież w świecie rzeczywistym, ale najwyraźniej planuje także ekspansję w Metaverse, czyli zbliżającej się nowej odsłonie internetu opartej na trójwymiarowych *alter ego* użytkowników. Szykują się dodatkowe wydatki dla rodziców nastolatków, bo przecież w sieci również trzeba wyglądać modnie.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz

e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,
Jan Ordynski, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





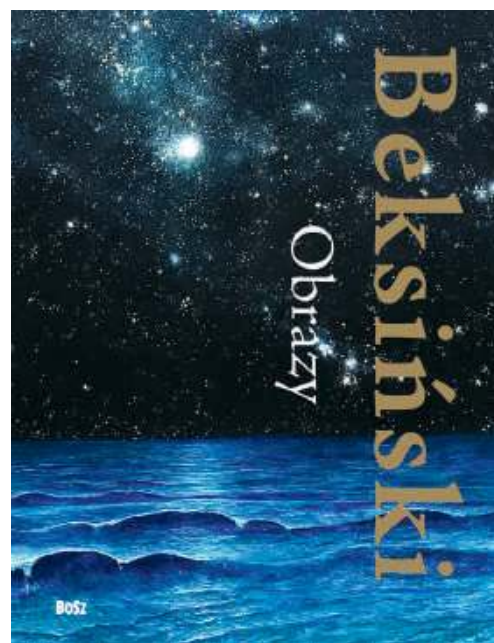
BEKSIŃSKI

obrazy

Najnowszy katalog wydawnictwa BOSZ to album „Beksiński. Obrazy”. Publikacja przygotowana została we współpracy z Muzeum Historycznym w Sanoku – spadkobiercą i patronem artysty. Album zawiera 530 najlepszych prac malarskich. Pokazane zostały zarówno dzieła znane powszechnemu odbiorcy, jak i dotąd niepublikowane, znajdujące się w zagranicznych kolekcjach prywatnych. Reprodukcom towarzyszą teksty tenora Wiesława Ochmana – długoletniego przyjaciela artysty, oraz Wiesława Banacha – znakomitego znawcy dorobku Beksińskiego.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

homework | Górsko, Siatkun

Radio Mariia

**Bednarek, Cichosz, Czerkaszyńska,
Dzikowska, Sarkisian, Stoczyński,
Wichowska, Zduńczyk**
premiera 13.01.2022
pokazy popremierowe: 14, 15, 16.01

Wyobraźmy sobie przyszłość. Wyobraźmy sobie niewyobrażalne. Na przykład: Kościół katolicki w Polsce zniknął. Nie ma już lekcji religii w szkołach ani pomników polskiego papieża w przestrzeni publicznej. Na plebaniach mieszkają uchodźcy, a kościoły zmieniły się w sale koncertowe (albo supermarkety). Jak do tego doszło i jakie są konsekwencje przełomu?

W styczniu gramy też:

Opowieści niemoralne

reż. Jakub Skrzywanek
7–9.01

Capri – wyspa uciekinierów

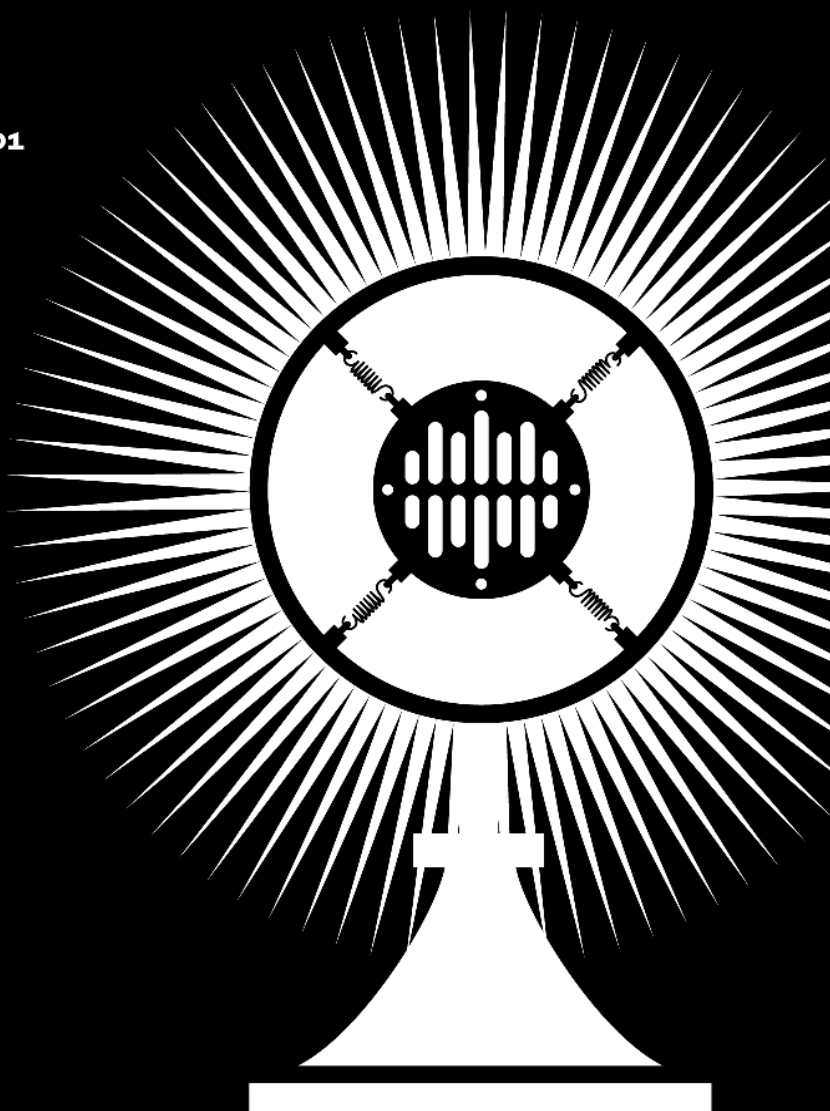
reż. Krystian Lupa
20–23.01

Strach żłierać duszę

reż. Agnieszka Jakimiak
25–27.01

Dobrobyt

reż. Árpád Schilling
28–30.01



Spektakl jest częścią europejskiego projektu „Face to Faith” organizowanego dzięki wsparciu z programu „Kreatywna Europa” Unii Europejskiej.

Face to Faith



Co-funded by the Creative Europe Programme of the European Union

Patroni medialni

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

dojusto.pl

reflex

♦ TEATR CAPITOL ♦

Magiczny sylwester 2021/2022

Daj się porwać muzyce i magii teatru!

TEATR CAPITOL Duża Scena

A MI TO
RYBKKA!

Wystapia:

Lukasz Nowicki, Daria Widawska
Olga Nowicka, Pawel Koslik

START godz. 18:00

- * życzenia noworoczne od Aktorów
- * Słodkie Marzenie od Cheesecake Corner i kieliszek wina / w przerwie spektaklu
- * noworoczny upominek od Manufaktury Cukierków

Bilety od 299zł

START godz. 21:30

- * życzenia noworoczne od Aktorów
- * po spektaklu zaczarowana impreza do białego rana!
- * muzyka na żywo oraz DJ
- * wysmienite menu i toast o północy
- * open bar do godziny 4:00

Bilety od 699zł

♦ KUP BILET

♦ www.teatrcapitol.pl

Partneri Medialni

MAXXX

Teatr Capitol

WZLECZKOSPOLNA

ams

onet

P

kobiety

Partnerzy Teatru

*** MKŻ PARTNERZY

Współpraca artystyczna

Obag.pl

STREFA MUSIC

PLZ

odg

www.teatrcapitol.pl

ARTYSTYKA WARSZAWA

Cheesecake Corner

Manufaktura Cukierków